



OTO KREW MOJA

MAREK
KEDZIERSKI

AUTOR BESTSELLERÓW „MĘSKA SPRAWA” I „CENA HONORU”

fabryka słów

M A R E K
KĘDZIERSKI
O T O K R E W M O J A

fabryka słów

Lublin 2012

Rozdział 1

Wrocław, Polska

Czarny jeep cherokee zatrzymał się przy wysokim krawężniku. Po obydwu stronach wąskiej uliczki wyrastały wysokie na trzy, cztery piętra kamienice, których czasy świetności przypadają na okres sprzed drugiej wojny światowej. Dzisiaj ich poszarzałe i bogato zdobione fasady domagały się pilnej renowacji, na którą miasto albo nie mogło sobie pozwolić, albo miało inne priorytety. Zwłaszcza że usytuowane były w dość dużej odległości od Rynku, a to przecież on był jedną z najważniejszych wizytówek miasta. Przeprowadzone w ostatnich latach prace renowacyjne wydobyły niezwykle piękno okalających ratusz kamieniczek, pochodzących z różnych epok.

Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn w średnim wieku. Kierowca ubrany był w dopasowane ciemnoniebieskie levisy i jasną elegancką koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami. Kilka rozpiętych pod szyją guzików odsłaniało opalony tors. Nienaganna sylwetka. Na ogorzałej twarzy kilkuniedniowy, przyprószonej lekką siwizną zarost. Wyróżniał się wśród przechodniów. Drugi pasażer jeepa miał na sobie cywilny strój księdza: czarną koszulę i takie same spodnie, pod szyją białą koloratkę. Duchowny rozejrzał się wokół, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie obserwuje. Natomiast mężczyzna, z którym tu przyjechał, od razu skierował się ku wejściu do kamienicy. Przez masywne drzwi weszli w ponury, ale utrzymany w czystości korytarz. Potem stromymi i krętymi schodami w dół.

- Niech ksiądz uważa - powiedział półgłosem właściciel auta. - Można się pośliznąć.

- Właśnie widzę - odrzekł kapłan, nadzwyczaj ostrożnie stawiając stopy na schodach. - Daleko jeszcze?

- Za chwilę będziemy.

Z dołu dochodził coraz wyraźniejszy miarowy huk. W pierwszej chwili trudno było się zorientować, co to takiego, ale z każdym kolejnym stopniem stawało się coraz jaśniejsze, że to najprawdopodobniej odgłos wystrzałów. Jeszcze kilkanaście schodków. W końcu znaleźli się w mrocznym pomieszczeniu z niskim sufitem i murami z nieotynkowanej cegły. To, co ukazało się oczom księdza, wzbudziło w nim mieszane uczucia.

W linii prostej od wejścia mieściło się sześć stanowisk strzeleckich. Przeciwległa ściana, na której tle znajdowały się tarcze, oddalona była o co najmniej dwadzieścia metrów. Tarcze podwieszono do linek osadzonych na okrągłych bloczkach. Strzelec przyciśnięciem guzika przy stanowisku sprawiał, że tarcza podjeżdżała do niego i mógł sprawdzić celność strzału. Przy stanowiskach znajdowało się trzech ludzi. Podeszli do stojącego najdalej.

Ksiądz zasłonił uszy dłońmi. Huk wystrzałów był trudny do zniesienia. Ustawili się za barczystym mężczyzną w czarnym podkoszulku, który oburącz trzymał przed sobą pistolet. Dwaj pozostali obejrzelili swoje tarcze, wymienili się uwagami, po czym skierowali do wyjścia ze strzelnicy. Przez chwilę dało się słyszeć ich głosy, a potem znikli na krętych schodach. Mężczyzna w podkoszulku oddał jeszcze kilka strzałów. Schował pistolet z tyłu za pas dzinsowych spodni. Podjechała tarcza. Zerwał ją z metalowego uchwytu. Wydawał się zupełnie nie zauważać stojących za nim przybyłych mężczyzn. Popatrzył krytycznie na tarczę i zmarszczył brwi.

- Kopę lat, Osa - powiedział, nie odrywając wzroku od planszy. - Coś potrzeba?

Kierowca jeepa wziął od niego tarczę i przyjrzał jej się uważnie. Pokiwał głową. Uśmiechnął się i podniósł wzrok

na strzelca. Wszystkie strzały były poza okręgiem. Nie uszło to uwadze księdza.

- Coś ci słabo poszło, Magnat. - Człowiek nazwany Osą oddał strzelcowi tarczę.

- Mówisz? - Przez twarz mężczyzny w czarnym podkoszulku przebiegł zagadkowy uśmiezek.

- Ale ja nie o tym. Jest robota.

Magnat spojrział spod zmarszczonych brwi na księdza.

- A klecha to kto? - zainteresował się towarzyszem Osy.

Kapłan popatrzył pytająco na człowieka, z którym przyszedł. Poczuł się niepewnie. Nie wiedział, jak odpowiedzieć na pogardliwie brzmiące słowa.

- Ksiądz ma interes do ciebie.

- Ksiądz? Do mnie? - Mężczyzna uniósł brwi.

- Przepraszam pana na chwilę. - Ksiądz Jerzy Bacik odciągnął Osę na bok. - Jest pan pewny, że to właściwy człowiek? - szepnął mu do ucha. - Tyle pan opowiadał, a przecież on nawet strzelać nie umie. Sam pan widział.

- Proszę się nie martwić - odpowiedział mężczyzna uspokajająco. - Widziałem nie raz, co on umie, i niech mi ksiądz wierzy, nikt się lepiej nie nadaje.

- No nie wiem...

- Trochę wiary, proszę księdza - Osa uderzył w żartobliwy ton.

- Wie pan doskonale, że ta misja nie może się nie udać.

- Więc nie mogliśmy lepiej trafić. Chodźmy, bo się na nas wypnie i będziemy mieli kłopot.

Mężczyzna zwrócił się do przyglądającego im się z ciekawością strzelca:

- Trzeba zawieźć kogoś do Rzymu, a konkretnie, do Watykanu. Po drodze może będzie parę przystanków.

- Transport publiczny nie działa?

- Działa. Ale nie wchodzi w grę.

- Hmm. Konkretnie?

- Tu będziemy gadać? - Osa rozejrzał się wymownie wokół.

- Sprawy tajne?
- Dobrze się domyślasz.
- Lepszego miejsca nie ma - skonstatował Magnat. - Ktoś przyjdzie nie wcześniej niż za godzinę. Możemy mówić.
- Ksiądz Jerzy powie, o co chodzi.

Magnat przeniósł wzrok na kapłana. Było to zimne spojrzenie. Takie, pod jakim normalnemu człowiekowi przebiegają ciarki po plecach. Człowiek w koloratce wyglądał na zmieszanego.

- Pan Rafał - kapłan spojrzał na swego towarzysza - pan Rafał Wieniawa... - zdjął okulary, był wyraźnie zdenerwowany - powiedział, że będzie pan mógł mi pomóc. A właściwie nie mnie, tylko Kościołowi. Tylko że... Wie pan, to jest sprawa najwyższej wagi. Nawet pan sobie nie zdaje sprawy, jak bardzo. Od tego zależy przyszłość ludzi, Kościoła, w ogóle naszej wiary... Nie wiem, jak panu to wyjaśnić, żeby pan zrozumiał, jak ważna jest to kwestia.

- Do rzeczy, proszę księdza. Trzeba kogoś przewieźć. Kogo, dlaczego, gdzie i jakie jest zagrożenie? O reszcie potem.

Ksiądz Jerzy westchnął głęboko. Rzucił spojrzenie na Wieniawę, jakby szukając ostatecznego potwierdzenia, że dobrze robi. Ten kiwnął głową.

- W klasztorze niedaleko Rzeszowa jest pewna kobieta. Musi jak najszybciej znaleźć się w Watykanie. Tutaj grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Pewni potężni i groźni ludzie chcą ją zabić.

- TERRORYŚCI?
- Nic z tych rzeczy - zapewnił pośpiesznie ksiądz.
- Mafia?
- Mafia też nie.
- Co z tą zakonnica jest nie tak?
- To nie jest zakonnica.
- Mówił ksiądz, że jest w klasztorze.
- To prawda, ale to nie zakonnica. Nie ma ślubów, to świecka osoba. Ona jest... Dla Kościoła ma kardynalne

znaczenie. Musi żywa dotrzeć do Watykanu...

- Bo?

- Tyle tylko mogę powiedzieć. Musi dotrzeć do Watykanu. Jak najszybciej.

- Kto chce ją zabić i dlaczego?

- Już mówiłem, bardzo źli i potężni ludzie.

- Ksiądz nie rozumie. Ja nie mam czasu na pierdoły. Muszę wiedzieć, z kim będę miał do czynienia. Jeżeli mam ryzykować życie, a na to się zanosi, muszę to wiedzieć. Chodzi o jakąś politykę? Wywiad?

- Nie, nic takiego. Istnieją po prostu źli ludzie... szatańskie organizacje, które zagrażają Kościołowi.

Magnat prychnął na te słowa. Nabrał głęboko powietrza i wypuścił je ze świstem. Spojrzał na Wieniawę.

- Ty coś powiesz?

- To nie jest sprawa wojskowa ani żaden wywiad. Ktoś chce babkę odstrzelić. Trzeba jej zapewnić ochronę. I tyle.

- I już? - Magnat założył ręce na piersiach. - Dlaczego jest tak ważna?

- Tego nie wiem. Naprawdę. To jakaś kościelna tajemnica.

- Panie ksiądz, dlaczego ona jest taka ważna?

Ksiądz Jerzy rozłożył bezradnie ręce.

- Czyta pan czasem Biblię?

- Przecenia mnie ksiądz - Magnat nie pozostawił kapłanowi cienia wątpliwości.

- No właśnie. A na mszę pan chodzi?

- Tak, co niedziela. Jestem ministrantem - odparł mężczyzna sarkastycznie.

- Nie trzeba kpić z wiary - napomniał go kapłan. - Musiałbym panu zrobić długi wykład z chrześcijaństwa, a nie czas i nie miejsce.

Magnat ponownie zwrócił się do Osy:

- Nie podoba mi się to. Śmierdzi na kilometr. A coś czuję, że na Bożą pomoc to raczej nie będę mógł liczyć - dodał z przekąsem.

- Uda ci się. Bo ty pieprzony farciarz jesteś. Kule się ciebie nie imają. W Afryce pochowaliśmy najlepszych żołnierzy, a tyś zawsze wychodził z najgorszego gówna. Dostaniesz wszystko, co zechcesz. Sprzęt, broń... najnowsze technologie.

- Broń od Kościoła?

- Kościół bywa czasem praktyczny. Dobrze mówię, proszę księdza?

Kapłan zmieszał się.

- Jesteśmy w stanie zapewnić to, co powiedział pan Rafał - duchowny niemal wyszeptał te słowa, wstydliwie, jakby wyznawał najcięższe grzechy.

- Jak dla mnie, to trochę tu za dużo niewiadomych. Po co mi to?

- Panie Magnat, czy jak się pan nazywa...

- Sznajder. Nazywam się Andrzej Sznajder.

- Więc, panie Sznajder, koszty nie grają tu żadnej roli. Najważniejsze, żeby dowieźć Joannę do Watykanu. Zapłacimy każdą cenę.

- Każdą?

- Powiedzmy, sto tysięcy.

Andrzej milczał. Rozwagał ofertę w myślach.

- ...euro - dodał ksiądz Jerzy.

- Hmm. To jest argument - przyznał Sznajder. - Ta kobieta ma jakieś nazwisko?

- To ważne? - zachnął się ksiądz.

- Ma?

- Joanna Wolińska.

Sznajder zastanowił się chwilę.

- Sto tysięcy euro, połowa z góry - powiedział głośno i dobitnie.

- Dobrze - odparł ksiądz bez namysłu.

Z drugiej strony jeżeli przeciwnikiem jest nie wojsko i nie wywiad, myślał Andrzej dalej, to wszystko jest do zrobienia. Nie takie rzeczy robiło się na Bliskim Wschodzie i w Afryce Zachodniej. Nikt przecież w Europie nie odważy się

zakładać min pułapek czy strzelać z przenośnych wyrzutni raketowych. Poza tym, jak widać, podróż będzie się odbywała w ścisłej tajemnicy. Szanse, że ktoś ich namierzy i stworzy sobie sprzyjające warunki, żeby ich zlikwidować, będą raczej nikłe. Da się zrobić.

Wieniawa i ksiądz Jerzy nie zwrócili wcześniej uwagi na to, że Sznajder posłał kolejną tarczę pod przeciwległą ścianę. Teraz błyskawicznie wyciągnął zza pasa pistolet i oddał siedem strzałów. Ksiądz odruchowo zatkał uszy.

Kiedy papierowa tarcza jechała w stronę stanowiska strzeleckiego, Magnat przeładowywał pistolet. Wyciągnął magazynek i dołożył pocisków. Nie zwracał uwagi na tarczę. Wieniawa wziął ją w rękę, rzucił okiem i podał księdzu. Przestrzelone otwory formowały uśmiechniętą buźkę.

- To tak się też da strzelać? - ksiądz Jerzy nie mógł wyjść z podziwu.

- Wszystko się da - odpowiedział Sznajder. - Wystarczy chcieć. Ksiądz chce spróbować?

Magnat wyciągnął pistolet kolbą w jego kierunku.

- Nie, nie, nie. - Kapłan podniósł dłonie w obronnym geście. - Broń to straszna rzecz.

- Tutaj się akurat z księdzem zgadzam - Sznajder wypowiedział te słowa śmiertelnie poważnym tonem.

- No to jak będzie z naszą sprawą?

- Dobrze będzie. Biorę robotę - odparł mężczyzna. - Za takie pieniądze samego Lucyfera wam z piekła przyprowadzę. Chodźmy. Muszę zamknąć te kazamaty.

Kiedy wyszli, Sznajder przekręcił klucz w ciężkich metalowych drzwiach. Ksiądz Jerzy pierwszy ruszył schodami w górę. Wieniawa i Sznajder trochę się ociągali.

- Skąd wzięłeś tego klechę? - spytał półgłosem Andrzej, kiedy szli wąskim, krętym korytarzem.

- Z Domowego Kościoła - odparł Wieniawa neutralnym tonem.

- Skąd?

- Z Domowego Kościoła.
- A konkretniej?
- Małżeństwa z dziećmi spotykają się czasem w domach, czytają Biblię, rozmawiają, nie tylko o sprawach religijnych. Ksiądz jest akurat w naszym kręgu.
- „Naszym”? - Magnat aż przystanął, słysząc słowa dawnego towarzysza broni. - Jak to w „naszym”?
- No w naszym. Ożeniłem się i z Kasią jakiś rok temu przyłączyliśmy się do wspólnoty...
- Jakiś żart?
- Nie. Poważnie.
- Ty, żołnierz najemny sprzed... ile tośmy się nie widzieli? dziesięć lat?... w kręgu biblijnym?
- Ostatnio widzieliśmy się siedem lat temu, jak wracaliśmy z Sudanu. Dużo się przez ten czas zmieniło.
- Wyszli na ulicę. Ksiądz Jerzy już na nich czekał. Magnat od razu podszedł do niego.
- To prawda, że Osa działa w jakimś waszym kółku biblijnym?
- W kręgu Domowego Kościoła - odparł kapłan.
- Znacie jego przeszłość?
- Ja tak. Pozostali nie, bo nie jest to istotne. Pan Rafał wkrótce przyjmie Jezusa do swego serca. Jego przeszłość nie ma znaczenia.
- Sznajder popatrzył na Rafała Wieniawę. Człowiek, który strzelał do ludzi często bez cienia litości, był teraz częścią kręgu biblijnego. W głowie mu się nie mieściło, że takie rzeczy są w ogóle na świecie możliwe.
- Ludzie mówią, że człowiek mądrzeje z wiekiem. U ciebie, widzę, działa proces odwrotny.
- Nie jest tak, jak myślisz.
- Nie? Ale nie popracujemy już razem?
- Nie tak jak za dawnych czasów... - odparł Wieniawa poważnie. - To co robimy?
- Sznajder przyglądał się koledze jeszcze przez chwilę.

- Muszę pomyśleć - odezwał się wreszcie. - Jutro albo pojutrze się odezwę. Będę miał parę pytań. Ksiądz zostaje we Wrocławiu?

- Jestem do pana dyspozycji. Proszę tylko pamiętać, że czas nagli. Powinniśmy jak najszybciej...

- Tak, wiem - przerwał mu Sznajder. - Za parę dni odwiedzimy ten wasz klasztor i ruszymy w drogę. Ale przedtem kilka spraw trzeba będzie powyjaśniać.

- Gdzieś cię podwieźć? - zaoferował Wieniawa.

- Nie trzeba. Zaparkowałem... - Andrzej Sznajder nie dokończył. Patrzył przez moment w puste miejsce, gdzie jeszcze dwie godziny temu stała jego terenowa toyota. Odholować nie mogli, bo zaparkował prawidłowo. - Kurwa mać! - wycedził przez zęby. Był wściekły.

- Jakiś problem? - spytał Osa.

- Samochód mi zawinęli. Szlag by to trafił!

- Spokojnie, człowieku, spasuj - powiedział Rafał. - Nic się nie stało.

- Kurwa, brykę mi ukradli! Nic się nie stało? Dwa miesiące temu kupiłem. Jasna cholera! Niech ja dorwę skurwysyna!

- Mówię ci, że nic się nie stało. Twój samochód jest w serwisie.

- W jakim serwisie? Tu go zostawiłem dwie godziny temu...

- Zgadza się - wyjaśniał Wieniawa uspokajająco. Ksiądz Jerzy przyglądał się wściekłości Magnata z autentyczną obawą. - Został zabrany do serwisu, żeby go doposażyć.

Andrzej Sznajder popatrzył na dawnego towarzysza broni i opanował emocje.

- Doposażyć?

- Koniecznie. Szyby pancerne, krótka broń pokładowa, wzmocniony silnik i parę tam takich rzeczy.

- Pięknie. I jesteś pewny, że nie mamy jechać przez Irak? Wieniawa zignorował uwagę.

- Za parę dni samochód będziesz miał z powrotem.

Magnat westchnął.

- Skąd wiedziałeś, że się zgodzę?

- Bo cię znam. - Osa uśmiechnął się tryumfalnie. - To co, podwieźć cię?

- Przejdę się. Gdzie mam szukać samochodu?

- Umówimy się. Dam ci znać.

- Dopuszający, mówisz?

- Solidnie.

- Jeszcze jedno. Co z policją po drodze?

- Unikać. Jak się tylko da, to unikać - pośpieszył z odpowiedzią kapłan.

- Tak myślałem. Jakies szczególne powody?

- Nie możemy dopuścić do przesłuchań i niezdrowego zainteresowania naszą sprawą. W tym przypadku rozgłos jest nadzwyczaj szkodliwy.

- Pięknie. Coraz lepiej. Ciekawy z was ludek, katole. Na razie.

Andrzej Sznajder skierował się w stronę ulicy Krupniczej. Chwilę potem zniknął za rogiem.

- Nie mogę powiedzieć, żebym nie miał wątpliwości, panie Rafale. - Ksiądz patrzył na Osę niepewnym wzrokiem.

- Czy na pewno wybraliśmy właściwego człowieka?

- Proszę księdza, to żołnierz z wieloletnim doświadczeniem, siły specjalne francuskiej legii cudzoziemskiej, wszechstronnie wyszkolony. Między innymi ekspert systemu walki BAS i nie tylko. Nawet sobie ksiądz nie zdaje sprawy, z jakich sytuacji potrafił wyjść cało.

- Co to jest ten cały BAS? Jakies karate?

- Najbardziej brutalny i jednocześnie najskuteczniejszy system walki, jaki zna świat. Stworzony przez jednego Polaka, Andrzeja Bryła. Podobno był jakimś tam doktorem... chyba socjologii. W każdym razie wszystko się tam rozbija o to, żeby jak najsprawniej zabić albo okaleczyć przeciwnika. Paskudna sprawa, niech mi ksiądz wierzy.

- Wierzę, wierzę.

- To co, jedziemy?

- Muszę przyznać, że jestem pełen obaw. Ktoś taki w świętej sprawie...
- Proszę księdza, to w gruncie rzeczy porządny człowiek. Nadaje się.
- Porządni ludzie nie strzelają do bliźnich.
- Oj, strzelają, strzelają. Zdziwiłby się ksiądz.
- Niech mi pan nawet nie mówi.
- Chodźmy. Szkoda czasu.
- Cóż nam pozostaje. W imię Boże! Chociaż nie byłbym taki pewny, czy Pan Bóg pochwała to, co robimy.



Andrzej Sznajder przyłożył słuchawkę do ucha.

- Tak? - rzucił oschle do telefonu, odbierając połączenie.
- Waldek Hajman - odezwał się męski głos.
- Co tam, Waldziu?
- Możesz rozmawiać?
- Jadę taksówką, ale mów, co jest.

Samochód zatrzymał się na światłach. Przed nimi był sznur aut.

- Sprawę mam. Jesteś wolny dzisiaj wieczorem? Dobrze by się było spotkać.

- Jak trzeba, to mogę być - odparł Sznajder.

Nie pytał o szczegóły. Dało się wyczuć, że rozmowa nie jest na telefon.

- To wpadnij „Pod Gryfy”, powiedzmy, o siódmej. Będę na zewnątrz. Kolację ci postawię. I pogadamy trochę.

Sznajder uśmiechnął się pod nosem. Waldek Hajman nigdy nie był skory do fundowania czegokolwiek. Czegoś musiał chcieć. Światła zmieniły kolor. Samochody przed nim leniwie ruszyły. Przejechali na żółtym.

- Dobra. Będę - powiedział i wyłączył aparat.

Przed nim ciągnął się korek do następnego skrzyżowania. Było kilka minut po siedemnastej. Najgorszy czas do przejazdu przez Wrocław.



Rynek wrocławski jak zwykle o tej porze tętnił życiem. Późne lato rozpieszczało mieszkańców stolicy Dolnego Śląska. Tłumy spacerowiczów przetaczały się wokół ratusza. Nie brakowało obcokrajowców zafascynowanych urodą odrestaurowanych kamieniczek i atmosferą samego miasta.

W ogródku restauracji „Pod Gryfami” nie było wolnych stolików. Przy jednym z nich nad kuflem piwa siedział wystrzyżony na jeża Waldemar Hajman. Miał krótką, lekko posiwiałą brodę, po której spłynęła cieniutka strużka złocistego płynu.

Andrzej Sznajder przysunął sobie krzesło.

- Co masz dla mnie, Waldziu? - Magnat rozglądał się za kelnerką.

- Jest robota w Kolumbii. - Mężczyzna pociągnął solidny łyk piwa. - Ludzi zbieram.

- Mów.

- Wzięli jednego inżyniera na zakładnika. Robił dla amerykańskiego koncernu.

- No i?

- Inżynierek ma ustosunkowaną żonę. Oparło się o polityków i koncern musiał sypnąć groszem. W sumie dobry pieniądz. I od razu pomyślałem o tobie.

- Ile?

- Po pięćdziesiąt tysięcy na głowę. Zielonych.

- Mało.

- Zgłupiałeś? Niby gdzie tyle dostaniesz?

- Mam robotę za sto tysięcy. Euro.

- Bez jaj. Nikt by ci tyle nie dał.

- Nawet się specjalnie nie musiałem targować.

- Sto kawałków?

- Okrągłe.

- Kto?

- Kościół.

- Co?
- Kościół.
- Co za „kościół”?
- Normalny. Katolicki. Podobno sam Watykan płaci.
- I ciebie wzięli?
- No.
- Znaczący nie wiedzą, coś robił w przeszłości, bobyś dostał ekskomunikę na dzień dobry.
- Myślę, że wiedzą. Nawet na pewno.
- I nie mają cię za zbrodniarza wojennego?
- Jak widać.
- Jak żeś to załatwił?
- Sami mnie znaleźli. Właściwie to... pamiętasz Rafała Wieniawę?
- Ose?
- Dokładnie. Przechrzczył się na katola i nagrał zlecenie.
- Coś takiego... Nie darmo mówią, że Watykan bywa zabójczo pragmatyczny.
- Jak widać.
- Co zrobić. Szkoda. Przydałbyś się.
- Jeszcze będzie okazja.
- Kto wie.

Rozdział 2

Nieduży parking na peryferiach miasta zapewniał dyskrecję. Rafał Wieniawa spojrzął na zegarek. Dochodziła szesnasta pięćdziesiąt osiem. Umówili się punkt piąta po południu. Magnat nie miał w zwyczaju się spóźniać, a nie było go widać. Czyżby coś się stało? Wieniawa wzdrygnął się na samą myśl. Jakby, nie daj Boże, Sznajder nie mógł wziąć zlecenia, byłyby poważne kłopoty. Nikt właściwie nie wiedział, jak bardzo poważne.

Mężczyzna stał oparty o maskę samochodu. Niecierpliwił się. Obserwował przechodzących ludzi. Wracali do domów pewnie z pracy i zakupów. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na zaparkowany samochód terenowy. Dzielnica wyglądała na zamożną, więc widok auta z górnej półki nikogo tutaj nie dziwił.

Osa ponownie zerknął na zegarek. Była dokładnie siedemnasta. Zaczął nerwowo bębnić palcami o karoserię. Niedobrze, pomyślał. Ale zdawał sobie sprawę, że musi czekać. Aż do skutku. Jeżeli Magnat żyje, to w końcu przyjdzie.

Usłyszał za sobą szmer, jakby szuranie butów. Oderwał się od samochodu. Złodzieja taka bryka musiała kusić. Jeżeli takowy nie dostrzegł Osy i teraz właśnie zabierał się do otwierania drzwi jeepa, to miał strasznego pecha. Rafał Wieniawa nie zamierzał bawić się w umoralniające gadki. Nie tym razem, mimo diametralnej zmiany, jaka pewien czas temu zaszła w jego życiu. Ten samochód był zbyt cenny, a sprawa aż nadto poważna.

Staął przy drzwiach kierowcy, gotów, by w razie potrzeby natychmiast spuścić łomot człowiekowi zbyt interesowanemu jego autem. Odruchowo napiął mięśnie przedramion i... Okazało się, że niepotrzebnie.

Andrzej Sznajder kopnął czubkiem buta w koło. Przyglądał się jeepowi krytycznie. Zaglądnął pod podwozie. Z pewnością był świadomy obecności Osy, ale nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Otworzył drzwi po stronie kierowcy i usiadł.

- W dżungli już by cię nie było - odezwał się. - Zdziadziałeś, człowieku, u katoli.

Osa wyciągnął do niego rękę z kluczami.

- Coś za coś - stwierdził filozoficznie Rafał. - Myślisz, że żałuję?

- A co mnie to obchodzi. - Sznajder wzruszył ramionami.

- Jakaś prezentacja?

Wieniawa usiadł na fotelu pasażera. Znał modyfikacje samochodu. W końcu sam je zlecał.

- Zapuć silnik - powiedział do towarzysza.

Samochód zaczął cicho chodzić na jałowym biegu.

- Ładnie wyciszony.

- Dodatkowy drobiazg, żebyście sobie w drodze pokonwersować mogli - powiedział Osa z kwaśnym uśmiechem.

- Widzę, że humor ci się wyostrzył. Co to za przyciski? - Sznajder wskazał minikonsolę na wysokości drążka skrzyni biegów.

- Będziesz zachwycony. Tym wysuwasz karabinek maszynowy. Ma tylko jeden magazynek, ale na drobne kłopoty wystarczy. To gałka do jego ustawiania. Tutaj masz dwie małe rakiety ziemia-ziemia. Na czołg może za słabe, ale rozwiązują resztę problemów. Tu masz schowek. Załadowany pistolet maszynowy i twój ulubiony glock. Poręczne. Wyciągasz w niecałą sekundę.

Andrzej Sznajder wypróbował schowek. Rzeczywiście, wyciągnięcie pistoletu nie nastroczało najmniejszych trudności.

- Dobrze pomyślane. Coś jeszcze?

- Tak jak wcześniej mówiłem, szyby pancerne, drzwi kuloodporne, ale karoseria tylko wzmocniona. Za ciężki by

był. W każdym razie byle co ci krzywdy nie zrobi. Opony oczywiście nie do ruszenia. Gumy nie złapiesz. Strzał z niedużego kalibru też powinny wytrzymać. Silnik trochę żre paliwa, ale jak na tę moc, to i tak rewelacja. Daje radę wszystkim osobowym, a ze sportowymi to się raczej nie będziesz ścigał.

- Tego nie wiesz.

- To będziesz prawie jak równy z równym.

- No i to „prawie” może zrobić różnicę - zauważył Magnat sceptycznie. Przeglądał skrupulatnie wnętrze pojazdu. - Nawigacja?

- Zostawiliśmy fabryczną. Jest naprawdę przyzwoita.

- Dobrze wiedzieć. A ten monitor?

- Kamera zewnętrzna. Obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni. Bardzo dobre przybliżenie. W razie czego możesz sobie obejrzeć obiekt odległy o pięćset metrów. Tu jest sterowanie. Kąt nachylenia to czterdzieści pięć stopni do góry.

- Pięknie. Postaraliście się. Słowem, możesz mi mówić 007.

Osa pokiwał głową.

- Po drodze może być gorąco.

- Nie wątpię. Inaczej byś do mnie nie przychodził. Który serwis takie rzeczy robi?

- Powiedzmy, że kościelny. Nie dla zwykłych śmiertelników.

- Domyślam się. Zresztą wasza sprawa. Fajnie by było, gdybyście dorzucili jakąś ręczną wyrzutnię rakietową i może jakiś granatnik. Poczuję się swobodniej.

- Nie da rady. Za duże ryzyko - stwierdził Wieniawa. - Ewentualne służby graniczne nie pokochałyby cię za to.

- W Europie nie ma granic.

- Tak, ale *shit happens*, jak to mawiał Forrest Gump.

- Dobra. Czyli jest, co trzeba.

- Życzę ci, żebyś nie musiał z tego korzystać - powiedział poważnie Wieniawa.

- Szkoda, żeby się zmarnowało - odparł Sznajder pogodnie.

- To nie są żarty.

- Wyluzuj, Osa. - Klepnął towarzysza po plecach. - Będzie dobrze. Nie takie rzeczy się robiło i z nie takim sprzętem. W Europie jesteście i pewnie mało co mi się przyda, ale jak to u was mówią, strzeżonego Pan Bóg strzeże. Wolę mieć coś mocniejszego pod ręką, tak na wszelki wypadek.

- Tak, jesteście w Europie. Dlatego pamiętaj, żebyś używał tego z umiarem, bo jak wywalisz z czegoś mocniejszego, będziesz miał całą lokalną policję na karku.

- Policja też dla ludzi.

- Właśnie. To tyle ode mnie. Dalej sobie poradzisz.

- Załatwisz jakiś transport? Tym pojedę pod Rzeszów. Potem zadekuję go gdzieś na wszelki wypadek.

- Już załatwione. Dajesz sygnał i wysyłamy zaufanego człowieka.

- Pięknie.

- No to spadam. - Osa wyciągnął dłoń na pożegnanie. - Dowieź przesyłkę w jednym kawałku.

Magnat nie podał mu ręki.

- Nie przed robotą. Pecha przynosi.



Magnat klepnął kierowcę w ramię.

- Tu mnie wysadź. Dalej pójde pieszko.

- Jeszcze ze trzy kilometry.

- Pospaceruję po tych górkach trochę. - Sznajder wskazał wzrokiem gęsto zalesione wzgórza wznoszące się po obu stronach klasztoru. - Ładnie tu.

Wszedł na ścieżkę prowadzącą do lasu. Ubrany w łachy robocze niczym nie odróżniał się od rolnika wracającego właśnie z pracy w polu. Przybrudzone drelichowe spodnie, ciemna flanelowa koszula z zakasnymi rękawami, a na głowie wyświechtana czapka leninówka.

Sznajdera od razu uderzył specyficzny zapach leśnego powietrza. Z przyjemnością wciągnął go w nozdrza. Jedynym dźwiękiem zakłócającym wszechobecną ciszę był śpiew ptaków. Andrzej szedł ponad godzinę, bardzo uważnie rozglądając się wokół, jakby czegoś lub kogoś szukał. Pod górę wchodził kilkadziesiąt minut. Po drodze spotkał starszą kobietę w kwiecistej chustce na głowie. Pozdrowiła go słowami: „Szczęść Boże”. Odpowiedział tym samym, uchylając czapki. W pierwszej chwili był lekko zaskoczony. W końcu byli dla siebie zupełnie obcy. Kto normalny pozdrawia zupełnie obcych? Widać jednak w tych rejonach panują trochę inne obyczaje. Dobrze wiedzieć.

Powoli zbliżał się do szczytu wzgórza. Las się przerzedzał. Tylko nieliczne miejsca porośnięte były iglastymi drzewami. Przed nim rozciągał się wspaniały widok na dolinę. W oddali piętrzyły się mury klasztoru. Z tej wysokości nie przesłaniały one widoku górnych okien budynków wewnętrznych.

Przeszedł jeszcze kilkadziesiąt metrów i przystanął. Włożył ręce do kieszeni i obserwował najbliższą okolicę. Nie było żywego ducha. Kiedy już miał zacząć schodzić w stronę klasztoru, spostrzegł, że coś się poruszyło za jodełkami jakieś trzydzieści metrów przed nim. Natychmiast poszedł w tamtym kierunku.

Starał się posuwać bezszelestnie. Umiejętność ta już nie raz w przeszłości uratowała mu życie. Jeżeli ktoś krył się za drzewkami, nie miał szans usłyszeć zbliżającego się Sznajdera, który szerokim łukiem obszedł kępkę jodeł, by sprawdzić, co lub kto kryje się za nimi.

Dostrzegł dwóch mężczyzn w wojskowych panterkach. Siedzieli do niego tyłem, na wędkarskich krzeselkach. Rozmawiali. Obok na trójnożnym statywie stała czarna luneta z okularzem skierowanym na klasztor.

Magnat celowo zaczął hałaśliwie iść w ich stronę. Natychmiast odwrócili głowy i przywitali go wrogimi

spojrzeniami. Najwyraźniej ich zaskoczył. Nie spodziewali się, że ktoś ich tu znajdzie.

- Szczęść Buoże! - krzyknął do nich i uniósł rękę. Próbował naśladować lokalny akcent. Zależało mu, by uśpić ich czujność. - Panowie pewni tyż z Warszawy? Naszy ptaszki oglądacie - zagadywał przyjaźnie, podchodząc do mężczyzn. Ci wstali z krzesełek i przyglądali mu się w milczeniu. - Bo tu już byli tacy z Warszawy. Nie powiem, z uniwersytetu, łuczone. - Staął przed nieznanymi. - Ale oni to lornetki mieli. Nawet poupatrzyć dali. Nu ale takiej lunety to nie mieli.

Sznajder zaczął taksować urządzenie, co wzbudziło zaniepokojenie jednego z mężczyzn, który podszedł do niego, chwycił za łokieć i szybkim ruchem odsunął od lunety.

- Tego nie wolno dotykać - powiedział stanowczo. - To bardzo drogie urządzenie. Potrzebne nam do pracy.

- Ja tylko puopatrzył. Nie dotykał, Boży broń.

- O co chodzi? - spytał szorstko drugi facet, chudy i wysoki. Z wyglądu przypominał trochę młodego Marka Niedźwieckiego. - Jesteśmy bardzo zajęci.

- Nu ja rozumim. Ja tyko chciał spytać, czy wy by mlika świzutkiego nie chcieli? Albo jajik, świzusieńkich. W klasztorze bioro i bardzo chwalo. Bo jak trzeba, to...

- Nic nie potrzebujemy - krótko uciął zniecierpliwiony wysoki. Jego kolega, niemal o głowę niższy, przyglądał się intruzowi.

- Nic w ogóle?

- Nic, gospodarzu. Jakby co, to przyjdziemy i poprosimy. Teraz nam tu nie wolno przeszkadzać.

- Oj, tak, tak. Już idę. Ja tam w następnej wiosce mieszkam. Jakby co trzeba, to o Tadzia Pitułę pytać. Mnie tu wszystkie znajo.

- Dobrze, będziemy pamiętać.

- Nu to ja sie żegnam. Miłej pracy panom życze.

Sznajder uniżenie uchylił czapkę i oddalił się. W niecałą godzinę, idąc spokojnym spacerkiem, znalazł się przed furką klasztoru. Chwycił ozdobną metalową kołatkę i energicznie nią zastukał. W drzwiach otworzyło się maleńkie okienko, w którym pojawiła się twarz starej zakonnicy.

- Słucham? - powiedziała przyciszonym i mało przyjaznym głosem.

- Chcę się widzieć z księdzem Jerzym. Jerzym Bacikiem.

- Tu jest klasztor żeński - poinformowała go surowo. - Takiego księdza u nas nie ma.

- Siostrzyczko, nie utrudniaj. Jestem umówiony. Rusz się i wołaj swojego szefa czy szefową, kogo tam macie.

Twarz zakonnicy poczerwieniała z oburzenia.

- Spytam matkę przełożoną - odpowiedziała po chwili z naciskiem na dwa ostatnie słowa, żeby mężczyzna wbił sobie do głowy, kto kieruje klasztorem. - Proszę czekać - dodała oschle i zamknęła okienko.

- Pewnie, poczekam - mruknął Sznajder pod nosem. - Co mam do roboty?

Odwrócił się od furki i nie bez przyjemności patrzył na roztaczający się przed nim krajobraz. Klasztor usytuowany był w naprawdę malowniczym terenie. Pomyślał, że fajnie by było kiedyś zamieszkać w takim miejscu. Z zadumy wyrwał go głos starszej kobiety:

- Jak się nazywa?

Andrzej odwrócił głowę. Matka przełożona z wyglądu miała nie więcej niż pięćdziesiąt lat. Nie zdziwiło go, że kobieta zwróciła się do niego w trzeciej osobie. Pewni ludzie, szczególnie starsi, tak mają.

- Andrzej Sznajder. Do księdza Jerzego Bacika.

- Jakiś dowód ma? - Skrzywiła się, taksując jego odpychający ubiór.

- Oczywiście. - Magnat sięgnął po portfel do tylnej kieszeni brudnych spodni i podał jej dokument. - Proszę.

Kobieta przeczytała jego dane osobowe i porównała zdjęcie z rzeczywistością.

- Wypadaloby się schludniej ubrać na wizytę - stwierdziła, oddając mu plastikową kartę.

- Nie podoba się siostrze? - Skrzywił usta w niewinnym uśmiechu. - To moje najlepsze ubranie - zakpił bezczelnie.

- Z kim to ten nasz ksiądz się zadaje...

- Też mnie to martwi - Sznajder nie mógł się powstrzymać, by nie dworować sobie z zakonnicy.

Matka przełożona spiorunowała go spojrzeniem, ale nic nie powiedziała. Otworzyła ciężką furtę i czekała, nie patrząc w jego kierunku, aż mężczyzna wejdzie na dziedziniec. Zatrzasnęła za nim drzwi i nie oglądając się, bez słowa ruszyła szybkim krokiem w stronę wejścia do budynku. Sznajder podążył za nią. Rozglądał się ciekawie. Wokół było zupełnie pusto. Jakby nikt tu nie mieszkał.

Wąskimi korytarzami doszli do drzwi niewielkiego pomieszczenia przypominającego bibliotekę w maleńkiej wiejskiej szkole. Książki były dosłownie wszędzie. Na środku stało biurko, za którym siedział ksiądz Jerzy. Ślęczał nad jakimiś starymi, rozłożonymi na blacie woluminami. Na skrawku wolnej przestrzeni na prawo od drzwi stało krzesło z wysokim oparciem; zajęła je matka przełożona. Magnat domyślił się, że nie ma najmniejszego zamiaru opuścić pomieszczenia na czas ich rozmowy.

Ksiądz Jerzy podniósł wzrok i ściągnął z nosa okulary.

- Do czytania - powiedział tonem usprawiedliwienia i uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Witam, panie Sznajder. Proszę, niech pan usiądzie... gdzie bądź.

Sznajder przysunął do biurka drewniany stołek. Popatrzył wymownie na matkę przełożoną, a następnie przeniósł wzrok na księdza Jerzego. Kapłan natychmiast zrozumiał, o co mu chodzi.

- Matka przełożona zna sprawę - stwierdził kapłan uspokajająco. - Cały czas się opiekowała Joanną, aż... -

podrapał się po czubku głowy – aż zaszły okoliczności, które wymusiły na nas przewiezienie jej do Watykanu.

- Jakie okoliczności? – spytał Magnat bez ogródek.

- Pewne okoliczności – wtrąciła się zakonnica. – To powinno panu wystarczyć.

Sznajder popatrzył najpierw na nią, potem na księdza, który wydawał się pozostawać w jej tajemniczej władzy, po czym wrócił wzrokiem do zakonnicy.

- Posłuchaj, siostrzyczko – zwrócił się do niej ostro. Kobieta otworzyła usta, by go zganić, ale nie dał jej dojść do słowa. Wyciągnął palec wskazujący, na jego twarzy pojawiła się zaciekleść, która sprawiła, że słowa uwięzły zakonnicy w gardle. Ten człowiek nagle zaczął budzić przerażenie. – Nie będziemy się bawić w żadne gierki. Nadstawiam dupę – zupełnie nie ruszała go nieadekwatność takiego słownictwa w tym miejscu – i jestem odpowiedzialny za to, żeby dziewczyna dotarła na miejsce przeznaczenia w jednym kawałku. Jak o coś pytam, to znaczy, że jest to ważne. Jak będziecie kręcić, to wasza przesyłka dojedzie do Watykanu w plastikowym worku. Rozumiemy się?

Ksiądz Jerzy przytaknął skwapliwie. Zakonnica spurpurowiała, ale obawa o los dziewczyny przeważała. Kiwnęła potakująco głową.

- Był zamach na Joannę – pośpieszył z odpowiedzią ksiądz.

- Tutaj?

- Właśnie tutaj. I to jest najgorsze.

- Jak to możliwe?

- Jedna z nowicjuszek rzuciła się na nią z nożem. Udało się ją obezwładnić, ale mało brakowało.

- Gdzie teraz jest?

- Ta nowicjuszka?

- No.

- W zakładzie zamkniętym.

- Wariatka?

- Tego bym nie powiedział. Realizowała konkretne zlecenie od swoich mocodawców. Lepiej, że trafiła do szpitala dla psychicznie chorych niż na policję.

- Dobra. Kto i dlaczego chce ją sprzątnąć? - Magnat założył ramiona na piersi. Ksiądz i matka przełożona wymienili spojrzenia. - No, słucham.

- Joanna stanowi zagrożenie dla pewnej, jak to się mówi, organizacji, bardzo, ale to bardzo złej organizacji. Z piekła rodem.

- Jacyś sataniści chcą ją dopaść?

- Sataniści to byłby niewielki problem. Ci ludzie to kwintesencja zła. Są doskonale zorganizowani i stają się coraz potężniejsi.

- Brzmi jak islamscy terroryści...

- To nie terroryści.

- Czyli?

- Tego właśnie dokładnie nie wiemy. Udało się jedynie ustalić, że za wszystkim stoi pewna korporacja prawniczo-finansowa o nazwie Tucker & Hartmann. Ale i tak nie wiemy nic na sto procent.

- Niby po co im ta wasza protegowana?

Ksiądz skulił się w sobie. Popatrzył siedzącemu naprzeciwko niego mężczyźnie głęboko w oczy.

- Panie Sznajder, słyszał pan o Apokalipsie świętego Jana?

- Co mi tu ksiądz... - zniecierpliwził się Magnat.

- O znakach i o tym, że zło zapanuje nad światem?

Andrzej westchnął ciężko.

- Taaak. I przyjdzie Antychryst z kumplami jeźdźcami Apokalipsy, żeby zamordować panienkę, którą tu chowacie. Proszę księdza, mnie interesują wyłącznie realia.

- Nie przyjdzie Antychryst - ciągnął niezrażony ksiądz Jerzy. - Może nie nadejdzie też Apokalipsa, a przynajmniej nie prędko. Dopóki żyją jeszcze ludzie tacy jak Joanna.

- To jakaś święta?

- Nie.

- Więc kto?

Kapłan dłuższą chwilę przyglądał się mężczyźnie, jakby chciał się jeszcze upewnić, czy jest godzien podjąć się tej misji i czy będzie w stanie doprowadzić ją do końca. Najwyraźniej ostatecznie uznał, że tak, i odezwał się cicho:

- Joanna będzie wiozła pewną relikwię. - Zawiesił głos i sprawdził, jakie wrażenie jego słowa wywarły na Magnacie. Wrażenie było żadne. Sznajder nadal wpatrywał się w księdza z kamienną miną. - To relikwia o kardynalnym znaczeniu dla wiary i w ogóle ludzkości.

- Muzułmanie i inni fanatycy pewnie nie podzielają tego poglądu.

- Wiem, co mówię, panie Sznajder.

- Tak, tak... - mruknął Andrzej z wyraźnym powątpiewaniem.

- Ta relikwia w żadnym wypadku nie może się dostać w niepowołane ręce.

- I tyle zamieszania o kawałek jakiegoś waszego świętego czy inne tam gównno...?

Ksiądz łypnął z obawą na matkę przełożoną. Obrazoburcze słowa Sznajdera wywarły piorunujący efekt. Kobieta spąsowiała ze złości, ale jednak powstrzymała się od komentarza.

- Jest to coś, czego moc można by porównać nawet do Arki Przymierza, o ile wie pan, o czym mówię...

- Film kiedyś był.

- Z tą tylko różnicą, że to raczej jej przeciwieństwo.

- Przeciwieństwo? - Magnat uniósł brwi. Ksiądz Jerzy zrobił cierpiętniczą minę. - A zresztą, co mnie to obchodzi. Płacicie mi za ochronę, a nie za rozumienie.

- No właśnie - przytaknął kapłan z ulgą. - Chciałbym pana jeszcze raz uczulić, że to bardzo, ale to bardzo niebezpieczni ludzie. Nie cofną się przed niczym, żeby zabić Joannę i przejąć relikwię.

- Niebezpieczni, mówi ksiądz? *Pożywiom, uwidim.*

- Widzę, że jest pan dość pewny siebie.

- Jestem realistą. Jeżeli nie wyślą przeciwko nam jednostek specjalnych, a z tego, co ksiądz mówi, nie zanosi się, to z resztą sobie poradzę. To w końcu Europa jest. Nie ma min przeciwpiechotnych, nikt nie strzela z ręcznych wyrzutni rakiet, nie używa się napalmu ani fosforu... Życie nie umierać.

- Zbyt lekko to pan traktuje...

- Proszę księdza, ja nigdy nie traktuję lekko swojej roboty - przerwał Sznajder śmiertelnie poważnie, nachylając się w stronę kapłana. - Inaczej byłbym już śmierdzącym ścierwem na jakimś zadupiu. Niech ksiądz o tym pamięta.

- Ech, ten pański język... Z piekła rodem.

- W niejednym piekle się bywało.

- Słyszałem - stwierdził ksiądz ponuro.

- Od Osy? - Ksiądz Jerzy potwierdził skinieniem głowy. - A o tym, cośmy w Sierra Leone razem robili, też mówił?

Na twarzy księdza odmalowało się wzburzenie. Zdecydowanie wiedział, o czym Magnat mówił.

- Panie Sznajder, niech pan sobie daruje.

- Czyli pan słyszał. I wyście go do siebie przyjęli?

- Naprawdę bardzo pana proszę! - ksiądz Jerzy podniósł głos.

- Nerwowy ksiądz jest. Dobra, nieważne. Ta relikwia, po co im? Chcą ją rzucić na rynek? Jakaś wartość kolekcjonerska?

- Ta relikwia ma niewyobrażalną moc. W niepowołanych rękach może doprowadzić całą ludzkość do strasznych nieszczęść. Coś jak puszka Pandory.

- Czemu nazywacie to „relikwią”? Chyba to niezbyt fortunne określenie?

- Ze względów bezpieczeństwa. Budzi mniejsze zainteresowanie.

- Rozumiem.

- Tak więc ta relikwia...

- Tak, tak. Już słyszałem. A ta kobieta, co ma do tego?

- Tylko ona może ją przewieźć.

- Dlaczego?
- Nie wiemy tego do końca. Ale nikt inny nie byłby w stanie tego zrobić.
- Znowu coś ksiądz ukrywa. Bo się zdenerwuję.
- Naprawdę nie wiemy. To są sprawy wiary i religii. Nie potrafię tego wytłumaczyć, a już szczególnie komuś, dla kogo wiara jest pojęciem raczej obcym.
- A tak z czystej ciekawości...

Ksiądz domyślił się, o co mężczyzna chce spytać.

- Pewnie chce pan wiedzieć, dlaczego nie zwróciliśmy się do najlepszych firm na świecie. Stać nas. Moglibyśmy mieć najbardziej profesjonalną ochronę. Prawda? Choćby z Blackwater.

- Widzę, że ksiądz zorientowany.
- Odrobiłem lekcje. Ale jeśli chodzi...
- Właściwie to się domyślam.
- Tak?
- Przeciwnicy przewidzieli taką ewentualność. Prędzej czy później dostaliby info. Raczej prędzej niż później, i byłoby po wszystkim.

- Dokładnie. Musieliśmy działać niekonwencjonalnie.

Sznajder świdrował kapłana wzrokiem. Uznał w końcu, że ksiądz Jerzy mówi szczerze.

- Dobra, niech wam będzie. - Rzucił okiem w kierunku siedzącej w milczeniu matki przełożonej. - Jak będzie trzeba, to sam się reszty dowiem. Idźmy dalej. Wiecie, że klasztor jest obserwowany? Myślę, że dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zdziwiłbym się, gdyby tak nie było.

- W jaki sposób? Skąd pan to wie? - włączyła się do rozmowy zakonnica. - Nikt nigdzie nie zauważył nikogo podejrzanego.

- Obserwator nie jest zainteresowany tym, żeby go ktoś zauważył. Gdybyście więcej po okolicznych górkach spacerowali, może by się wam poszczęściło, choć i tak wątpię.

- Mój Boże! - zasepił się ksiądz Jerzy. - Czyli co? Nie można Joanny stąd wywieźć, bo się od razu zorientują? Może jakieś przebranie, ukryć ją gdzieś w samochodzie, żeby nie widzieli...? Na przykład jak zaopatrzenie przyjeżdża...

- Przechwyć samochód. Ma to ksiądz jak w banku.

- Ale skąd by wiedzieli? Przecież byśmy w tajemnicy...

- Będą wiedzieli na pewno. Macie tu szczura.

- Co mamy? - zakonnica i ksiądz spytali nieomal jednocześnie.

- Szczura. Zdrajcę. Kogoś, kto da im znać, jak Joanna wyjedzie.

- Jakim cudem? Przecież nikt klasztoru nie opuszcza. Pan chyba nie wie, o czym mówi.

- Dwóch ludzi obserwuje klasztor. Ze wzgórza widać budynki za murem. Wystarczy jakiś umówiony sygnał lub na przykład jego brak.

- To mamy teraz szukać zdrajcy? A właściwie zdrajczyni?

- Ksiądz Jerzy załamał rękę.

- Nie znajdziecie. Poza tym zdaje się, że nie bardzo jest czas. Tak?

- To co robić?

- Przygotujcie tę waszą świętą na jutro do drogi. Ma być gotowa przed południem. Jutro rano macie dostawę prowiantu? Zgadza się?

- Tak - potwierdziła zakonnica.

- Zabierzemy się z nimi z klasztoru. Pod Rzeszowem przesiądziemy się do mojego auta.

- Jak to? Przecież sam pan mówił, że od razu będą wiedzieli, że Joanna wyjechała - nie rozumiał ksiądz.

- Dopilnuję, żeby się nie dowiedzieli. Przynajmniej nie jutro. A jak się już zorientują, będziemy w drodze.

- Jak pan chce to zrobić?

- Skutecznie, proszę księdza, skutecznie. Przesyłka wyjedzie stąd niezauważona. To mogę zagwarantować. A potem... Lepiej, żeby ksiądz nie znał szczegółów.

- Matko Przenajświętsza... - Ksiądz Jerzy nie wyglądał na przekonanego.

- Teraz muszę iść do wsi. Inaczej się zorientują, że coś jest nie tak. Będę jutro przed południem. Dostawcy powiecie, że jedna z sióstr jest chora, i poprosicie, żeby zabrał ją z opiekunem do miasta do lekarza. Rozumiecie?

- Oczywiście - potwierdził ksiądz Jerzy.

- Matko przełożona?

Magnat zwrócił się do niej w przepisowy sposób. Nie chciał jej tym razem niepotrzebnie denerwować.

- Tak będzie - zgodziła się.

- Dobra. Wyprowadźcie mnie za bramę.

- Pieszko pan pójdzie? - zatroskał się kapłan. - Do wsi będzie ze sześć kilometrów.

- Dam radę. - Sznajder uśmiechnął się i klepnął księdza po ramieniu.

- Ma pan gdzie zanocować? Bo w razie czego...

- Pod Rzeszowem jest taki pensjonacik. Wynająłem pokój, ale dzięki za troskę.

Ksiądz Jerzy pod karcącym spojrzeniem matki przełożonej wyglądał na zakłopotanego. Ona by się o tego gbura nie martwiła. W jej mniemaniu nie zasługiwał na to.

Rozdział 3

Andrzej Sznajder pojawił się na znajomych już sobie wzgórzach wcześniej rano, ubrany dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia. Nie chciał wzbudzać podejrzeń, choć o tej porze nie oczekiwał, że kogokolwiek spotka. Normalni ludzie przed szóstą powinni przecież spać lub w najlepszym wypadku krzątać się po gospodarstwie, a nie włóczyć po okolicy.

Ciężkie, robocze buty były mokre od rosy. Chociaż niezbyt reprezentacyjne, świetnie nadawały się do spacerów po bezdrożach.

Mężczyzna od razu skierował się w miejsce, gdzie wczoraj spotkał dwóch „warszawiaków”. Domyślał się, że już ich tam nie będzie. Byliby głupi, gdyby zostali. Jednak nie mogli przenieść się daleko. Tylko z tego wzgórza można było prowadzić skuteczną obserwację zabudowań klasztornych.

W miejscu wczorajszego spotkania odegrał komedię. Udał bardzo zawiedzionego. Ściągnął czapkę i z zakłopotaniem drapał się po głowie. Coś do siebie mówił pod nosem. Doskonale zdawał sobie sprawę, że zapewne przyglądają mu się, i to raczej z niewielkiej odległości. Musieli być czujni. W końcu machnął ręką zrezygnowany. Gest oczywiście przesadzony, na pokaz. Zdążył wcześniej przeanalizować sytuację, rozejrzeć się w najbliższej okolicy i z dużą dozą prawdopodobieństwa wytypować, gdzie obserwatorzy powinni się w tej chwili znajdować. Starał się nie patrzeć w tamtym kierunku. Westchnął głośno, jeszcze raz machnął ręką i poszedł w przeciwną stronę.

Tymczasem „ornitolog” numer jeden, ten wysoki i chudy, odsunął lornetkę od oczu.

- Poszedł sobie - powiedział do towarzysza. - Szlag by go! Najlepsze miejsce nam spalił.

- Tylko jak wsiok zacznie gębą kłapać, to żeby kłopotów nie było.

- Spokojnie. Widziałeś go. To jakiś wiejski głupek. Nawet gdyby, to kto takiego będzie słuchał?

- Oby. Może by... - drugi z „ornitologów” nie zdążył dokończyć.

- Ach, dzin duobry, panowie kochani. Tak raniutko i już pracujo? - zagadnął Magnat nad wyraz pogodnie, z serdecznie rozłożonymi ramionami. - No, no. Ja myślał, że tylko my, chłopci, wstajem tak raniutko. Ja przechodził tu niedaleczko i przywitać się przyszeł.

Mężczyźni spojrzeli po sobie zdezorientowani. Jakim cudem udało mu się ich znowu znaleźć? Co za cholera?! Wysoki myślał gorączkowo, co z natrętem zrobić. Chwycił rękojeść noża wojskowego za paskiem. Można by go ewentualnie wyeliminować. Problem w tym, że trzeba by się jakoś skutecznie pozbyć ciała, a w okolicy byłoby to raczej trudne. Poza tym zaraz pewnie ktoś by go zaczął szukać i kłopot gotowy. Wysoki odsunął dłoń od noża.

Tymczasem Sznajder był już przy nim z wyciągniętą na powitanie ręką. Uśmiechał się głupkowato od ucha do ucha. Wysoki zacisnął usta. Z trudem tłumził złość na tego wścibskiego przygłupa.

- Niech pan posłucha, jak panu tam... - powiedział do przybysza przez zęby i pokiwał palcem wskazującym przed oczami Magnata. - Nam tu nie wolno przeszkadzać. Dociera?

- Dociera, czemu by miało ni docierać? - odpowiedział pytaniem Andrzej. Uśmiech znikł z jego twarzy.

Chwycił dłoń „ornitologa” numer jeden, wykręcił nadgarstek do tyłu. Mężczyzna zgiął się w pół. Był kompletnie zaskoczony. Silne kopnięcie w żebra sprawiło, że na moment stracił oddech. Sznajder błyskawicznie złapał go za włosy, odciągnął mu głowę do tyłu i kantem dłoni

zadał cios w lewą część szyi. W ten sposób pozbawił delikwenta przytomności.

Drugi „ornitolog”, oddalony o kilka metrów, zdążył połapać się w sytuacji i skoczył na Sznajdera uzbrojony w nóż. Zrobił to tak szybko, jak tylko mógł, i tu popełnił błąd. Mając za przeciwnika kogoś pokroju Magnata, powinien był albo lepiej przygotować ten atak, albo brać nogi za pas. Miałyby przynajmniej szansę, by ująć z życiem.

Andrzej bez większego problemu zszedł z linii ciosu, wyłapał uzbrojoną rękę i założył klasyczną dźwignię. Staw zatrzęszczał, ale nie pękł. Nóż wypadł na ziemię. Sznajder odwrócił przeciwnika i włożył mu rękę pod brodę, a drugą zacisnął na karku. Przydusił i „ornitolog” numer dwa osunął się bez przytomności na poszycie.

Magnat wyciągnął z kieszeni strzykawkę i nałożył igłę. Odchylił mężczyźnie małżowinę uszną i wstrzyknął do krwiobiegu pęcherzyk powietrza. Miał doświadczenie. Wiedział, że gdy powietrze dojdzie do serca, doprowadzi do zawału. Wiedział też, że odkrycie przyczyn tego zawału będzie trudne, a na pewno czasochłonne. Przy odrobinie szczęścia i kiepskim patologu przeprowadzającym sekcję ślad po igle zostanie wzięty za ukłucie komara. W ten sam sposób potraktował pierwszego „ornitologa”. Trochę potrwa, zanim ktoś ich tu znajdzie. A on i jego przesyłka będą już wtedy daleko.

Były żołnierz podniósł nóż niskiego i schował go. Rozłożył lunetę i starannie zakopał jej części. Potem poszedł w stronę klasztoru. Idąc, obserwował okolicę. Zerknął na zegarek. Cztery po szóstej. Wokół wciąż było pusto. Nikogo nie spotkał i raczej mało prawdopodobne, by ktoś go widział. Wszystko szło zgodnie z planem. Teraz musiał jak najszybciej wywieźć przesyłkę.



Ksiądz Jerzy nie potrafił ukryć podenerwowania. Wprowadził Magnata do refektarza. Oprócz nich nie było w nim żywego ducha. Kapłan wskazał mężczyźnie miejsce za drewnianym stołem. Nie odzywał się, tylko patrzył na człowieka, na którego barkach złożona została kolosalna odpowiedzialność, z której pewnie nie zdawał sobie nawet sprawy. Ksiądz wciąż był pełen wątpliwości, ale jeden fakt nie pozwalał mu zrezygnować z usług tego dziwnego człowieka.

- Wie pan, panie Sznajder, dlaczego ostatecznie się na pana zdecydowaliśmy? - ksiądz mówił półgłosem, jakby przekazywał mu jakąś tajemnicę.

- Nie dlatego, że Osa mówił, że się najlepiej nadaję?

Magnat przyglądał się księdzu z zaciekawieniem. Takie pytania na tym etapie? Czyżby coś się stało? Poczul lekki niepokój.

- Joanna pana wybrała.

- Co znaczy „wybrała”?

- Dokładnie opisała Rafała Wieniawę jako człowieka, który nas do pana zaprowadzi. Mnóstwo szczegółów. Nie było wątpliwości. Pana też opisała. Ze szczegółami...

- Ze szczegółami?

- Tak. Charakteru. Ale powiedziała, że jest pan jedynym człowiekiem, który będzie w stanie zapewnić im bezpieczeństwo.

- Jak miło. - Sznajder uśmiechnął się półgębkiem. Bawiły go te cuda. - Ale zaraz, powiedział ksiądz „im”.

- Tak powiedziałem.

- Jakim im? Miałem przetransportować jedną osobę. Nie było mowy o towarzystwie.

- Pojedzie z wami jeszcze jeden braciszek.

- To chyba jakieś żarty. - Magnat cudem nie wybuchł. - Z jedną osobą będzie trudno. A wy chcecie mi dowalić jeszcze jakiegoś klechę?

- Panie Sznajder, on panu pomoże. Poza tym będzie wiedział, jak pomóc Joannie w razie potrzeby. On musi

jechać. To nie są nasze fanaberie.

Magnat wstał. Był ewidentnie zły. Nawet nie starał się tego ukrywać.

- Będzie mi mógł pomóc? Rozumiem, że jest przeszkolony, najlepiej w siłach specjalnych? Zdyscyplinowany i obeznany z wszelkimi rodzajami broni? Tak jest? - spytał, mimo iż wiedział, jaka będzie odpowiedź.

- Nie. Brat Serafin nie przeszedł żadnego szkolenia. Przynajmniej nie takiego, o jakim pan mówi.

Sznajder spojrział w zdobiony sufit, jakby tam szukał niebiańskiej pomocy i wiedzy, jak wybić księdzu z głowy dziwaczne pomysły.

- Co będzie, jak się na niego nie zgodzę?

- Nie wiem. Może nam się uda znaleźć kogoś innego na jego miejsce - odpowiedział smutno kapłan. - Może się uda, a może nie. Może Joanna nie przeżyje kolejnych kilku tygodni, miesięcy. Nie wiem. Byłbym strasznie zawiedziony, gdyby się pan nie zgodził, panie Sznajder, i byłoby mi zwyczajnie przykro. Po prostu przykro.

- Przykro? - Szczerość księdza nijak nie przemawiała do Magnata. - Przykro? A jak mi dupę odstrzelą przez tego klechę - mężczyzna z najwyższym trudem panował nad sobą - to też będzie księdzu przykro?

- Będę się za was modlił. Zresztą nie tylko ja.

Sznajder opadł na drewnianą ławę. Oparł łokcie o blat masywnego stołu. Uspokoił się.

- Ksiądz to potrafi człowiekowi życie ułatwić. Jeszcze jakieś niespodzianki?

- Czyli zgadza się pan? - spytał ksiądz Jerzy z nadzieją w głosie.

- Jak ten braciszek, jak mu tam...

- Brat Serafin.

- Obojętnie. Jak zrobi coś głupiego, to osobiście i własnoręcznie mu flaki wypruję. Tak dla jasności, żeby nie było niedomówień.

- Mówiłem bratu Serafinowi o panu - powiedział duchowny. - Myślę, że zdaje sobie sprawę, z kim przyjdzie mu udać się w tę niełatwą podróż.

- Ja nie żartuję, proszę księdza.

- Ja wiem.

Drzwi pomieszczenia otworzyły się. Weszła matka przełożona z surową miną. Nie można było powiedzieć, że ucieszyła się na widok gościa. Magnat też nie witał jej serdecznie. Patrzył zakonnicy zuchwale w oczy. Za matką przełożoną do pomieszczenia weszła szczupła zakonnica. Miała spuszczoną głowę. Ledwie można było dostrzec rysy twarzy spod zasłaniającego ją welonu. Stała obok przeoryszy i podniosła wzrok. Spojrzała na Sznajdera i delikatnie się uśmiechnęła, jak ktoś w ciężkim stadium choroby. Na szyi miała łańcuszek z nietypowo grubymi ogniwami. Nie było widać, co na nim nosiła. Sznajder domyślał się, że pod habitem ukrywał się sporych rozmiarów krzyż, bo cóż by innego? Tylko dlaczego pod habitem?

Kobieta mogła mieć nie więcej niż trzydzieści lat. Była całkiem ładna.

- To jest pan Andrzej Sznajder - powiedziała matka przełożona ewidentnie do siostrzyczki, choć nie zaszczyciła jej spojrzeniem. Patrzyła tylko surowo na Magnata. - Ten pan dowiezie siostrę do Watykanu i będzie za nią w pełni odpowiedzialny. Dużo mu za to zapłacono. - Nie omieszkała o tym wspomnieć, żeby Joanna nie miała wątpliwości, z kim ma do czynienia.

Sznajder wstał, włożył ręce do kieszeni i podszedł do młodej kobiety. Była o ponad pół głowy niższa od niego. Popatrzył jej w oczy. Nie spuściła wzroku.

- Boisz się? - spytał ją bezceremonialnie.

- Tak - odpowiedziała szeptem.

- To dobrze - stwierdził.

- Czemu?

- Mniejsza szansa, że zrobisz coś głupiego.

- Rozumiem.
- Mam nadzieję. Mów mi Magnat.
- Tak, proszę pana - odparła cicho, spuszczaając oczy i krzywiąc się, jakby nagle poczuła ból.
- Nie „proszę pana”. Nie będziemy się bawić w wersal.
- Rozumiem.
- Nie mówiliście, że ona jest chora - zwrócił się do kapłana i przełożonej zakonnicy.
- Nie jest - pośpieszył z wyjaśnieniem ksiądz Jerzy. - Brzemię, które dźwiga, wysysa z niej prawie wszystkie siły. Czasem jest lepiej, czasem gorzej. Trafił pan na ten gorszy moment.
- A ta relikwia?
- Joanna ma ją na sobie - odpowiedziała matka przełożona.

Objęła dziewczynę jedną ręką i przytuliła do ramienia. Magnat był zdumiony tak odmiennym zachowaniem starej zakonnicy. Trudno mu było sobie wcześniej wyobrazić, że w tej kobiecie drzemią jakiegokolwiek pokłady czułości.

Do pomieszczenia wszedł zakonnik w brunatnym habicie. Ogromny kaptur opadał mu na plecy. Przez ramię miał przewieszoną niedużą czarną torbę na szerokim pasku. Wydawała się pusta. Zakonnik był co najwyżej średniego wzrostu, w wieku pomiędzy trzydziestką a czterdziestką. Znaczną część twarzy zasłaniały mu nieduże okulary ze szklami o grubości, której nie powstydzilyby się denka od butelek. Wyglądał na klasycznego urzędasza, gryzipiórka, jakich pełno w instytucjach państwowych wszelakiej maści.

Magnat skrzywił się na jego widok. Ksiądz Jerzy zafundował mu cholerną kulę u nogi. Rzucił kapłanowi spojrzenie, którego wymowy nie trzeba było tłumaczyć. Sznajder podszedł do nowo przybyłego zakonnika, zmierzył go surowym wzrokiem. Duchowny nie patrzył mu w oczy. Czekał cierpliwie ze złożonymi rękami, aż inspekcja dobiegnie końca.

- Posłuchaj, braciszku - powiedział Andrzej dobitnie - nie podobasz mi się i jedziesz tylko dlatego, że ksiądz się upiera. Jak będę miał przez ciebie kłopoty, to cię zabiję. Bez wahania. Chcę, żebyśmy się dobrze zrozumieli.

- Zrozumiałem bardzo dobrze - w głosie zakonnika nie było cienia obawy, co nie uszło uwadze Magnata.

- Doskonale. - Andrzej odwrócił się w stronę księdza Jerzego. - Czyli jesteśmy w komplecie.

Popatrzył na matkę przełożoną. Jednocześnie kątem oka dostrzegł coś, co go zastanowiło. Joanna i brat Serafin wymienili spojrzenia. I życzliwe uśmiechy. Ewidentnie się znali, a wyglądało na to, że nawet więcej niż jedynie znali. Andrzej jednak postanowił nie zaprzętać sobie tym teraz głowy. Jeszcze będzie miał na takie rzeczy dużo czasu.

- Kierowca od prowiantu już jest? - spytał zakonnice.

- Czeka - odpowiedziała, zdawałoby się, łagodniej niż zwykle.

- Szkoda czasu, zbieramy się. - Sznajder wskazał drzwi bratu Serafinowi i Joannie.

- A obserwatorzy? - zapytał ksiądz Jerzy z niepokojem.

- Dzisiaj zrobili sobie wolne.

- To znaczy?

- To znaczy, że jak się nie pośpieszymy, to wasza panna zakończy karierę gdzieś na pobliskim cmentarzu.

Kapłan pokręcił głową. Nigdy nie będzie w stanie przyzwyczać się do sposobu bycia tego człowieka, od którego teraz tak wiele zależy.

Na dziedzińcu czekał biały volkswagen transporter. Kierowca przywitał całą trójkę życzliwym: „Szczęść Boże”. Tylko Magnat nie odpowiedział na pozdrowienie. Usadowił się na siedzeniu pasażera i gdy zobaczył na kanapie za sobą Joannę z bratem Serafinem, kazał kierowcy ruszać i jechać w stronę Rzeszowa. Zanim odjechali, matka przełożona stanęła przy otwartym oknie obok Andrzeja.

- Niech was Bóg prowadzi - powiedziała do Sznajdera. - Będę się za was modliła. Za was wszystkich.

- Dzięki, siostrzyczko - odpowiedział mężczyzna pogodnie.

Samochód wyjechał przez otwartą bramę.

Nie dojechali do Rzeszowa. Po kilkukilometrowej podróży przez gęsty las ciągnący się po obu stronach szosy Sznajder kazał się zatrzymać.

- Wsiadamy - rzucił do tyłu.

- Tutaj? - zdziwił się kierowca. - Mieliliśmy jechać do Rzeszowa.

- Tu niedaleko czeka na nas transport sanitarny - wyjaśnił. - Pan już jest wolny.

Sznajder patrzył, jak brat Serafin bardzo troskliwie pomaga Joannie przy wysiadaniu. Była naprawdę słaba. Zaczął się obawiać, czy zniesie trudy tak dalekiej podróży.

- Dasz radę iść? - spytał zakonnice. - Trzeba przejść jakieś trzysta metrów. Jak chcesz, to cię poniosę - zaoferował.

Nie wiedzieli, czy znowu ironizował, czy tym razem mówił zupełnie poważnie.

- Nic mi nie będzie - odpowiedziała, siląc się na uśmiech.

- To tylko chwilowe. Zaraz przejdzie.

- Dobra.

Poszedł przodem.

- Weź mnie pod rękę, braciszku - usłyszał, jak Joanna zwraca się do zakonnika.

Brat Serafin ujął ją za łokieć. Dziewczyna zaczęła iść pewniej po wąskiej leśnej drodze. Z każdym krokiem wydawała się odzyskiwać siły. Po mniej więcej stu metrach nie potrzebowała już ramienia zakonnika. Szła sama. Sznajder obejrzał się zadowolony, że potencjalny problem z jej zdrowiem zniknął.

Jeep stał zaparkowany zaraz przy dróżce. Naciśnięcie pilota i maszyna błysnęła światłami, jakby chciała pokazać, że się cieszy na widok nadchodzącego właściciela.

Dziewczyna z zakonnikiem usiedli z tyłu. Sznajder bez żenady przebrał spodnie i koszulę. Ubrał ciężką skórzaną

kurtkę. Wygląd wieśniaka nie był mu już potrzebny. Usadowił się za kierownicą. Ze skrytki wyciągnął dwa małe urządzenia wyglądające jak piloty otwierające bramę. Całe szczęście, że miał jedno zapasowe. Wręczył po jednym każdemu z nich.

- To jest coś, co zapewnia nam ciągły kontakt - powiedział do nich ze śmiertelnie poważną miną. - W razie zagrożenia naciskacie czerwony guzik. Na wypadek gdybyśmy się rozdzielili czy coś podobnego. Dostaję sygnał i mogę coś zrobić. Rozumiecie? - Oboje pokiwali posłusznie głowami. - Schowajcie to tak, żebyście w razie czego mieli pod ręką. To ważne.

Urządzenia znikły pod habitami.

Następnie były żołnierz wyciągnął nawigację i zaczął przytwierdzać jej uchwyt do szyby samochodu.

- Ten model ma nawigację fabryczną - zauważył przytomnie brat Serafin.

Kierowca nie przerwał pracy.

- Nie taką, panie ksiądz. Wojskowa. Potrafi rzeczy, o których ci się nie śniło.

- Nie jestem księdzem - burknął brat Serafin.

- Nie? - Andrzej Sznajder odwrócił na chwilę głowę.

- Do zakonu wstąpiłem dwa lata temu. Nie mam jeszcze święceń.

- Co ty powiesz. - Magnat wrócił do montowania nawigacji. - A kim byłeś, jak by to powiedzieć... w cywilu?

- Księgowym.

- Tak myślałem. Wyglądasz.

- ...mafii - dodał brat Serafin i spuścił wzrok, jakby się zawstydził.

Sznajder przerwał robotę. Odwrócił się ponownie.

- Jak powiedziałaś?

- Byłem księgowym mafii.

- To żart?

- Niestety nie. Przez trzy lata siedziałem w brudnych interesach rodzimego świata przestępczego.

- I co, złożyłeś wypowiedzenie z pracy?
 - Zdefraudowałem pewną sumę i przekazałem na cele charytatywne za pośrednictwem Kościoła.
 - Mafia przysłała ci za to list pochwalny?
 - Można by to tak nazwać. W formie bomby pod samochodem. Zginęła cała moja rodzina. Ja oficjalnie też zginąłem. Przynajmniej tak myślą.
 - Znaczy ci twoi ekspracodawcy?
- Coraz bardziej zaciekawiał go ten niepozorny zakonnik.
- Już od dwóch lat. Dużo by opowiadać.
 - Ty mówisz poważnie...
 - Najzupełniej.

Andrzej Sznajder popatrzył przed siebie. Nawigacja była już właściwie zamontowana. Wystarczyło włączyć.

- To mi się towarzystwo trafiło. Święta i mafioso. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. W lusterku jeszcze raz przyjrzał się poważnej twarzy brata Serafina.

- Nie jestem mafiosem - rzucił zakonnik. - A Asia nie jest świętą.

Po raz pierwszy ktoś zdrobnił imię dziewczyny. Sznajder zerknął na zmęczoną fizjonomię kobiety. Nie odzywała się. Rzeczywiście wyglądała, jakby nosiła ogromny ciężar. Ten łańcuch na szyi...?

- No popatrz... - powiedział żołnierz do siebie. Podniósł głos: - Ale strzelać umiesz? - spytał zakonnika, licząc na twierdzącą odpowiedź. Nie pomylił się.

- Umiem.

- Czyli w razie czego będzie z ciebie pożytek.

- Nie wiem.

Jeep szybko wyjechał z lasu. Na drodze był umiarkowany ruch. Sznajder się śpieszył. Jechał grubo ponad sto kilometrów na godzinę. Wyprzedzał brawurowo, ale moc samochodu mu na to pozwalała. Prowadził ostro, lecz pewnie. Od razu dało się zauważyć, że był świetnym kierowcą. Bardzo szybko zostawili za sobą Rzeszów, potem Dębicę i Tarnów, aż wyjechali na trasę do Krakowa.

Przez cały ten czas Sznajder prowadził w milczeniu. Był skupiony i przyglądał się bacznie mijanym samochodom. Rozluźnił się, dopiero gdy zbliżali się do Krakowa.

- Jak będziemy jechać? - zapytał milczącego kierowcę brat Serafin. Joanna tymczasem przysypiała. - Przez Czechy i Austrię?

- Przez Niemcy i może Szwajcarię. Zobaczymy - odparł Sznajder. - Chyba macie jakieś paszporty?

- Czemu tak? Strasznie nadłożymy drogi.

- Ty byś pojechał przez Czechy i Austrię?

- Każdy normalnie myślący człowiek by tak zrobił. Najbliżej.

- No właśnie. Ci, co polują na twoją koleżankę, też by tak zrobili. Będą nas tam szukać. Lepiej nadłożyć drogi i nie dostać po dupie. Nie sądzisz?

- Może i racja.

- Nie może, ja mam rację i przyzwyczaj się do tego. Dopóki jedziemy razem, panuje tu dyktatura. Jasne?

- Jasne.

Nastąpił kolejny długi okres milczenia. Joanna spała spokojnie. Wjechali na autostradę A4. Tym razem Magnat postanowił przerwać ciszę.

- Długo się znacie? - Ruchem głowy wskazał Joannę.

- Spotkaliśmy się jakieś trzy lata temu.

- Znaczy jeszcze zanim świętym postanowiłeś zostać?

- Nie postanowiłem zostać żadnym świętym.

Żołnierz zerknął w lusterku na twarz brata Serafina. Nie był wzburzony. Zachowywał stoicki spokój. Jak widać, był człowiekiem opanowanym. To się może przydać.

- Wcześniej powiedziałaś o niej „Asia”. Wszyscy zwracają się do niej „Joanna”. Masz jakieś powody?

- Można tak powiedzieć.

- No proszę. Niech zgadnę. Byliście ze sobą, a pannie się nagle zachciało do klasztoru...

- Życie jest nieporównywalnie bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje.

- Oświeć mnie.
- Po co?
- Żeby zaspokoić moją ciekawość.
- Nie jestem tu od tego - odpowiedział zakonnik kategorycznie. - Jak dojedziemy do Watykanu, to może sam zrozumiesz.

Sznajderowi zaczynał się podobać ten klecha. Miał swój charakter. Nie bał się. Co by mówić o mafii, to byle kogo u siebie nie trzymają. Między nim a dziewczyną coś musiało być. Jakaś romantyczna historia? Wierzyć się nie chce. Gangster i nieodrodna córka Kościoła. Takie rzeczy się nie zdarzają. A może to ona go z mafii wyciągnęła? Tylko po jaką cholere i w jaki sposób? Andrzej był ciekaw. Jednak nie na tyle, by drążyć temat. Za najważniejsze uważał zadanie, które mu powierzono. Na tym się przede wszystkim skupiał. Skomplikowane relacje „świętych” są w tej chwili mało istotne. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

- A twoja żona? - zastrzeżił go bezpośrednim pytaniem brat Serafin.

- Co moja żona?

- Co z nią?

- Dlaczego myślisz, że mam żonę?

- Nie myślę, że masz. Myślę, że miałeś. Myślę, że cię zostawiła. Zabrała dziecko, stawiałbym na syna, i wyjechała jak najdalej od ciebie.

Zakonnik poruszył drażliwy temat. Nie wiadomo, jakim cudem mu się to udało, ale trafił w dziesiątkę. Siedem lat temu orzeczono rozwód pod nieobecność jednego z małżonków. Marta - wtedy jeszcze Sznajder, teraz któż to wie - wyjechała potem do jednego z krajów zachodniej Europy i zerwała z nim wszelkie kontakty. Czasem myślał, że postąpiła słusznie. Nie miała z nim łatwego życia. Janek, ich wówczas kilkuletni syn, był świadkiem rzeczy, których żadne dziecko u rodziców widzieć nie powinno. Cierpiał i zamykał się w sobie coraz bardziej. Pewnego dnia w Marcie coś pękło. Sprawa została poprowadzona przez cwanego

adwokata sprawnie i szybko. Pewnego dnia Andrzej wrócił do zimnego, pustego mieszkania.

- Wiesz co, braciszku? Są sprawy, o które nie należy pytać.

- Dlaczego?

- Bo nie i już. Mam nadzieję, że wyrażam się dostatecznie jasno.

Zakonnik uśmiechnął się półgębkiem. Spodziewał się podobnej reakcji.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Joanna zadziwiająco mocnym głosem.

Andrzej odwrócił się w jej kierunku. Wyglądała dużo lepiej niż jeszcze parę godzin temu. Jakby sen przywrócił jej siły.

- Dojeżdżamy do Krakowa - odpowiedział.

Cieszył się, że doszła do siebie. Nie chciał mieć dodatkowych kłopotów, a na takowe się wcześniej zanosilo.

- W Krakowie jest fajne centrum handlowe - powiedziała nieomalże z entuzjazmem. - Zajedźmy tam.

Sznajder pokręcił głową i westchnął głośno.

- Ja się chyba przesłyszałem - powiedział ewidentnie zły.

- Proszę - upierała się. - Przecież i tak musimy się co jakiś czas zatrzymywać.

- Jak siusiu, to stacja benzynowa niedługo będzie. - Sznajder nie zamierzał ulegać fanaberiom.

- Panie Magnat - mówiła, uśmiechając się - a nie uważa pan, że w takich strojach przyciągamy za bardzo uwagę? Ktoś się może zainteresować, wykonać jakiś telefon...

Sznajder zdał sobie sprawę, że dziewczyna może mieć rację. Zakonnica podróżująca w towarzystwie cywila to dość nietypowe zjawisko. Jeżeli sama chciała się przebrać, tym lepiej. Braciszek też właściwie mógłby się ubrać jak człowiek.

- Wiesz, jak jechać? - ochroniarz szybko podjął decyzję.

- Powiem, kiedy zjechać z autostrady, potem to już łatwo. Ale pojedźmy najpierw na Wawel.

- Po jaką cholere? - oburzył się kierowca. - Co to, kur... - z jakichś powodów powstrzymał się przed dokończeniem niecenzuralnego słowa - wycieczka krajoznawcza?

- Zostawimy tam brata Serafina i relikwię. Mniejszy kłopot.

Magnat zmierzył dziewczynę w lusterku. Propozycja co najmniej dziwna, ale Joanna miała minę pokerzysty.

- Co ty kombinujesz, siostrzyczko?

- Na Wawelu będzie bezpiecznie. A my będziemy mogli spokojnie po sklepach pochodzić.

- Dlaczego akurat na Wawelu ma być bezpiecznie? Jakąś agenturę kościelną tam macie?

- Na Wawelu jest punkt energetyczny - wtrącił się brat Serafin. - Najsilniejszy w Polsce.

- Co jest na Wawelu? - dopytywał się Sznajder zdumiony. Zakonnik przewrócił oczami.

- Punkt energetyczny, który neutralizuje moc relikwii.

- Nie wiedziałem, że Kościół bierze się za jakieś czarymary. - Andrzej zmarszczył brwi.

- To nie czary-mary. To fizyka. Zwyczajna, choć wciąż jeszcze mało zbadana fizyka.

- Zwyczajna fizyka, mówisz... - Sznajder nie wyglądał na przekonanego. - Ta relikwia - zwrócił się do Joanny. - To, co masz na tym łańcuchu?

- Tak?

- Na Wawelu braciszek ją sobie założy?

- Nie.

- A co?

- Schowa do torby. - Joanna wskazała wzrokiem czarną skórzaną sakwę, z którą zakonnik się nie rozstawał.

- I nikt mu tego nie ukradnie?

- Nie będzie w stanie - odparła głosem wyrażającym niezachwianą pewność siebie.

- Złodzieja grom z jasnego nieba trafi? - spytał z charakterystycznym dla siebie sarkazmem.

Siostra wzruszyła ramionami. Spojrzała na Sznajdera jak wyrozumiała matka na zadające głupie pytania dziecko.

- Zwykły złodziej by takiej kradzieży po prostu nie przeżył
- Joanna nie miała cienia wątpliwości.

- Niby dlaczego?

- Nie zawsze wiadomo dlaczego. - Brat Serafin postanowił zakończyć dyskusję: - Nie pytaj. Nie wszystko da się objaśnić racjonalnie. Czasem to kwestia wiary.

Sznajder nie potrafił sobie tego w żaden sposób wytłumaczyć, ale miał wewnętrzne przeświadczenie, wręcz pewność, że propozycja dziewczyny nie niesie ze sobą żadnego ryzyka. Był dziwnie spokojny, wręcz niezrozumiale spokojny. Nie mogło się stać nic nieprzewidzianego.

- Niech cię diabli, braciszku, ale dobra. Zostawię cię na Wawelu. Zakładam, że wiecie, co robicie.

- Nawet bardziej, niż ci się wydaje - dodała dziewczyna.

- W razie czego wiesz, co masz zrobić...

Zakonnik potwierdził, pokazując dłoń z pilotem alarmowym, który dostał wcześniej od Sznajdera.

Wawel jak zwykle był pełen turystów. Joanna i brat Serafin od razu poszli do toalety, tam relikwia została umieszczona w sakwie. Zakonnik usiadł na ławeczce i starał się nie zwracać na siebie uwagi. Obserwował otoczenie.

Kiedy Joanna wróciła do czekającego Sznajdera, od razu wprowadziła go w osłupienie. Spojrzał na nią i niemal otworzył usta ze zdumienia. Dziewczyna zmieniła się nie do poznania, mimo że wciąż nosiła ten sam strój zakonny. Biła od niej niewysłowiona radość życia. Uśmiechała się ujmująco, stała przed nim wyprostowana jak sportsmenka i patrzyła mu odważnie w oczy.

- A tobie co się stało? - spytał w końcu.

- Mnie? Nic - odpowiedziała niewinnie. - Życie jest piękne. Nie sądzisz?

Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą w stronę samochodu.

Nie minęła godzina, kiedy dojechali na miejsce. Pora dnia sprawiała, że ogromny parking przed centrum handlowym sukcesywnie zapełniał się autami. Jeszcze trochę, a mieliby nie lada problem ze znalezieniem miejsca.

Po drodze do galerii Sznajder z wciąż rosnącym zdziwieniem zerkał na dziewczynę. Promieniała, jakby właśnie na nowo odkrywała piękno otaczającego świata.

Postawił samochód jak najbliżej wejścia. Chciał, by pozostawali na otwartej przestrzeni tak krótko, jak się da. Choć zagrożenie, jak mniemał, było w tej chwili jedynie teoretyczne. Przynajmniej na razie. Musi minąć trochę czasu, zanim ewentualni wrogowie zdołają ich wytropić. Nie miał jednak złudzeń. Prędzej czy później znajdą ich na pewno. Wiedział, że jest to tylko kwestia czasu, i to niezbyt długiego. Dlatego trzeba było kluczyć, wybierać nielogiczne trasy przejazdu. W sumie ten wypad do centrum handlowego też mógł okazać się niegłupim pomysłem. Kto przy zdrowych zmysłach zrobiłby na ich miejscu coś takiego?

- Jeszcze jedna rzecz. - Zanim opuścili samochód, Andrzej odwrócił się do pasażerki na tylnym siedzeniu. - Nie było mowy, że będę sponsorował twoje zakupy.

- Nie musisz. - Uśmiechnęła się tajemniczo. - Jestem w pełni wypłacalna. Idziemy. Szkoda czasu.

Wysiadła pierwsza, zanim Magnat zdołał zlustrować otoczenie. Trochę go to rozdrażniło. Nie powinna być tak lekkomyślna. Nie omieszkał zwrócić jej na to ostro uwagi, co przyjęła z pokorą, ale i pogodnie. To nie była ta sama Joanna, którą odbierał z klasztoru. Jedynie strój był ten sam, ale i to za chwilę miało się zmienić.

Niemalże od razu wpadła do Zary. Wybierała, przebierała, pokazywała mu ubrania i pytała o zdanie. Niezmiennie wzruszał tylko ramionami. Zachowywała się trochę jak dziecko w sklepie z zabawkami. Wreszcie z naręczem ubrań ruszyła do przymierzalni. Chcąc nie chcąc, Sznajder musiał pójść za nią.

Raz po raz Joanna wychodziła z boksu, obracała się przed nim jak modelka i znów pytała o zdanie. Mężczyzna z początku starał się ją ignorować. Potem kiwał głową, gdy mu się coś podobało, i kręcił przecząco, gdy jakiś ubiór nie wzbudzał entuzjazmu.

Dziewczyna, nie wiadomo już który raz, pokazała mu się w kolejnej kreacji. Miała na sobie delikatną, jasną bluzkę ze śmiałym dekoltem, zwięzaną spódnicę sporo nad kolano i dopasowaną w talii marynarkę. Wyglądała wystrzałow. Tylko te ciężkie zakonne buty psuły wizerunek.

- I jak? - spytała już chyba z setny raz. - Co powiesz na to?

- Właściwie... - Patrzył na nią, maskując zachwyty krytyczną miną. - Jak dla mnie to może być.

- Żona wygląda olśniewająco - wtrąciła się sprzedawczyni, która odwieszala mierzone przez klientki ubrania. - Wszystko idealnie pasuje, jakby szyte na miarę.

W pierwszej chwili chciał poprawić kobietę, ale ugryzł się w język. Joanna też nie protestowała. Śmiała się od ucha do ucha. Uznał, że właściwie to całkiem niezły kamuflaż. Mąż i żona w podróży nie będą zwracać takiej uwagi.

- Olśniewająco? - mruknął Magnat. - Dobrze powiedziane.

Ekszakonnica zniknęła za kotarą. Po chwili wystawiła głowę i podała mu ubrania, które przed momentem miała na sobie.

- Idź zapłacić i mi przynieś. - Podała mu kilka sztuk garderoby i zwitek banknotów. - Przebiorę się w te rzeczy.

- Dlaczego ja? - oburzył się ochroniarz.

- Bo ja jestem nieubrana - wyjaśniła cierpliwie, wystawiając głowę z przymierzalni. - Zakonnice nie noszą wyjściowej bielizny. Nie wiedziałeś?

Sznajder spojrzał na ekspedientkę. Zajęta była wybredną klientką. Nie słyszała, o czym mówią.

Z kwaśną miną wziął ubrania i poszedł do kasy. Była kilkuosobowa kolejka. Czuł się co najmniej dziwnie z

babskimi fatałaszkami w ręku. Kiedy w końcu doszedł do lady i położył odzież na blacie, kątem oka dostrzegł spojrzenie klientki stojącej za nim.

- To dla żony - powiedział i wysilił się na uśmiech. Czuł, że musi się jakoś wytłumaczyć. - Jest jeszcze w przebieralni.

Kobieta popatrzyła na niego życzliwie.

- Ach, żeby mój mąż tak się o mnie troszczył - stwierdziła z rozrzewnieniem.

Mężczyzna nie zdążył odpowiedzieć. Sprzedawczyni skasowała i zapakowała ubrania do papierowej torby.

- Pięćset sześćdziesiąt osiem złotych - powiedziała.

Magnat odliczył szybko sześć banknotów stużłotowych. Podał je ekspedientce. Zadziwiła go kwota, którą usłyszał. Tyle pieniędzy za kilka łachów? Wziął resztę. Joanna sobie nie żałowała. Widać Kościół nieźle ją zaopatrzył finansowo.

Wolińska przebrała się w zakupioną garderobę. Habit zakonny powędrował do przepastnej reklamówki. Wzięła jeszcze kilka ubrań i zapłaciła w kasie.

- Zaszalałaś... - powiedział, gdy wychodzili ze sklepu. - Żono - dodał z przekąsem.

- Jak się chce wyglądać... to kosztuje. Mężu - ostatnie słowo zaakcentowała tak samo jak on.

- Nawiasem mówiąc, niezły kamuflaż ten „mąż i żona”.

- Też tak myślę.

Zmierzył ją wzrokiem. Nie przestawała go zaskakiwać.

- Tylko co braciszek na to powie?

- Nic. Jest mi bezgranicznie oddany.

- Tak?

Andrzej Sznajder poczuł dziwne ukłucie. O dziwo, fakt podobnego oddania brata Serafina wcale go nie cieszył. Można by powiedzieć wbrew wszelkiej logice - że wręcz przeciwnie. Zganił siebie w duchu za dziwaczne myśli. Jednak cokolwiek by mówić, obecna Joanna nie mogła się nie podobać.

- Chodźmy jeszcze po jakieś buty, a potem znajdziemy coś dla Serafina.

Ruszyła ochoczo na podbój galerii handlowej ze swoim ochroniarzem, który jakoś nie podzielał jej entuzjazmu.

Po ponad dwóch godzinach spędzonych w sklepach wrócili na Wawel. Brat Serafin był dokładnie w tym miejscu, w którym go zostawili. Siedział jak zaklęty. Nieznaczące ruchy głową na prawo i lewo świadczyły o tym, że wciąż tkwi w nim życie. Uważnie przyglądał się przechodzącym turystom.

Zobaczył ich z daleka. Podszedł szybkim krokiem.

- Już się zaczynałem denerwować - powiedział z lekkim wyrzutem. - Długo was nie było.

- Reklamacje do tej pani - odpowiedział Magnat. - To przez nią.

Zakonnik popatrzył na Joannę z nieukrywaną przyjemnością.

- No i jak? - spytała. - Co powiesz?

- Dawno cię takiej nie widziałem - stwierdził powściągliwie. - Dawno.

Cmoknęła go czule w policzek.

- To się przyzwyczajaj.

Wzięła go pod rękę i poszli w stronę toalet. W drugiej dłoni trzymała torby z ubraniami dla niego. Magnat trochę się dziwił, że dokładnie zna jego rozmiar, choć właściwie nie powinien. W końcu coś ich przecież łączyło.

Po zaledwie kilku minutach wyszli. Brat Serafin w ubraniu cywilnym wyglądał niewiele lepiej niż w habicie. Zdecydowanie nie był typem mężczyzny, który łamie niewieście serca. Przez moment Sznajder zastanawiał się, co ona w nim takiego widzi.

Ochroniarz spojrział na Joannę. Ponownie miała na szyi łańcuszek z czymś ukrytym pod zapiętą marynarką. Natychmiast uderzyła go przerażająca przemiana, jaka w niej zaszła przez te kilka chwil. Znowu wyglądała na osobę zmagającą się z ciężką chorobą. Była przygarbiona i

przygasała. Ten radosny błysk w oku, który widział jeszcze kilkanaście minut temu, znikł bez śladu.

- Coś ty jej zrobił? - spytał brata Serafina, kiedy podeszli do niego. - Wygląda jak z krzyża zdjęta.

Zakonnik westchnął głośno.

- Ja nic - odparł przygnębiony. On też ewidentnie widział, co się stało z dziewczyną. - Nie ja.

- Ten łańcuch?

- Chodźmy - Joanna ucięła rozmowę głosem jak zza grobu. - Trzeba jechać.

- Zaraz - powstrzymał ją Sznajder. - Naprawdę załatwia cię tak to cholerstwo?

Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Możemy już jechać? - bardziej zażądała, niż spytała.

Nie czekała na odpowiedź. Ruszyła w stronę samochodu zaparkowanego nieopodal.

- Może jakieś wyjaśnienie? - Magnat zwrócił się do zakonnika.

- Co ci mam powiedzieć? - Brat Serafin bezradnie rozłożył ręce. - Mówił ci ksiądz Jerzy. Joanna dźwiga relikwię.

- O ile wiem, to relikwie pomagają, nie szkodzą.

- Ta szkodzi. Szkodzi jak diabli.

- Dlaczego?

- Daj spokój. Teraz będziemy się w dysputy teologiczne bawić? Poczytaj Biblię. Może ci się coś rozjaśni. Może wtedy będę ci mógł coś wytłumaczyć.

Zakonnik przyspieszył kroku. Zrównał się z idącą na przędzie Joanną.

Do czasu wyjazdu na autostradę żadne się nie odzywało. Nawigacja sprawiała się znakomicie. Unikali korków i wszelkich utrudnień na drodze. Przy pierwszej bramce Sznajder uiścił opłatę za przejazd. Po raz któryś z kolei kłął w duchu na cenę za ten wiecznie remontowany odcinek drogi.

Serafin pierwszy przerwał milczenie.

- Cemu cię zostawiła? - spytał, zwracając się do ochroniarza.

Mężczyzna rzucił mu krótkie spojrzenie. Nie był pewny, o co zakonnikowi może chodzić.

- Kto?

- No, twoja żona. Cemu cię zostawiła?

Sznajdera kompletnie zaskoczyła bezpośredniość braciszka.

- Nie uważasz, że to nie twoja sprawa? - odpowiedział z lekką irytacją w głosie.

Zakonnik zamilkł na dłuższą chwilę.

- Nie - odezwał się w końcu.

- Co „nie”?

- Nie uważam.

- A ja właśnie uważam.

- Dlaczego?

- Bo to nie twoja sprawa - Sznajder podniósł głos. - Czy ja cię pytam o twoje życie w mafii?

- Może powinieneś.

- Tak? To co tam robiłeś? Haracze wymuszałeś z kumplami mafiosami?

- Nie - odpowiedział spokojnie brat Serafin. - Mówiłem już. Robiłem księgowość. Komu, ile, za co, zapisywałem wpływy. Normalnie. Nic nadzwyczajnego.

- To jestem z ciebie dumny - stwierdził Magnat sarkastycznie.

- No więc dlaczego?

- Kurwa, odwał się, klecho.

Mężczyzna był coraz bardziej poirytowany. Chwila milczenia.

- Mieliście ślub kościelny?

Andrzej Sznajder nabrał powietrza do płuc, jakby chciał zdusić wybuch agresji, który wydawał się nieunikniony.

- Nie mieliśmy - powiedział w końcu. - Nie mieliśmy ślubu kościelnego. Zadowolony?

- A z czego tu się cieszyć? - zauważył zakonnik z niezmiennie stoickim spokojem.

- A może byś się tak dla odmiany zamknął?

- Dlaczego?

- Bo niechcący możesz uderzyć się twarzą o moją pięść.

- Uważasz, że to jest argument?

- Zwykle bardzo przekonujący. Ty uważasz inaczej?

Brat Serafin westchnął ciężko. Nie odzywał się więcej.

Kolejna godzina jazdy w milczeniu uspokoiła nerwy Andrzeja. Spoglądał co jakiś czas na Joannę widoczną w lusterku wstecznym. Nie wyglądała najlepiej. Momentami próbowała przysypiać. Mężczyzna złapał się na tym, że trochę się o nią martwi. Nie jak o „przesyłkę”, którą należy dostarczyć na miejsce, żeby dostać drugą połowę płatności. Martwił się o nią jak o człowieka, a ściślej mówiąc, jak o kobietę. Śmiał się w duchu sam z siebie. Bez jaj, przecież nie będziesz sobie zaprzętał głowy jakąś tam kościelną laską, szczególnie że najwidoczniej jest zajęta przez inne kościelne dziwo, brata zakonnego z mafijnym rodowodem. Ale historia. Najpłodniejsi twórcy tanich romansideł by jej nie wymyślili.

Jechali teraz z taką prędkością, by jak najmniej rzucać się w oczy. Magnat pozostawał na prawym pasie tak długo, jak się dało, i starał się nie przekraczać stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Czasem tylko trzeba było wyprzedzić ciężarówkę lub jakiegoś marudera. Wtedy przyspieszał.

Przed sobą dostrzegł dwupoziomową lawetę z nowiutkimi luksusowymi samochodami typu SUV. Podjechał trochę bliżej. Zamyślił się na widok błyszczących, horrendalnie drogich limuzyn. Za jedną taką można by kupić dwupokojowe mieszkanie w dużym polskim mieście, poza Warszawą oczywiście. Jak to jest, że w tym wolnym od tyłu już lat kraju kogoś bez większego wysiłku finansowego stać na zakup podobnego cacka, a co najmniej połowa społeczeństwa boryka się z problemem, jak dociągnąć do

pierwszego bez długów? Mimo że sam jak na razie na finanse narzekać nie mógł, nie był ślepy na panującą w niektórych środowiskach biedę.

Z zamyślenia wyrwał go uścisk dłoni na ramieniu. Zerknął. To Joanna trzymała go kurczowo, ściskając coraz mocniej. Utkwiła wzrok w samochodach przed nimi. Była jak zahipnotyzowana.

- Co się dzieje? - spytał z niepokojem. Bał się, że jej stan się pogorszył i trzeba będzie w końcu załatwić pomoc medyczną. Dziewczyna nie odpowiadała. Patrzyła przed siebie. - Siostrzyczko, co jest? - powtórzył pytanie, podnosząc głos.

- Zjedź na lewy pas - wyszeptała.

Andrzej odruchowo spojrział w lusterko. Lewym pasem jechał sznur samochodów. Sugerowany przez nią manewr nie był dobrym pomysłem.

- Teraz nie mogę. Ale o co chodzi?

- Zjedź na lewy pas, natychmiast - powtórzyła rozpaczliwie.

Samochody w lusterku jakby się umówiły. Jechały jeden za drugim.

- Zrób to, człowieku! - wykrzyknął nagle brat Serafin. - Rusz się, rób, jak mówi!

Magnata zawsze szlag trafiał, gdy ktoś próbował kazać robić mu coś, czego nie rozumiał i z czym się nie zgadzał. Wezbrała w nim fala złości. Jednak instynktownie, bez żadnego racjonalnego wytłumaczenia, odbił na lewo i wpadł przed maskę pędzącego za nim samochodu. Usłyszał głośny dźwięk klaksonu.

Sznajder nie zdążył skomentować historycznego zachowania Joanny i zakonnika. Zaczynał zrównywać się z lawetą, gdy ku całkowitemu zaskoczeniu zobaczył, jak puszczą stalowe zabezpieczenie i luksusowy wóz toczy się z hukiem na prawy pas autostrady. Natychmiast uderzają w niego pędzące samochody. Pierwszy koziołkuje w powietrzu

i ląduje na dachu. Zablokowany zostaje również lewy pas. Pojazdy zderzają się jak wagoniki w kolejce elektrycznej.

Odwrócony brat Serafin obserwował piętrzący się karambol. Zobaczył ognisty wybuch, gdy któreś ze zderzeń spowodowało eksplozję paliwa. Tymczasem Joanna oparła się na siedzeniu. Wciąż wpatrywała się w przestrzeń przed sobą. Trzymała w dłoni różaniec. Wyglądała, jakby zupełnie jej nie obchodziło to, co się stało i że cudem uniknęli śmierci. Byli przecież tuż za lawetą.

- Skąd wiedziałaś...? - spytał Sznajder, siląc się na spokojny ton.

Joanna milczała. Była jakby nieobecna. Ścisnęła tylko mocniej paciorki różańca owinięte wokół dłoni. Zakonnik patrzył na nią z troską. Wziął ją za rękę.

- Coś z tego rozumiesz, braciszku? - Sznajder zwrócił się do niego.

- To nie jest... - Serafin chciał odpowiedzieć, lecz obaj usłyszeli cichy głos dziewczyny.

- Nie wiedziałam. - Joanna spuściła wzrok, jakby się zawstydziała. - Czułam, że coś się wydarzy. Ale co... Wiedziałam tylko, że musimy natychmiast zjechać na lewą stronę.

Sznajder mimowolnie przyśpieszył. Jechał teraz około stu czterdziestu na godzinę. Joanna zapadła się w sobie. Wydawało się, że powoli uchodzi z niej życie.

- Nie wygląda za dobrze - zwrócił się do zakonnika. - Może potrzebować lekarza.

- Nie lekarza. - Brat zdawał się doskonale orientować w stanie kobiety. - Czegóż innego.

- Czego?

- Następny zjazd z autostrady - odezwała się dziewczyna.

- Po drodze będzie miasteczko. Tam jest kościół. Zawieź mnie tam.

- Mam teraz zjechać i szukać jakiegoś kościoła? - kierowca nie wierzył własnym uszom.

- Nie trzeba szukać - Joanna mówiła wciąż tym samym słabym głosem. - Poprowadzę cię.

- Co myślisz, braciszku?

- Asia wie, co mówi.

Mężczyzna zasygnalizował zjazd w prawo.

- Tylko że w takim tempie to my prędko do Rzymu nie zajedziemy.

- Sam proponowałeś, żeby jechać okreśną drogą.

- Ale chciałbym was odstawić przed Bożym Narodzeniem.

Małe miasta mają zwykle to do siebie, że gdy nadchodzi późne popołudnie, ulice powoli pustoszeją. Życie zamiera. Zupełnie odwrotnie niż w takim na przykład Wrocławiu, gdzie miasto coraz bardziej ożywa z każdą godziną przybliżającą nocną porę. Tutaj tylko spóźnieni przechodnie śpieszą do domów. Mimo całkiem jeszcze przyjemnej wrześniowej aury po drodze dało się zauważyć tylko garstkę mieszkańców. Minęli obejmującą się parę młodych ludzi, jakieś małżeństwo z dwójką kilkuletnich dzieci, staruszkę drepczącą zadziwiająco dziarsko w stronę kościoła.

Sznajder zaparkował jakieś dwieście metrów od bramy wejściowej na teren świątyni. Nie chciał wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania wśród ewentualnych wiernych tutejszej parafii.

- Tak to chyba nie bardzo wypada do kościoła. - Magnat wymownie powiódł wzrokiem po krótkiej spódnicy odsłaniającej nadzwyczaj zgrabne nogi.

- W bagażniku mam spodnie. Przebiorę się. Przyniesiesz?

- Ja? Braciszek niech się ruszy.

- A ja ciebie tak ładnie proszę.

Magnat rzucił jej badawcze spojrzenie. Patrzyła na niego jakoś dziwnie. Bez słowa zwlókł się z siedzenia kierowcy i poszedł otworzyć bagażnik. Brat Serafin również wysiadł.

- Dziękuję - powiedziała dziewczyna, gdy podał jej reklamówkę z ubraniami.

- Nie „Bóg zapłać”? - pozwolił sobie na drobną złośliwość.

- Wolałbyś?

Zamknął drzwi. Joanna zaczęła się przebierać. Zakonnik podszedł do niego, obchodząc samochód.

- Idziesz z nami do kościoła?

- Mam was chronić. Zdaje się, że muszę. Długo będziecie?

- Wkrótce powinna być wieczorna msza święta. Potem może adoracja.

- Nie denerwuj mnie. Msze i adoracje to se możecie w Rzymie skuteczniać. Czasu nie mamy.

- Joanna musi dojsć do siebie. Ona naprawdę tego potrzebuje.

- Bez jaj, klepanie zdrowasiek przez godzinę nie postawi jej na nogi. Macie się streszczać.

- Widzisz, Magnat, są rzeczy...

- Dobra, dobra. Spasuj.

- Jestem gotowa.

Dziewczyna stanęła przed nimi w eleganckich garniturowych spodniach. Góra pozostała niezmienną. Nie dało się nie zauważyć, że w Joannę jakby zaczynało wstępować nowe życie. Wydawała się silniejsza niż jeszcze kilkanaście minut temu.

- Zostaniesz z nami na mszy świętej? - spytała Sznajdera.

- Jakiej mszy? - odpowiedział pytaniem. - Przecież jechać musimy.

- Warto by podziękować Najświętszej Paniencie za ocalenie... - nie ustępowała.

Sznajder prychnął głośno.

- Nie rozśmieszaj mnie, siostrzyczko. Ale niech wam będzie. Zobaczą tylko w środku, czy ktoś wam nie szykuje jakiejś niespodzianki, i poczekam w samochodzie. Obym nie musiał za długo.

W kościele było niewielu wiernych. Msza się jeszcze nie rozpoczęła. Magnat rozejrzał się wprawnym okiem.

- Tu jest bezpiecznie - powiedziała Joanna półszepcetem. - Nic nam nie grozi.

- Czekam na zewnątrz.

Mężczyzna odszedł szybkim krokiem do samochodu. Widział z niego nie tylko obszar przykościelny, ale i obydwie wejścia do samego kościoła. W razie podejrzanych zdarzeń będzie mógł szybko zareagować. Chciał wierzyć, że wróg wciąż jeszcze ich nie namierzył. Zresztą nie byłoby łatwo. Przemieszczają się w sposób uwłaczający zasadom logicznego myślenia.

Do kościoła weszło jeszcze kilka osób. Spóźnieni wierni nie wzbudzali jego niepokoju. Kilka małżeństw w średnim wieku i parę osób starszych. Nic nadzwyczajnego.

Minęło ponad pół godziny. Sznajder słuchał radia. Z głośników sączyła się spokojna muzyka jazzowa. Ulica była praktycznie pusta. Jedynie co jakiś czas ktoś przechodził, zwykle patrząc prosto przed siebie, zajęty swoimi małomiasteczkowymi sprawami. Nic się nie działo.

Pływały kolejne minuty. Wtedy Magnat zauważył trzech młodych, dwudziestoparoletnich mężczyzn zbliżających się od strony miasta. Sądząc po wyglądzie i zachowaniu, byli to lokalni żule. Zupełnie nie zwrócili uwagi na zaparkowany niedaleko samochód, a tym bardziej na siedzącego w nim człowieka. Skierowali się w stronę ławeczki na skraju parku rozciągającego się po przeciwnej stronie ulicy. Ławka, wybrali, znajdowała się kilkadziesiąt metrów od bramy wejściowej ogrodzenia kościelnego. Byli wystarczająco daleko, żeby były żołnierz nie musiał się nimi martwić. Wyciągnęli z plastikowej reklamówki piwo i rozpoczęli głośną rozmowę, przerywaną pokrzykiwaniem i salwami śmiechu.

Andrzej czekał. Czas mijał, a jego podopieczni wciąż siedzieli w kościele. Z drugiej strony Joanna mówiła, że jest tu bezpiecznie. Jak do tej pory się nie myliła. Wyglądało na to, że można jej było zaufać.

Z budynku kościelnego wyszła para młodych ludzi. Trzymali się za ręce i szli powoli w stronę bramy. Widać nabożeństwo dobiegło końca. Zaraz będą mogli jechać dalej. Czuł się jakoś spokojniejszy w trasie. Więcej rzeczy było pod jego kontrolą.

Młodzi wyszli na ulicę, a w bramie kościoła nikt więcej się nie pojawił. Chłopak i dziewczyna musieli widocznie wyjść przed końcem mszy. Cóż, trzeba będzie jeszcze poczekać. Miał nadzieję, że niedługo.

Jego wzrok przykuło zamieszanie po drugiej stronie ulicy. Zauważył, że żule wstali z ławeczki, na której postawili niedopite puszki z piwem, i wykazali niezdrowe zainteresowanie przechodzącą obok parą.

- Niezła dupcia - stwierdził jeden z żuli z uznaniem.

Chłopak przystanął oburzony, lecz dziewczyna pociągnęła go.

- Daj spokój - powiedziała. - Chodźmy stąd.

- Ty, święty, zakisiłeś już ogórasa? - zakrzyknął kolejny żulik. - No dała ci już czy nie?

Towarzystwo wybuchło gromkim śmiechem. Chłopak ponownie przystanął. Tym razem nie dał się dziewczynie odciągnąć.

- Nie życzę sobie takich uwag - powiedział odważnie.

- A co, koncert życzeń jest? - padła natychmiastowa odpowiedź. - Różańcem mi przypierdolisz?

Po głośnych docinkach doszło do niby żartobliwego poszturchiwania i popychania. Dość powiedzieć, że młodzi ludzie nie mogli już spokojnie pójść swoją drogą. Odległość, jaka dzieliła samochód od centrum wydarzeń, była spora i Andrzej nie słyszał całej wymiany zdań. Starał się nie zwracać na nich uwagi. Miał swoje sprawy i nie zamierzał się angażować. Żule najpewniej dadzą im spokój, jak się z nimi trochę pobawią. W końcu stanowią część tej samej lokalnej społeczności, gdzie wszyscy się przecież znają.

Spojrzał na bramę kościoła. Nadal była zamknięta. Nabożeństwo jeszcze trwało, a godzina już minęła. Pokręcił

gałką radia i pogłośnił muzykę. Leciał przyjemny dla ucha kawałek. Patrzył na kościół. Bębnił palcami po kierownicy. Zaczynał się niecierpliwić. Nic im nie groziło. Zawsze któreś zdążyłoby nacisnąć przycisk na pilocie. Mimo wszystko siedział jak na szpilkach. Czas zaczynał się niemiłosiernie dłużyć.

Przeniósł wzrok na drugą stronę ulicy. Sytuacja wcale się nie uspokoiła, wręcz przeciwnie. Zobaczył, że odebrali dziewczynie torebkę i przerzucali ją sobie jeden do drugiego. Ona próbowała ją złapać ku uciesze chuliganów. Chłopak dostał kilka kopniaków, wskutek czego nie za bardzo mógł jej pomóc, choć próbował.

Sznajder walnął otwartą dłoń w kierownicę.

- Szlag by to nagły trafił - powiedział głośno i wysiadł z wozu.

Ruszył szybkim krokiem w stronę grupki młodych ludzi. Kiedy dzieląca ich odległość wynosiła nie więcej niż dziesięć metrów, łobuzy go dostrzegły. Dziewczyna i chłopak skierowali w jego stronę wzrok z nadzieją na pomoc.

- E, ojciec - zawołał jeden z żuli, trzymając torebkę dziewczyny - drugą stroną się chodzi.

Sznajder zbliżał się szybko ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Ty, głupi czy głuchy jesteś? - zawołał żul numer dwa. Pozostali wybuchli śmiechem. - Do ciebie mówię, ciołku.

Jeszcze kilka sekund i Magnat był przy nich. Nie wypowiedział ani jednego słowa. Nie uznał, że to konieczne. Dalej wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Pierwszy żul dostał precyzyjne kopnięcie w podbrzusze. Zgiął się wpół z jękiem i upuścił torebkę. Jednak dziewczyna jej nie podniosła. Stała jak słup, kompletnie zaskoczona. Dwaj pozostali chuligani natychmiast rzucili się na przybysza.

Żul numer dwa trafił pięścią w powietrze, a łokieć Sznajdera zmasakrował mu przednie zęby i nos. Chłopak złapał się za twarz i ukląkł. Żul numer trzy wykonał całkiem

zręczne kopnięcie mierzone w głowę Magnata. Musiał ćwiczyć jakieś sztuki walki. Nie mógł wiedzieć, że żaden z powszechnie nauczanych systemów nie ma najmniejszych szans w konfrontacji z zabójczymi umiejętnościami niezbędnymi na prawdziwym polu bitwy.

Sznajder bez trudu wyłapał kopnięcie i wymierzył silny cios w krocze. Żulik zawył z bólu. Padł na bok i zwinął się w kłębek, krwawiąc z ust i głośno jęcząc. Żołnierz, uznając robotę za niezakończoną, kopnął go jeszcze w tył głowy. Chłopak zarył czołem w ziemię. Nie stracił przytomności, ale nie miał siły się podnieść. Żul numer jeden, jako najmniej poszkodowany, postanowił salwować się ucieczką, lecz nie zdążył. Odwrócił się, ale szybkie podcięcie sprawiło, że rąbnął na chodnik jak długi. Magnat przykląkł przy nim, złapał go za włosy i uderzył kilkakrotnie w szczękę. Krew buchnęła z ust. Chirurg będzie miał co robić.

Zaatakowana para stała i patrzyła na niego z wytrzeszczonymi oczami. Sznajder podniósł torebkę i rzucił dziewczynie. Ledwie ją złapała.

- Co się gapicie? - powiedział do nich ostro. - Zabierajcie się stąd.

Młodym nie trzeba było dwa razy powtarzać. Odwrócili się i truchcikiem pobiegli w stronę miasta.

Magnat spojrział na kościół. Wierni zaczęli wreszcie wychodzić. Zdążył. Starał się nie biec do samochodu, ale szedł najszybciej jak umiał. Nie chciał, żeby ktoś wiązał go z tym, co właśnie tutaj zaszło.

Joanna i brat Serafin usadowili się na tylnej kanapie.

- Czas ci się nie dłużył? - zagadnął zakonnik.

- Inteligentny człowiek się nie nudzi - odparł gburowato Sznajder. - Nie wiedziałeś?

Z piskiem opon ruszył ulicą. Przejechał kilkaset metrów, kiedy zobaczył w lusterku przyglądającą mu się Joannę. Patrzyła na niego jakoś inaczej, smutno, z przygnębieniem, a jednocześnie z wyrozumiałością.

- Coś się działo? - spytała Joanna.

- Nic ciekawego - odpowiedział, wzruszając ramionami.
- Hmm...

Czuł na sobie jej badawcze spojrzenie.

- Co? - parsknął.

- Nic. - Spuściła wzrok. - Co mam ci powiedzieć? Jesteś, jaki jesteś.

- O co ci chodzi? - wzburzył się.
- Wszędzie okropnie dużo przemocy.
- Nie moja wina - stwierdził burkliwie.
- Nie?

Zdał sobie sprawę, że ona wie. Tylko jakim cudem? Przecież po wyjściu z kościoła oboje szli w kierunku przeciwnym do tego, gdzie leżeli pobici. Zmierzchało. Nie mogli się zorientować. Jednak był absolutnie pewny, że Joanna wie, co się stało i kto w tym maczał palce.

- Oj, słuchaj, siostrzyczko, a może byś się tak wzięła za swój różaniec?

- Skąd wiesz, że nie odmawiam?
- Bo na razie mi trujesz.

- Przepraszam - powiedziała zupełnie szczerze. - Już nie będę.

Andrzej się nie odezwał. Prowadził w milczeniu.

- Gniewasz się? - spytała jeszcze.

Kierowca roześmiał się w głos.

- Wiesz co, siostrzyczko? Jak dojedziemy do Rzymu, to ci piwo postawię.

- Nie lubię piwa.

- Najwyżej nie wypijesz. Nie zmarnuje się. - Uśmiechnął się do siebie.

Dalsza jazda upływała w ciszy. Zapadł zmierzch. Brat Serafin patrzył na mijane zabudowania przy autostradzie. Były to głównie obiekty przemysłowe lub stacje benzynowe, czasem z jakimś fast foodem.

- Trzeba by się gdzieś zatrzymać i coś zjeść - były żołnierz przerwał panującą ciszę. - Znacie jakieś miejsce? - spytał, chociaż nie spodziewał się odpowiedzi twierdzącej.

- Ja znam - odpowiedziała Joanna ku jego zaskoczeniu.
- Tak? Daleko?
- Zaraz za Opolem. W sumie po drodze.
- Jakaś restauracja?
- Niedokładnie. Ale jedzenie... pyszności.
- Co myślisz, księżulku? - Sznajder zwrócił się do zakonnika.
- Nie jestem księdzem.
- Co za różnica?
- Ogromna.
- Dobra. Prowadź, siostrzyczko.

Wkrótce znaleźli się w kolejnej małej miejscinie. Typowy obraz - wyludnione uliczki, szczególnie że było już ciemno. Żadnych przechodniów. Bardzo szybko okazało się, że kobieta doprowadziła go do miejscowego kościoła. Sznajder nie krył irytacji.

- To chyba jakiś żart? - skomentował, gdy kazała mu się zatrzymać.

- Chciałeś coś zjeść - odpowiedziała niewinnie. - Lepszego jedzenia nigdzie nie znajdziesz. Prawdziwe domowe.

- W kościele?!

- Zaskoczony? Kościół to nie tylko klepanie zdrowasiek, jak to niektórzy mówią. Zaraz sam zobaczysz. No chodź.

Nieprzekonany ochroniarz wysiadł z samochodu. Brat Serafin bez słowa sprzeciwu podążył za Joanną. Ufał jej ślepo. Musiał mieć powody.

Stanęli przed drzwiami całkiem sporej, piętrowej plebanii. Spokojnie pomieściłaby sporą gromadkę księży, choć było to raczej mało prawdopodobne, bo księży trzeba nie tylko zakwaterować, ale i wyżywić, a okolica parafii nie wyglądała na specjalnie zamożną.

Z wewnątrz jednak dochodził gwar. Głosy ludzi mieszały się z muzyką. Miało się wrażenie, że w środku trwa jakaś impreza. Joanna przycisnęła dzwonek przy drzwiach,

nietypowo głośny. Nie było obawy, że imprezowicze nie usłyszą.

W drzwiach stanął ksiądz. Strumień światła z przedpokoju wylał się na zewnątrz. Duchowny był wysokim, barczystym mężczyzną pod pięćdziesiątkę. Bujna nawet, jak na jego wiek, czupryna, zaczesana do tyłu, nosiła już bardzo widoczne ślady siwizny.

Kapłan obrzucił wzrokiem przybyszów, rozpromienił się i chwycił Joannę w ramiona. Uściskał ją serdecznie, jak starego przyjaciela, którego nie widział od lat. Sznajder zerknął na zakonnika. Brat Serafin w najmniejszym stopniu nie wyglądał na zaskoczonego.

Serdeczności dobiegły końca i kobieta została uwolniona z kapłańskich ramion.

- Brata Serafina chyba pamiętasz... - Spojrzała czule na ubranego w cywilny strój zakonnika. Ksiądz uściskał go równie serdecznie. Na pewno pamiętał doskonale. Przeniosła wzrok na kolejnego z towarzyszących im mężczyzn. - A to jest ktoś, kto zapewnia nam bezpieczeństwo w podróży: Andrzej Sznajder.

- Dzień dobry panu. - Ksiądz wyciągnął do Sznajdera dłoń. - Właściwie to trzeba by powiedzieć: dobry wieczór - dodał z uśmiechem. - Jestem Ryszard, miejscowy proboszcz. Wchodźcie. Jest nas tu już trochę...

Weszli dalej. Proboszcz poprowadził ich do przestronnego pomieszczenia umeblowanego jak typowy pokój gościnny w przeciętnym domu. Pod ścianą stał rozłożony stół z przeogromną ilością jedzenia i napojów. Przebywało tu jeszcze kilkanaście osób. Niektórzy siedzieli, inni stali, wszyscy pochłonięci rozmowami prowadzonymi w, jak się wydawało, lekkim tonie, ponieważ raz za razem dało się słyszeć śmiechy.

Kiedy przybysze weszli, rozmowy ucichły. Wszyscy zwrócili oczy w ich stronę.

- Patrzcie, kogo nam Pan Bóg zesłał - powiedział ksiądz z szerokim uśmiechem.

Łysawy, korpulentny mężczyzna z czarnym, starannie przystrzyżonym wąsikiem wykrzyknął:

- Asia!

Trzymał w dłoni lampkę czerwonego wina. Zaczął się kręcić, szukając miejsca, gdzie by mógł ją odstawić. Wreszcie po prostu postawił ją na podłodze i porwał kobietę w ramiona. Pozostali biesiadnicy poszli w jego ślady. Sznajder pomyślał, że Joanna jest tu popularna niczym jakaś celebrytka.

Ludzie witali się też z bratem Serafinem, chociaż mniej wylewnie, ale widać było, że co najmniej połowa z obecnych go znała. Przywitanie z Andrzejem Sznajderem odbywało się ciepło, ale z pewnego rodzaju dystansem, spowodowanym nie tyle nieufnością, ile niepewnością co do tego, kim on właściwie jest.

Jeden z witających postanowił od razu przełamać lody.

- Witaj, bracie - powiedział z uśmiechem.

- Nie jestem twoim bratem - stwierdził bez zastanowienia Sznajder.

Mężczyzna speszył się. Uśmiechnął się niepewnie. Spojrzał w prawo i lewo, jakby właśnie miał przechodzić przez ulicę. Nikt w tym momencie nie zwracał na nich uwagi. Zmieszany wycofał się z kwaśnym uśmiechem.

Joanna natychmiast została wciągnięta w sam środek towarzystwa, brat Serafin również. Sznajder przyglądał się zgromadzonym z uwagą. Nie podejrzewał, że ktoś z nich może stanowić zagrożenie, ale wolał się upewnić. Tak na wszelki wypadek. W końcu zamach na Joannę w klasztorze też wymykał się prawom logiki.

- Pan pewnie głodny... - zagadnął ksiądz Ryszard przyjaźnie.

- Prawdę mówiąc... - odparł Sznajder.

- Zapraszam. - Gospodarz wskazał dłonią suto zastawiony stół. - Ktoś to przecież wszystko musi zjeść. - Podeszli do jedzenia. - Zaskoczony jest pan naszą biesiadą?

- Kościół i takie imprezy... - Powiódł wzrokiem po pokoju.
- Przyznam, że tak.

- Właśnie. A powiem panu, że Kościół ma różne oblicza.

Andrzej bez zbędnego skrupowania nałożył sobie pełny talerz. Zauważył, że o Joannę i brata Serafina również odpowiednio zadbano.

- Ciekawe. - Od razu przyszło mu na myśl wojskowe wyposażenie jego samochodu i broń, którą dostał. Ale nie miał zamiaru wtajemniczać gościnnego proboszcza. - Życie jest pełne niespodzianek.

Magnat usiadł na jednym z niewielu krzeseł pozostałych przy stole. Zabrał się ochoczo do zaspakajania wilczego głodu. Jadł w milczeniu i cieszył się w duchu, że posłuchał Joanny. Jedzenie było wyśmienite.

- Dobrze, prawda?

- Często tak imprezujecie? - spytał proboszcza z pełnymi ustami.

- Raz w roku.

- Jakies święto kościelne dzisiaj jest?

- Nie.

- To co za okazja?

- Jak co miesiąc mieliśmy spotkanie kręgu Domowego Kościoła. Poprosili, żeby było wyjątkowo na plebanii, a nie u kogoś w domu. Poczytaliśmy Biblię, porozmawialiśmy, pomodliliśmy się, a potem było, jak to Amerykanie mówią, *surprise party*. Na moje urodziny.

- No to wszystkiego dobrego księdzu życzę. - Sznajder ani na chwilę nie przestawał jeść.

- Jak co roku byłem „kompletnie zaskoczony”... Tak wypada. I jak co roku wszyscy cieszyli się jak dzieci. Wszystko sami przygotowali, a ja będę miał jedzenia na co najmniej tydzień.

- Czyli kochają tu księdza.

- Staram się, jak mogę. - Kapłan z rozrzewnieniem popatrzył na swoją trzódkę. Kiedy kilka lat temu przejmował parafię po poprzednim proboszczu, spotykał się

głównie z nieufnością i niezrozumieniem. Od tego czasu sytuacja zmieniła się diametralnie. Kościół właściwie zawsze był pełny, i to nie tylko emerytów i dewotek. - Z Bożą pomocą udało mi się przyciągnąć wielu szukających i zbłąkanych.

- Na przykład Joannę i braciszka Serafina?

- Joanna nigdy nie była zbłąkana. Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie. Więcej w niej wiary niż w nas wszystkich razem wziętych.

- Ksiądz wiedział, że brat Serafin ma nieciekawą przeszłość?

- Mafijną - odpowiedział proboszcz najspokojniej w świecie.

- Sam się pochwalił?

- Kiedy się odnaleźli z Asią, Janek, znaczy brat Serafin, stał się innym człowiekiem. Niewiarygodna przemiana.

- Myśli ksiądz, że prawdziwa?

Proboszcz spojrział na Sznajdera jak na niewiernego Tomasza.

- Najprawdziwsza z możliwych. Nie mam cienia wątpliwości.

- Chwalebne - stwierdził Magnat z ledwie dostrzegalną nutką ironii. - Ksiądz powiedział „odnaleźli”, znaczy zapoznali się...

- Nie. Odnaleźli. Kiedy ich rodzice zmarli, mieli po kilka lat. Poszli do różnych domów dziecka. Ktoś nie dopatrywał, że rodzeństwa nie należy rozdzielać, i wychowywali się osobno.

Magnat w końcu przerwał jedzenie i popatrzył na księdza zaskoczony.

- Znaczą oni są rodzeństwem?

- Pan nie wiedział?

Andrzej utkwiał wzrok w braciszku i Joannie. Byli zajęci rozmową w towarzystwie.

Joanna znowu była tą radosną, pogodną dziewczyną, jaką widział w centrum handlowym.

- Nie pisnęli ani słowa - powiedział bardziej do siebie niż do rozmówcy. - To by wiele wyjaśniało.

- Asi coś grozi? - spytał proboszcz wprost.

Mężczyzna odłożył sztucce i spojrzął na kapłana.

- Naprawdę ksiądz chce wiedzieć?

- Tylko tyle, ile można.

Andrzej Sznajder westchnął. Z jakichś powodów powoli znikwały opory przed tym, żeby powiedzieć księdzu cokolwiek o misji.

- Istnieje realne niebezpieczeństwo, że Joanna nie przeżyje najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. - Magnat spodziewał się piorunującego wrażenia, jakie na proboszczu wywrą te słowa. Ku jego zdziwieniu nic takiego nie miało miejsca. Ksiądz patrzył na niego zaszepiony. W tym wzroku nie było obawy czy przerażenia. Nic z tych rzeczy. Było to co najmniej dziwne. - Ja mam do tego nie dopuścić - dodał, choć widział, że ksiądz nie potrzebuje uspokajania.

- Musi pan być wyjątkowym człowiekiem.

- Ma ksiądz rację. Muszę.

- Przepraszam na chwilę. - Proboszcz oddalił się w głąb pomieszczenia.

Stanął w przeciwległym rogu, tyłem do Sznajdera. Ochroniarz tymczasem poszukał wzrokiem na stole czegoś do picia. Soków w kartonach był dostatek. Sięgnął po najbliższy i nalał sobie do szklanki.

Chwilę potem ksiądz Ryszard powrócił do siedzącego pod ścianą mężczyzny. Trzymał w rękach dwa kieliszki z krwistoczerwonym płynem. Bez słowa podał jeden byłemu żołnierzowi. Mężczyzna zmierzył księdza wzrokiem. Wziął wino, przyglądając mu się z ciekawością.

- Mszalne? - spytał Magnat z uśmiechem.

- Nalewka - odparł ksiądz Ryszard. - Malinowa. Najlepsza.

- Czym sobie zasłużyłem? Nie jestem taki jak tu zebrani. - Spojrzął znacząco na człowieka, którego przed chwilą potraktował obcesowo. - Raczej mnie tutaj nie polubią.

Ksiądz podążył za jego spojrzeniem.

- Tego nie wiesz. Nie znasz tych ludzi.

- Myśli ksiądz, że chcę poznać?

- Nie wiem.

Ksiądz Ryszard stuknął się z nim kieliszkiem. Sam wypił jedną czwartą zawartości naczynia i poczekał, aż Sznajder pójdzie w jego ślady. Żołnierz zamoczył usta i pociągnął łyk.

- Słodka.

- Yhy - potwierdził ksiądz Ryszard.

- Ale niezła.

Proboszcz popatrzył na zgromadzonych ludzi. Rozmawiali, żartowali, śmiali się głośno.

- Widzisz tego uśmiechniętego, w tej niebieskiej koszuli? To sędzia. Jego żona to ta szczupła brunetka. Uczy matematyki w liceum.

Żołnierz spod zmarszczonych brwi rzucił księdzu zdziwione spojrzenie. Kapłan jednak nie patrzył na niego.

- Ten młody to policjant. - Ponaddwudziestoletni mężczyzna słuchał z uwagą tłumaczącej mu coś kobiety. - Ledwie po ślubie. Ożenił się z Anitą. To ta krótko ścięta blondynka koło kominka. Lekarka, laryngolog. Dopiero co zrobiła specjalizację. Podobno wybitnie zdolna.

Wzrok Andrzeja zatrzymał się na wyjątkowo atrakcyjnej kobiecie. Rozmawiała z inną kobietą w średnim wieku, popijając ze szklanki sok pomarańczowy.

- Tamten pod ścianą, coś go tak zgasił, to...

- Po co ksiądz mi to mówi? - przerwał bezceremonialnie ochroniarz.

Ksiądz Ryszard odwrócił głowę w jego stronę. Wzruszył ramionami.

- Może po to, żebyś wiedział, że katolicy to najczęściej zupełnie normalni, sympatyczni ludzie z przeróżnych środowisk społecznych.

- Tak? - Były żołnierz wypił nalewkę do dna. Odstawił pusty kieliszek na stół. - Bez obrazy, proszę księdza, ale

mało mnie to obchodzi. Mam swoją robotę, pewnie ksiądz wie jaką, i wasze sprawy mnie średnio interesują.

- Jasne. Rozumiem. Pomyślałem tylko, że może chciałbyś coś wiedzieć o środowisku Joanny. W końcu jesteś za nią odpowiedzialny.

- Chrześcijanina ksiądz ze mnie nie robi. Zły adres.

Proboszcz uśmiechnął się życzliwie i pokręcił głową.

- Uwiera? - spytał po chwili milczenia.

- Słucham? - Sznajder posłał mu badawcze spojrzenie.

- Pytam, czy bardzo uwiera?

- Niby co? - Mężczyzna nie spuszczał z księdza wzroku.

- Ten glock z tyłu za pasem.

Andrzej przeszył kapłana świdrującym spojrzeniem.

- Spostrzegawczy z księdza człowiek.

- Nie zawsze byłem księdzem.

- To znaczy?

- Domyśl się - odpowiedział proboszcz zagadkowo. - Mówiłem ci, że nas nie znasz.

Kapłan klepnął go po plecach, zgarnął jego kieliszek i odszedł w kierunku uczestników spotkania Domowego Kościoła.

Ochroniarz nie siedział samotnie zbyt długo. Podszedł do niego brat Serafin vel Janek. Miał nietęgą minę. Chciał coś powiedzieć, ale wydawało się, że nie wie, jak zacząć.

- Co jest? - pomógł mu Sznajder.

- Kurczę, nie wiem, jak... ale nie mam tego pilota alarmowego. Chyba zgubiłem.

Ochroniarz wstał z krzesła.

- Że co?

- Nie wiem, szukałem, ale nigdzie nie mam. Może gdzieś koło samochodu mi wypadł?

- Czyś ty, kurwa, oszalał? - Sznajder ewidentnie nie zważał na miejsce, w którym się znajdowali. - Nie rozumiesz, że ten pilot może ci dupę uratować? I nie tylko tobie?

- Przecież to nie moja wina, że... - próbował się tłumaczyć brat Serafin.

- Jasne, oczywiście. Moja wina. Moja bardzo wielka wina.

- Magnat nadludzkim wysiłkiem hamował się, żeby nie zacząć wrzeszczeć. - No po prostu genialnie.

Podeszła do nich młoda kobieta, o której wcześniej dowiedział się, że jest laryngologiem.

- Janek coś zgubił? Coś ważnego, tak? - Nie czekała na odpowiedź. Sznajder zresztą nie miał zamiaru jej udzielać. Gromił wzrokiem brata Serafina. - Proszę się nie martwić. Na pewno się znajdzie. Chodź, Janek. Poszukamy.

Chwyciła go za łokieć i wyprowadziła z pomieszczenia. Magnat odszukał wzrokiem Joannę, jakby chciał się jeszcze raz upewnić, że wszystko z nią w porządku. Wydawała się być w swoim żywiole. Rozmawiała, śmiała się i słuchała. Wyszedł do holu za Anitą i zakonnikiem. Widział, jak zamykają za sobą drzwi wejściowe. Na co oni liczyli? Że znajdą czarne pudełeczko po nocy? Bez żartów. Był wściekły. Nie spodziewał się, że księżulek wywinie taki numer.

Przeanalizował problem na spokojnie. W razie kłopotów alarmować będzie mogła tylko Joanna. Może się zachować zbyt emocjonalnie - to w końcu baba. Zastanawiał się, czy nie odebrać jej pilota i nie dać lekkomyślnemu zakonnikowi. To jednak facet. Faceci działają racjonalniej. Jeżeli jego życie ma od kogoś zależeć, to chyba wolałby wybrać braciszka. Z drugiej strony, jeśli bałwan znowu go zgubi... jasna cholera. Nie ma rady. Muszą sobie jakoś radzić. W sumie dobrze, że to się stało teraz, a nie w okolicznościach wymagających natychmiastowego działania.

Poczuł, że musi zapalić. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki po paczkę papierosów. Wyszedł na zewnątrz. Powietrze było rześkie i chłodne. Zakonnika i parafianki nie widział w pobliżu. Głęboko zaciągnął się dymem. Popatrzył w górę. Niebo było pełne gwiazd. Na jutro zapowiadała się piękna pogoda. Niedobrze. Gdy leje i

jest silny wiatr, łatwiej zostawić przeciwnika z tyłu. Ufał jednak w swoje umiejętności prowadzenia samochodu. Dorównywały niejednemu rajdowcowi. Podczas sprzyjającej aury szanse się wyrównują.

Wypalił już połowę papierosa, kiedy dostrzegł idącego w jego kierunku uczestnika spotkania na plebanii. Młody, szczupłutki mężczyzna o chłopięcej urodzie szedł ze spuszczoną głową i rozmawiał przez telefon komórkowy. Zatrzymał się. Nie widział Sznajdera.

- Tak, ma na imię Joanna - mówił półgłosem do słuchawki. - Z dwoma przyjechała. Jeden to jej brat... Nie, nie znam. Przecież za krótko jestem. Ten drugi? Wygląda jak jej goryl... Tak, tak, będę uważał. Co mi się może stać? Jestem wśród chrześcijan. - Zaśmiał się cicho.

Młody człowiek zdążył zaledwie nacisnąć czerwoną słuchaweczkę kończącą połączenie, gdy wyrósł przed nim Andrzej Sznajder. Ochroniarz wyrwał mu telefon i warknął:

- Gdzie dzwoniłeś?

Mężczyzna w pierwszej chwili oniemiał. Wystraszył się nie na żarty. Nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- Ja? - wydusił. - Ja nie...

- Nie spytam drugi raz. - Magnat chwycił go za sweter i uniósł tak, że człowiek stanął na palcach. Był przerażony. Ani myślał się bronić.

- Ja... do mamy dzwoniłem - powiedział płaczącym głosem.

Ochroniarz puścił go. Wybrał ponowne połączenie z ostatnim numerem i przyłożył telefon do ucha.

- Co tam jeszcze? - w słuchawce zabrzmiał łagodny damski głos. Był delikatnie, ale słyszalnie obniżony. Typowe dla kobiet około sześćdziesiątki. Sznajder wyłączył się bez słowa. Oddał młodemu człowiekowi komórkę.

- Wiesz, co będzie, jeśli kłamałeś? Znajdę cię wszędzie.

- Matko Boska, ja nie kłamię.

- Oby, przyjacielu, oby. - Magnat poklepał go po policzku.

- Czeka ją tam na ciebie. - Wskazał ruchem głowy wejście

na plebanię.

Parafianin odszedł. Nie oglądał się za siebie. Ochroniarz nie mógł widzieć, że na jego twarzy wyraz przerażenia ustąpił zaciętości. Gdyby widział, z pewnością by go to zaniepokoiło.

Zobaczył zbliżających się brata Serafina i kobietę, z którą poszedł szukać pilota. Zakonnik uniósł rękę. W palcach trzymał zgubione wcześniej urządzenie.

- Jest - powiedział tryumfalnie. - Znalazłem, a właściwie Anita znalazła.

- Twoje szczęście - burknął ochroniarz.

- To nie szczęście - powiedziała kobieta z uśmiechem. - To święty Antoni.

- Tak? - Sznajder nie zadał sobie trudu, żeby ukryć sarkastyczny ton. - Jeszcze jakieś święte rewelacje?

Brat Serafin zacisnął zęby. Był oburzony. Anita, o dziwo, wręcz przeciwnie. Zaśmiała się, jakby usłyszała dobry żart.

- Widzę, że pan sceptyczny - powiedziała pogodnie. - Jak czegoś nie można znaleźć, trzeba się do świętego Antoniego pomodlić. Zawsze pomoże.

Sznajder zatrzymał na niej wzrok. Nie wyglądała na głupią. Można by rzec, że wręcz przeciwnie. W końcu lekarka. Miała bardzo inteligentne spojrzenie. I ktoś taki wierzy w takie brednie?

- Ten chudy blondynek w niebieskim sweterku - ochroniarz zmienił temat - dobrze go znacie? Swój człowiek?

- Jacek? Bardzo porządny chłopak. Przeprowadzili się z Anią ze Szczecina. Dzisiaj nie mogła przyjść. Dołączyli do kręgu chyba cztery miesiące temu, o ile dobrze pamiętam. Czemu pan pyta?

- Nie podoba mi się człowiek.

Brat Serafin przewrócił oczami. Pomyślał, że Sznajder jak nic cierpi na manię prześladowczą. Wstyd mu było za niego przed tymi, którzy tak serdecznie ich przyjęli.

- Myślę, że powinien pan trochę bardziej wierzyć w ludzi
- powiedziała kobieta, patrząc mu prosto w oczy.

- Jakbym wierzył w ludzi, to już dawno byłbym padliną gdzieś daleko stąd.

- Trochę mi pana szkoda, panie Andrzeju.

- He, he. Niepotrzebnie. Skąd pani wie, że Andrzej jestem?

- Asia mówiła, że tak ma pan na imię.

- Fajnie. - Skrzywił się.

- Chodźmy do środka. Zimno się robi. - Wymownie spłotła ręce.

- Braciszku, wołaj Joannę. Zwijamy się - zakomenderował ochroniarz.

- Dlaczego? - zaproponował zakonnik. - Ksiądz Ryszard powiedział, że możemy zanocować. O co chodzi?

- Przestało mi się tu podobać. Wystarczy?

- Przez twoje wrażenia estetyczne mamy się tłuc po nocy?

- Jasiu, nie denerwuj mnie. Idź po siostrę i zaraz was widzę w samochodzie. Nie będę powtarzał - surowy ton Magnata nie znosił sprzeciwu.

Brat Serafin pokręcił głową zniesmaczony. Zastanowiło go, że Sznajder zwrócił się do niego po imieniu. Poszedł do budynku.

- Powiem proboszczowi, że jedziecie - oznajmiła Anita. - Na pewno będzie chciał się pożegnać.

Poszła w ślad za zakonnikiem. Sznajder włożył ręce do kieszeni. Poszukał kluczyków. Rozejrzał się dookoła. Wieczór był cichy i rzeczywiście robiło się coraz chłodniej. W samochodzie usiadł wygodnie na fotelu kierowcy. Jak dotąd podróż przebiegała właściwie bez zakłóceń. Zastanawiał się, kiedy spadną na nich kłopoty, bo spaść muszą. Prędzej czy później ludzie, którzy polują na Joannę, zorientują się, a wtedy... Bóg jeden raczy wiedzieć. Całe szczęście, że to Europa. Nie tak łatwo kogoś dopaść. Trzeba tylko działać ostrożnie. W końcu jest policja i nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie niepotrzebnie ryzykował.

Przypomniął sobie dwóch „ornitologów” spod klasztoru. Zastanawiał się, czy rzeszowska policja się połapie, o co tak naprawdę poszło. Raczej mało prawdopodobne. Tym bardziej szanse, że wpadną na jego ślad, są praktycznie zerowe. Sprawą musiałyby się zająć jakieś policyjne asy, a na tak zwanej prowincji raczej ciężko o prawdziwych oficerów śledczych z krwi i kości. Przynajmniej z tej strony powinien mieć spokój.

Ksiądz Ryszard zapukał w okno. Za nim stali Joanna z Serafinem. Sznajder wysiadł.

- Słyszałem, że musicie już jechać - zaczął proboszcz.

- Tak będzie lepiej - odparł ochroniarz. - Dla nas wszystkich.

- Skoro musicie... - Ksiądz uściskał Joannę i brata Serafina. Podał Andrzejowi rękę. - ...to niech was Bóg prowadzi. Będę się za was modlił.

- Hmm, już to gdzieś słyszałem - mruknął ochroniarz pod nosem.

Joanna z zakonnikiem byli już w samochodzie. Były żołnierz zasałutował niedbale księdzu i zajął miejsce za kierownicą. Nawigacja ożyła. Droga na autostradę została wytyczona.

Rozdział 4

Nowy Jork, Stany Zjednoczone

Richard Hartmann stał przed oknem w swoim biurze na najwyższym piętrze wieżowca należącego do firmy Tucker & Hartmann. Okno, a właściwie rząd okien od podłogi do sufitu, zastępowało ścianę frontową.

Patrzył zamyślony na rozpościerającą się poniżej panoramę Manhattanu. Był to wysoki, postawny mężczyzna w eleganckim, doskonale skrojonym jasnym garniturze. Miał sporo po pięćdziesiątce, lecz kruczoczarne, starannie przystrzyżone włosy bez śladów siwizny sprawiały, że wyglądał znacznie młodziej. Jego wypielegnowane, smukłe dłonie o wyjątkowo długich palcach przyciągały wzrok płci pięknej.

W swoim prawniczo-biznesowym środowisku cieszył się popularnością i ogromnym szacunkiem. Jego kancelaria nie tylko wygrywała międzynarodowe, wydawałoby się, beznadziejne sprawy, ale też niezwykle skutecznie egzekwowała postanowienia wymiaru sprawiedliwości, szczególnie gdy chodziło o zobowiązania finansowe krajów mało cywilizowanych, w których kaprysy dyktatorów decydowały o życiu lub śmierci obywateli.

W drzwiach biura stanęła asystentka. Młoda, niezwykle atrakcyjna kobieta o dość wyzywającej urodzie i podobnym makijażu. Odezwała się półgłosem:

- Panie Hartmann...

Mężczyzna odwrócił się w jej stronę i uśmiechnął na wspomnienie ostatniej nocy, którą razem spędzili. Asystentka zawsze była na każde jego skinienie. Kilka jej koleżanek z firmy również. Już nieraz miał okazję się przekonać, jak gorącymi temperamentami są obdarzone.

Szczególnie gdy przychodziło im działać wspólnie. Cieszył się na samą myśl o jeszcze niejednym takim spotkaniu.

- Tak, Marion?

- Jest telefon z Tokio. Dzwoni pan Oshida. A w sali konferencyjnej są już wszyscy. Czekają na pana.

- Lucius też już jest?

- Jeszcze nie.

Hartmann spojrział na zegarek.

- Jak przyjdzie, to mi od razu daj znać.

Z przyjemnością przesunął wzrokiem po jej posągowych kształtach. Dziewczyna dostrzegła to i uśmiechnęła się zalotnie.

- Oczywiście, panie Hartmann.

- Przełącz mi Oshidę.

Marion wyszła z biura szefa. Mężczyzna poprawił słuchawkę w uchu. Chwilę potem zabrzmiał w niej głos Japończyka. Mówił z charakterystycznym dla Azjatów akcentem.

- Nasz człowiek wrócił właśnie z Wietnamu.

- I?

- Tak jak pan przewidywał. Ichni minister finansów pękł wreszcie. Zapłacą kary umowne.

- Wszystko?

- Wszystko, co do centa. I jeszcze do tego odsetki.

- Znakomicie. Dobrze się spisaleś, Oshida. Nie zapomnę o tobie.

- Dziękuję, panie Hartmann. Jestem zawsze do usług.

Richard dotknął maleńkiej słuchawki i zakończył rozmowę. W tym samym momencie Marion wsadziła głowę przez drzwi. Kiwnęła potakująco. Mężczyzna gestem dłoni pokazał, że ma wprowadzić Luciusa.

Wszedł człowiek ponadtrzydziestoletni, odprowadzany pożądlwym wzrokiem asystentki. Podobnie jak Hartmann, miał na sobie idealnie skrojony garnitur, tyle tylko, że w kolorze wieczornego morza.

- Chodź, synu - powiedział do niego bardziej niż przyjaźnie szef.

Objął go i poprowadził do okien. Mężczyzna, do którego Hartmann zwracał się per „synu”, nie był z nim spokrewniony. Szef korporacji wynalazł go na ostatnim roku studiów prawniczych. Natychmiast dostrzegł w nim cechy charyzmatycznego przywódcy, które wystarczyło tylko rozwinąć w odpowiednim kierunku. Przez kolejne lata kariera Luciusa Lagena była uważnie obserwowana, choć on w żadnym razie nie był tego świadomy. Odnosił sukcesy zarówno w życiu zawodowym, jak i prywatnym, aż do momentu, gdy jego ciężarna żona zginęła w wypadku. Wtedy pojawił się Richard Hartmann. Wziął go do siebie i roztoczył nad nim opiekę.

Szybko potwierdziło się, że Lucius był dokładnie tą osobą, której tak długo szukał. Wreszcie mógł zacząć realizować swój szaleńczy plan ostatecznego zdominowania rasy ludzkiej. Ten młody człowiek z pewnością sprosta oczekiwaniom, jakie w nim pokładał. Przeszedł pomyślnie już niejedną próbę, a jego wiara w słuszność podejmowanych działań mimo nierzadko wielu ofiar nigdy nie została zachwiana.

- Twoja sekretarka powiedziała, że to ważne. - Lucius patrzył na panoramę Nowego Jorku. Jego usta wykrzywił ledwie zauważalny uśmiech tryumfu. Mógł się domyślać, jak ważne wydarzenia wkrótce staną się jego udziałem.

- Gdzie cię złapała? - Hartmann wodził wzrokiem po szczytach wieżowców.

- W Szanghaju.

- Jak sprawy w Chinach?

- Idealnie.

- Tak?

- Zmiany na najwyższych szczeblach to już tylko kwestia czasu. Krótkiego czasu. Niedługo będzie dokładnie tak, jak chcieliśmy.

- Tak właśnie słyszałem. - Hartmann dalej nie patrzył na rozmówcę. - Ludzie mówią...

- Nie ufasz mi? - Delikatny uśmiezek wciąż czał się w kącikach ust Luciusa.

Richard spojrział mu głęboko w oczy.

- Nikomu nie ufam tak jak tobie, Lucius - powiedział poważnie. - Nawet sobie - dodał lżejszym tonem. - Jeszcze jedna rzecz, którą musimy zdobyć...

- Ten dysk?

- Pilnują go jak oka w głowie. Jest taki klasztor w Polsce... ale muszą go stamtąd w końcu ruszyć.

- Może trzeba było jakąś akcję z powietrza zorganizować? W nocy, grupa doświadczonych ludzi...

- Nie da rady. To nie Bliski Wschód. Za duże ryzyko. Poza tym zwykły człowiek nie może dotykać dysku. Jest jak jad o piorunującym działaniu.

- Bez dysku nie możemy zaczynać? Wszystko idzie jak trzeba.

Richard Hartmann nie odpowiedział. Westchnął tylko. Jedynie on w pełni zdawał sobie sprawę, jak kolosalna moc jest uwięziona w tym kawałku metalu wykutym tysiące lat temu.

- Obserwujemy jego opiekunkę. Wkrótce będą próbowali go wywieźć. Wtedy go przejmujemy.

- A opiekunka?

- To młoda kobieta. Ją też musimy przejąć.

- Młodych kobiet ci u nas dostatek.

- Jest niezwykła. Ma w sobie pewien dar. Potrzebujemy jej. Stanowią swego rodzaju jedność z dyskiem.

- Nie rozumiem...

- Powiem ci tylko tyle, będzie matką nowej, przyszłej rasy, która bezwzględnie podporządkuje sobie wszystkich ludzi.

- Matką... - Lucius zmrużył oczy. - Z katolickiego klasztoru. Zdziwiłbym się, gdyby się zgodziła.

Hartmann uśmiechnął się z wyrozumiałością.

- Uważasz, że ktoś ją będzie pytał?

Wymienili spojrzenia. Doskonale się rozumieli. Hartmann wsadził ręce do kieszeni.

- Teraz chciałbym, żebyś poznał naszych, jak by to powiedzieć, „oficerów sztabowych”. Czekają w sali konferencyjnej.

Przy wielkim eliptycznym stole siedziało sześciu mężczyzn. Dwóch Azjatów, jeden Murzyn, Arab i dwóch białych.

- Panowie. - Richard Hartmann oparł się o blat stołu. - Już czas, żebyście poznali osobiście kogoś, kto będzie tworzył naszą przyszłość.

Lucius Lagen stał ze splecionymi na piersiach rękoma i uśmiechał się niczym kandydat na prezydenta USA podczas wiecu wyborczego. Budził sympatię, przyciągał uwagę i sprawiał, że wszyscy w jego obecności mieli poczucie jakiejś magicznej wspólnoty. Roztaczał wokół siebie niezwykłą aurę. Ludzie chcieli z nim być. Wiedział o tym i skrzętnie to wykorzystywał.

- Witam panów - odezwał się.

- Lucius Lagen. Za jakiś czas przyszedł prezydent Stanów Zjednoczonych - mówił dalej z dumą Hartmann - a już wkrótce najbliższy współpracownik nowych władz w Chinach.

Mężczyźni wymienili półgłosem uwagi. Nie było wątpliwości, że wyrażali się o Luciusie z uznaniem.

Do sali weszła asystentka. Od razu widać było, że ma sprawę niecierpiącą zwłoki. Podeszła do szefa i szepnęła mu coś do ucha. Hartmann zmarszczył czoło. Wiadomość ewidentnie zrobiła na nim wrażenie. Marion wyszła, a on zwrócił się do obecnych:

- Panowie, muszę was teraz opuścić. Sprawa dysku wymknęła się spod kontroli. Mam nadzieję, że tylko na chwilę. Zapoznajcie Luciusa ze wszystkim. Postaram się wrócić jak najszybciej.

Wyszedł na korytarz i podążył do swojego biura. Czekają tam na niego dwie młode osoby: kobieta w czarnym

skórzanym kombinezonie typowym dla motocyklistów i wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna z blond włosami do ramion. Na jego widok oboje odwrócili się od imponującego widoku za oknami. Kobieta ściągnęła okulary przeciwsłoneczne.

- Dobrze słyszałem? - spytał Hartmann surowo. - Przegapiliście?

- Nasi ludzie obserwowali klasztor dwadzieścia cztery godziny na dobę - tłumaczył się mężczyzna. - Nikt nie nawalił.

Hartmann był wyraźnie wzburzony.

- Więc co? - jego głos wyrażał groźbę.

Młody człowiek zadrżał mimo woli. Zerknął na towarzyszkę, szukając u niej pomocy w wyjaśnieniu sytuacji. Dziewczyna jakby nigdy nic oglądała sobie paznokcie. Nie czuła się w żaden sposób winna. Faktycznie nie była. To ona od jednego neofity w polskim kręgu biblijnym odebrała telefon z informacją o trojgu dziwnych podróżnikach, którzy się u nich zatrzymali.

- Ktoś zlikwidował obserwatorów - kontynuował mężczyzna. - Musieli wynająć zawodowca.

- Lydia, co powiesz? - Richard zwrócił się do kobiety.

- Jadą czarnym jeepem. W Polsce to ciągle rzadkość. Chyba da się ich namierzyć.

- Eryk, zawałiłeś sprawę. - Hartmann się opanował. - Nie życzę sobie więcej wpadek. Rozumiesz?

- Rozumiem, panie Hartmann.

- Idź i postaraj się odkręcić to, co zepsułeś.

Eryk skłonił się i bez słowa wyszedł z biura.

- Zajmiesz się tym, Lydia. Masz kogoś w Polsce?

- Znajdzie się.

Mężczyzna podszedł do biurka i uderzył palcami w kilka klawiszy laptopa. Na monitorze pojawił się obraz z kamer frontowych budynku. Oboje zobaczyli Eryka przechodzącego na drugą stronę ulicy. Chodniki były pełne przechodniów. Z przeciwka szła starsza kobieta z dwoma

owczarkami niemieckimi na smyczy. Psy miały przepisowe kagańce na pyskach. Kiedy od Eryka dzieliło je nie więcej niż kilkanaście metrów, stała się rzecz zdumiewająca. W jednej chwili owczarki dostały szału. Przednimi łapami zerwały z pysków kagańce i zanim kobieta zdążyła zorientować się, o co chodzi, wyrwały jej z rąk smycz i w kilku susach dopadły Eryka. Zachowywały się jak rozszarpujące ofiarę najdziksze bestie.

Przechodnie zaczęli w panice uciekać. Właścicielka stała osłupiała, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Zaledwie kilkanaście sekund później zmasakrowany mężczyzna z rozszarpanym gardłem leżał w kałuży krwi. Psy zaś, jakby nagle zrozumiały, co zrobiły, zaczęły się łąsić do właścicielki i żałośnie piszczeć. Położyły się u stóp oniemiałej kobiety i rozglądały z przestraczem wokół. Wydawały się nie mniej przerażone niż ludzie obserwujący wydarzenia, których były głównymi aktorami.

Richard Hartmann spojrział na Lydię. Z satysfakcją odnotował, że tragiczna śmierć Eryka nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia.

- Wypadki chodzą po ludziach - stwierdził, unosząc brwi.

- Jak widać na załączonym obrazku - dodała Lydia.

Mężczyzna wiedział, że dziewczyna świetnie zdaje sobie sprawę, że nie był to żaden wypadek. A ona była pewna, że on to wie. Rozumieli się doskonale.

W drzwiach Lydia minęła się z Luciussem. Wymienili uśmiechy. Znali się od dłuższego czasu, i to bliżej, niżby się mogło wydawać.

Szeregowi pracownicy firmy znali ich z widzenia, lecz nie do końca wiedzieli, jaką właściwie rolę pełnią w korporacji. Wiedzieli tylko to, że w hierarchii stali znacznie wyżej od nich samych i należało ich traktować z szacunkiem, najlepiej graniczącym ze służalczością, bo nigdy nie wiadomo, kiedy coś takiego może się opłacić.

- I jak? - spytał Hartmann wchodzącego.

- Przydadzą się. - Lucius rozparł się na wielkiej, czarnej skórzanej kanapie. - Nie ufałbym tylko temu czarnemu. Nie podoba mi się.

- Twoje słowo ciałem się stanie, synu. - Hartmann uniósł ręce niczym ksiądz do modlitwy. - Jeszcze dzisiaj przydarzy mu się nieszczęśliwy wypadek.

Lucius w uśmiechu pokazał perlistobiałe zęby. Zawsze bawiły go aluzje do chrześcijaństwa w wykonaniu Richarda.

- I za to cię cenię, Richard.

Hartmann odwrócił się w stronę okna i po raz nie wiadomo już który obserwował z lubością panoramę wielkiego miasta.

- Jeszcze trochę i metropolie takie jak ta staną się naszą własnością - stwierdził rozmarzonym głosem. - Miasta, ludzie będą mieli tylko jednego pana, po wsze czasy.

- Warto by dopilnować, żeby to „jeszcze trochę” nagle nie rozciągnęło się gwałtownie w czasie - zauważył trzeźwo Lucius. - Wolałbym nie być złym prorokiem, ale...

Hartmann spojrzał w jego stronę.

- Nie bądź. Nie wierzysz we mnie?

- Wierzę całym sercem. Ale, jak mówiłeś, dysku wciąż nie mamy.

- Wysłałem Lydię.

- Prawda. Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle.

Młody mężczyzna wstał i podszedł do barku. Nalał sobie pół szklanki whisky.

- Lydia nigdy mnie nie zawiodła.

- I tak na pewno będzie i tym razem. - Lucius wzniosł szklankę jak do toastu i pociągnął łyk. Skrzywił się. - Młoda. - Odstawił trunek.

- Chodź. Wyjdziemy coś zjeść.

W korytarzach i w windzie odpowiadali na pozdrowienia i ukłony pracowników. Swoim sposobem bycia sprawiali, że ludzie czuli się w ich obecności doceniani i istotni dla korporacji. Może byli tylko trybikami w maszynie, ale jakże ważnymi.

Do restauracji poszli pieszo. Dzień sprzyjał spacerom, z czego tłumnie korzystali mieszkańcy Nowego Jorku oraz wszędobylscy turyści, rozglądający się z ciekawością i tym samym stanowiący łatwy cel dla lokalnych kieszonkowców i żuli.

Na ławeczce koło skwerku siedziała młoda kobieta z może trzy-, czteroletnim chłopczykiem. Chłopiec bawił się czymś przy jej stopach. Richard przystanął i przykląkł przy dziecku.

- Ma pani ślicznego i dzielnego synka. - Uśmiechnął się do kobiety przyjaźnie i pogłaskał malca po blond czuprynie.

Dzieciakowi zaświeciły się oczy. Patrzył na Hartmanna jak na dawno niewidzianego przyjaciela i doskonałego towarzysza zabaw.

- Wiem - odparła matka. - To słońce mojego życia. - Spojrzała na synka czule. W spojrzeniu tym dostrzegało się niezmiernie pokłady rodzicielskiej miłości.

- Jak masz na imię? - spytał Hartmann chłopca, patrząc mu prosto w oczy.

- Peter - odpowiedziało dziecko bez wahania.

- Czekają cię w życiu wielkie rzeczy, Peter.

- To prawda - potwierdził chłopczyk ku zaskoczeniu matki, która wzięła odpowiedź malca za objaw rezolucji.

- Widzę, że się rozumiemy. - Podnosząc się, Hartmann obdarzył dziecko tajemniczym uśmiechem. - Do widzenia pani. - Skinął kobiecie na pożegnanie i wraz z Lucysem odeszli w stronę restauracji.

Peter stał jak zaczarowany i nie spuszczał wzroku z jego pleców, aż mężczyzna zniknął w tłumie.

- Słoneczko, chodź do mamusi. - Kobieta poczuła potrzebę przytulenia dziecka.

- Co ty tam, kurwa, wiesz, stara dupo - powiedział Peter swoim dziecięcym głosem.

Kobietę zamurowało. Była pewna, że się przesłyszała.

- Co ty powiedziałaś?

Chłopczyk odwrócił się do niej. Zobaczyła jego oczy, zimne, bezlitosne i obce.

- Nic, mamusiu. - Uśmiechnął się do niej, lecz w uśmiechu tym daremnie by szukać dziecinnej naiwności i oddania.

Kobieta wyraźnie wyczuwała w dziecku coś niepokojącego. Wstała z ławki, wzięła go za rękę i poprowadziła w przeciwnym kierunku niż ten, w którym udali się mężczyźni. Peter ociągał się. Był niezadowolony. Szeptał coś pod nosem. W gwarze panującym wokół matka nie mogła usłyszeć najgorszych przekleństw płynących z jego drobniutkich usteczek.

- Co to było? - spytał Lucius, nie patrząc na Hartmanna.

- Cudowna przemiana. Gówniarz wyrośnie na naszą chwałę. Jeszcze o nim ludzie usłyszą.

- Nie mogłeś się powstrzymać?

Hartmann spojrzał na młodego mężczyznę. Nie miał wątpliwości, że ten tak naprawdę aprobeuje jego postępek.

- Okazja czyni złodzieja.

Przekroczyli próg restauracji, gdzie natychmiast się nimi zajęto.

Rozdział 5

Autostrada A4 była pełna tirów. Jakby się zmówiły. Prawy pas notorycznie zajmowały mniejsze lub większe konwoje. Nocne godziny wydawały się wyganiać je w trasę. A przecież lato się skończyło. Wszelkie zakazy poruszania się ciężarówek za dnia ze względu na upały już nie obowiązywały. Jednak o spokojnej jeździe nie było mowy. Co chwila trzeba było zjeżdżać na lewy pas, przyspieszać, by nie blokować innych, i wracać na prawy. Jedyny z tego pożytek, że nie nachodziła człowieka senność.

Andrzej zerknął przez ramię. Oboje pasażerowie zapadli w sen, a przynajmniej tak to wyglądało. Zatrzymał wzrok na Joannie. Oddychała miarowo. Pomiedzy połami rozpiętej marynarki dostrzec można było okrągły przedmiot, który cały czas nosiła na łańcuszku. Rzecz nieduża, dysk o średnicy czterech, może pięciu centymetrów, wybruszony w środku, ostro zakończony na krawędziach. Wytężył wzrok i dostrzegł wypukłe wzory na jego powierzchni. A także pentagram, którego ramiona sięgały niemal do samych krawędzi przedmiotu. Między nimi znajdowały się jakieś inskrypcje, lecz odczytanie ich w tym momencie było niemożliwością. Trudno też było określić kolor dysku. W mignięciach światła z zewnątrz miało się wrażenie, że co jakiś czas zmienia on barwę. Więc to o taki drobiazg całe to zamieszanie...

Andrzej skupił się na prowadzeniu. Szybko zbliżał się do ciągnących się przed nim tirów. Rzut oka w boczne lusterko i manewr wyprzedzania lewym pasem. Powrót na prawy.

Joanna tymczasem zmieniła pozycję. Przekręciła się bokiem w stronę oparcia. Dysk zsunął się pod marynarkę. Nie był już widoczny. Andrzej jednak nie przestał zaprzętać sobie nim głowy. Coś w tym kawałku metalu sprawiało, że

człowiek skupiał na nim myśli. Przyciągał jakąś niezrozumiałą siłą. Sznajdera nasza przemożna ochota zatrzymania pojazdu i przyjrzenia się dyskowi z bliska. Poczuł chęć dotknięcia go. Sam się sobie dziwił.

Nie bez trudu odegnał tę idiotyczną myśl. Siła woli, ćwiczona przez lata, poddana niejednej próbie, wzięła górę. Jechał dalej, tyle tylko, że trochę przyśpieszył. Ciężarówki do wyprzedzenia i wolno sunące samochody pojawiały się przez to częściej przed maską.

Dawno minęli Wrocław, Legnicę i pomniejszych miasta województwa dolnośląskiego. Wjechali na teren lubuskiego. Po obu stronach drogi od razu wyrosła ściana gęstych lasów, tak charakterystycznych dla tego rejonu. Na bezchmurnym niebie królował księżyc w towarzystwie jasno błyszczących gwiazd. Noc niespecjalnie ciemna. Ruch na drodze jakby zelżał. Większość aut musiała kierować się na przejście graniczne w Zgorzelcu. Nic nie zakłócało spokojnej jazdy.

Sznajder ponownie zerknął w lusterko wsteczne. Joanna już nie spała. Siedziała z szeroko otwartymi oczami. Patrzyła przed siebie zaniepokojona, jakby właśnie przypomniawszy sobie o włączonym gorącym żelazku, które zostawiła w domu. Instynktownie spojrzął niżej, ale dysk znajdował się znów za materiałem marynarki.

- Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczyła - stwierdził nie bez racji.

Joanna przymrużyła oczy. Analizowała coś w myślach. Zdawała się nieobecna. Sznajder raz za razem zerkał na nią. Zaczynało go niepokoić jej nietypowe zachowanie.

- Potrzebuję pilnie jechać do szpitala - powiedziała słabym głosem.

- Jasna cholera, skąd ja ci tu wezmę szpital? - zachnął się. - Co się dzieje?

- Zaraz będziemy na wysokości Żar. Tam mnie zawieź.

- Pięknie. A może po prostu powiedz mi, co się dzieje.

- Nawigacja cię zaprowadzi.

Magnat spojrział na ekranik. Ku jego zdumieniu sygnalizował zjazd z autostrady. Właśnie minęli tablicę informacyjną o zjeździe na Żary.

- Co to ma być? - spytał ogłupiały. - Co zrobiłaś z nawigacją?

- Proszę, zawieź mnie do szpitala - powiedziała słabo, ale stanowczo.

Magnat posłusznie zjechał na drogę wiodącą do miasta. Nawigacja prowadziła bezbłędnie. Nie rozumiał, jak to się mogło stać, ale już nawet nie próbował zrozumieć. W ciągu ostatnich kilkunastu godzin był świadkiem rzeczy, które wymykały się jego zdolnościom pojmowania. Miał tylko nadzieję, że z czasem ktoś mu to wszystko logicznie wytłumaczy. Choć mówi się, że nadzieja matką głupich...

Kilkanaście minut później zatrzymali się niedaleko wejścia do szpitala przy ulicy Bohaterów Getta. Przebudził się brat Serafin.

- Gdzie jesteśmy? - spytał zaspany.

- Musimy coś załatwić w szpitalu - powiedziała Joanna. - Poczekaj tu na nas.

- OK - zakonnik nie wyraził sprzeciwu.

- Załatwić? - Sznajder niemalże krzyknął. - Jak to załatwić? Myślałem, że pilnie potrzebujesz lekarza.

- Nie ja.

- A kto? Ja?

- Chodź, szkoda czasu. - Joanna nie zamierzała wdawać się w niepotrzebne dyskusje. - Późno już.

- Myślisz, że nas wpuszczą? - spytał Andrzej, gdy dochodzili do drzwi wejściowych.

- Tak - odpowiedziała krótko i zadzwoniła.

Ochroniarz, który otworzył, spojrział na nich podejrzliwie. Podstarzały, otyły mężczyzna raczej nie na wiele by się przydał, gdyby zaszła prawdziwa potrzeba ochrony budynku.

- O co chodzi? - spytał oschle.

- My do Kasi Majewicz - powiedziała Joanna pewnie. - Przyjechaliśmy z bardzo daleka i musimy zaraz wracać - dodała, widząc jego wahanie.

- Dobrze. Wejdźcie. - Otworzył szerzej masywne drzwi.

Sznajder popatrzył na zakonnice pytającym wzrokiem. Nie uznała za stosowne, żeby mu to wyjaśniać. Szczególnie w obecności osoby postronnej. Andrzej nachylił się do jej ucha.

- Jakieś wytłumaczenie?

- Później - odpowiedziała półgębkiem.

- Wiecie państwo, gdzie iść?

- Sala sto trzy na pierwszym piętrze. Tak?

- Dokładnie - potwierdził mężczyzna. - Biedne dziecko. Cały czas jest przy niej matka.

Poszli długim korytarzem. Światła paliły się tylko gdzieś tam, co nadawało miejscu raczej ponury nastrój. Joanna szła bardzo skupiona. Sznajder nie zadawał już pytań. Czuł, że na wyjaśnienia przyjdzie jeszcze pora.

Na pierwszym piętrze Joanna śmiało weszła do stotrójki. Drzwi były otwarte. W sali panował półmrok. Jedynym źródłem światła był korytarz. W pomieszczeniu znajdowały się trzy łóżka, dwa puste, starannie pościelone. Na jednym, tyłem do wchodzących, siedziała kobieta w średnim wieku. Kiedy podeszli, zobaczyli, że trzyma za rękę małą, może pięcio-, sześćioletnią dziewczynkę. Mimo późnej godziny dziecko nie spało. Oddychało z ogromnym trudem.

Matka spojrzała na nich zrezygnowana i zrozpaczona. Nie przyszło jej do głowy, żeby pytać, kim są i co tu robią. Jej ukochane dziecko umierało i nikt nie mógł tu nic pomóc. Chciała być z córką przez ostatnie chwile jej życia.

Joanna podeszła bliżej i pogłaskała dziewczynkę po policzku. Chora próbowała się uśmiechnąć, jakby rozpoznała kobietę, choć przecież nie mogła jej znać.

- Ma pani śliczną córeczkę - odezwała się Joanna, patrząc na cierpiące dziecko.

Kobieta rozszlochała się głośno. Ukryła twarz w dłoniach i odwróciła się.

- Dlaczego? - zawodziła. - Dlaczego Kasia? Tyle się modliłam. Dlaczego Bóg mnie nie chce wysłuchać?

Joanna Wolińska nie zwracała uwagi na płaczącą kobietę. Nie spuszczała wzroku z dziecka. Po krótkiej chwili Sznajder otworzył usta ze zdumienia. Dziewczynka usiadła na łóżku. Oddychała zupełnie normalnie. Rozejrzała się wokół krytycznie. Przysunęła się do płaczącej matki i chwyciła ją mocno za ramię.

- Mamusiu - powiedziała pełnym siły dziecięcym głosem - głodna jestem. Możesz mi kupić pizzę?

Kobieta podniosła oczy na córkę. Patrzyła oniemiała na swoje dziecko, które jeszcze przed chwilą było naznaczone wyrokiem śmierci. Porwała małą w ramiona, załkała głośno.

- Chodź - powiedziała Joanna do towarzysza. - Nie jesteśmy tu już potrzebni.

Kiedy wyszli na korytarz, Sznajder nie czekał z pytaniem.

- Co to, do cholery, było?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Dobry uczynek.

- Naprawdę ją uleczyłaś?

- Nie ja, niestety.

- Nie ty? To kto?

- Raczej co. - Postukała się na wysokości brzucha w zapiętą marynarkę.

- Ten twój wisiołek?

- Ten, jak to ty nazywasz, wisiołek kryje w sobie niewyobrażalną moc. Bardzo, ale to bardzo złą moc.

- I ty niby tą złą mocą... - Andrzej zrobił niedowierzającą minę i pokazał kciukiem za siebie.

- Zło bywa ślepe. Czasem udaje mi się to wykorzystać.

Sznajder świdrował ją wzrokiem. Joanna nie żartowała. Mówiła całkiem poważnie i najzupełniej szczerze. Takie przynajmniej odnosił wrażenie.

- Szlag by was trafił, katole.

- Eee tam. - Wzięła go za ramię. - Parę sal dalej jest jeszcze umierający chłopczyk.

- Jego też uzdrowisz?

- Raczej jego ojca.

- Jak to ojca?

- Zobaczysz.

Stanęli przed otwartym wejściem do kolejnej sali. Tym razem nie weszli do środka, ale przez uchylone drzwi widzieli leżącego w środku pacjenta. Obok na krzeselku siedział mężczyzna i też trzymał swoje dziecko za rękę. Stali na tyle blisko, że mogli usłyszeć każde wypowiedane słowo. Ojcu łzy płynęły po policzkach.

- Nie martw się, tatusiu - powiedział słabym głosem chłopiec.

- Synku kochany, gdybym...

- Wiem, tatusiu... nic nie musisz mówić. - Gdy chłopak próbował się uśmiechnąć, jego twarzyczkę wykrzywił grymas bólu. Malec zaczął gwałtownie kaszleć. Joanna pociągnęła Sznajdera za sobą.

- Nie pomożesz temu dziecku? - spytał zaskoczony.

- Przeceniasz mnie. Nic nie mogę zrobić.

- Ten dzieciak umrze?

- W ciągu najbliższej godziny. - Szli w kierunku wyjścia. - Ojciec jest ateistą. Dziecko głęboko wierzące i pobożne. Umiera, jak by to powiedzieć... w ofierze za swojego ojca. Po to, żeby on mógł uwierzyć - powiedziała.

- I myślisz, że to mu pomoże?

- Pomoże, na pewno. Odda się Bogu pod opiekę. Inaczej by oszalał z rozpacz.

- Ciekawe sposoby ma twój Bóg.

- Nie mój, tylko nasz, a poza tym to nie są żadne sposoby. To jest tajemnica, której nie da się zgłębić rozumem.

- Powiedzmy.

Na zewnątrz panował chłód. Ruszyli szybkim krokiem w stronę samochodu.

- Skąd wiedziałaś, że musisz tu przyjechać? - spytał, wciąż nie mogąc się otrząsnąć po wydarzeniach, których właśnie był świadkiem.

- Nie wiedziałam - odparła. - Czułam.

Sznajder rozglądał się uważnie. Popatrzył na drugą stronę ulicy. Stały tam zaparkowane trzy samochody. Czarne audi i dwa ciemne volkswageny. Próbował sobie przypomnieć, czy widział je, gdy wchodzili do szpitala. Rzeczywiście coś tam stało, ale nie pamiętał, czy akurat trzy. Powiódł wzrokiem po dachach. Na tle jasnego nieba szczyty domów były wyraźnie widoczne. Nie dostrzegł nic niepokojącego.

Brat Serafin wysiadł i czekał na nich przy otwartych drzwiach samochodu. Ochroniarz zwrócił mu uwagę.

- Nie wychodź, jak nie trzeba. Wsiadaj z powrotem.

Zakonnik bez dyskusji posłuchał. W momencie gdy Joanna zamierzała usiąść na tylnym siedzeniu, Sznajder zobaczył postać biegnącą od strony szpitala. Odruchowo położył rękę na broni, ale rozpoznał kobietę, matkę uleczonej dziewczynki. Stała przed Joanną, złapała ją za rękę i zaczęła całować. Joanna starała się wyrwać dłoń z uścisku.

- Co pani robi?

- Uratowała mi pani dziecko - mówiła kobieta łamiącym się od emocji głosem. - Pani jest świętą osobą. Jak mam pani dziękować?

Sznajder uznał, że czas na interwencję. Zanim jednak cokolwiek zrobił, jeszcze raz rzucił okiem na najbliższą okolicę, ot tak, dla pewności. I zobaczył coś, od czego serce zaczęło mu bić szybciej. Adrenalina strzeliła do krwiobiegu.

W audi otworzyło się okno pasażera i czarna postać - w ciemnościach widać było tylko kontury - zaczęła mierzyć z karabinu w ich kierunku. Sznajder w ułamku sekundy, najszybciej jak potrafił, z całej siły pchnął Joannę. Kobieta uderzyła w dziękującą matkę, ale zanim obie upadły na ulicę, z audi oddano dwa strzały. Sznajder wyrwał pistolet

zza paska i również strzelił dwukrotnie. Trafił. Ręce trzymające karabin nagle zwiotczały i broń uderzyła o płyty chodnika. W tym samym momencie auto ruszyło z piskiem opon. Szybko oddalało się w stronę miasta.

Magnat wycelował w miejsce na tylnej szybie, za którym jego zdaniem powinna znajdować się głowa kierowcy. Oddał trzy strzały. Samochód pędził dalej, lecz po chwili zatańczył na drodze, skręcił gwałtownie, przeokoziółkował i uderzył bokiem w potężne drzewo na skraju pobliskiego parku.

Dopiero teraz Sznajder przykląkł przy Joannie. Była przytomna, patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Wystraszona, ale nie przerażona.

- Gdzie cię trafili? - spytał z niepokojem.

- Mnie nigdzie. Nic mi nie jest. - Podniosła się na łokciach. - Ale ta kobieta...

Ochroniarz przeniósł na nią wzrok. Matka dziewczynki miała przestrzeloną głowę. Leżała w kałuży krwi, która tworzyła wokół jej czaszki niemal idealne koło, niczym aureola ze świętych obrazków. Jej martwe spojrzenie utkwione było w oponie samochodu.

- Jej już nie pomożemy - stwierdził i podniósł Joannę na nogi. - Musimy się stąd wynosić. I to natychmiast.

Prawie wepchnął ją na tylne siedzenie. Sam wskoczył za kierownicę i gwałtownie ruszył. Kiedy byli już ponad kilometr od miejsca ataku, usłyszeli dźwięk policyjnych syren, który zaraz potem umilkł.

Andrzej prowadził w milczeniu. Ponownie jechali między dwiema ścianami lubuskich lasów. Joanna i brat Serafin też się nie odzywali. Zakonnik w przeszłości widział zapewne niejedną śmierć. Joannie trudno było się otrząsnąć. Jej twarz wyrażała niewymowny żal. Dziewczyna miała pretensję do samej siebie. Zdawała sobie boleśnie sprawę, że matka zapłaciła najwyższą cenę za jej decyzję o wykorzystaniu dysku do uleczenia dziewczynki.

W pewnym momencie Sznajder skręcił w polną drogę prowadzącą w las. Nikt nie protestował. Nie trzeba im było

tłumaczyć, że ochroniarz wie, co robi. Samochód wjechał między drzewa i Andrzej zgasił silnik.

- Namierzyli nas - powiedział, nie odwracając się do pasażerów. - Teraz dopiero się zacznie. Przyzwyczajajcie się.

Nic nie powiedzieli. Sznajder zobaczył, że Joannie płyną łzy po policzkach. Brat Serafin wziął ją za rękę.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział do siostry szeptem. - Zobaczysz.

- Co będzie teraz z Kasią? - spytała samą siebie.

Krótką chwilę trwało, zanim mężczyźni zorientowali się, o co jej chodzi.

- Wolałabyś być na miejscu jej matki? - spytał Magnat surowo.

- Wolałabym - odpowiedziała cicho.

Sznajder pokręcił głową z dezaprobatą.

- Niezbadane są wyroki boskie - stwierdził sarkastycznie.

- Nie wolno kpić z ludzkiego nieszczęścia - zganiła go ostro.

Nie odpowiedział. Zmieszał się i zamilkł. Przez chwilę panowała cisza, podczas której czuł na sobie jej karcące spojrzenie. Kilkakrotnie zerknął w lusterko i niezmiennie dostrzegał wydęte usta jak u nauczycielki, która właśnie usłyszała z ust swojego ucznia jakąś piramidalną głupotę. Nie wytrzymał. O dziwo, udało jej się obudzić w nim poczucie winy, uczucie, które od wielu lat wydawało mu się zupełnie obce.

- No dobra, przepraszam - wyrzucił z siebie, choć ton trudno było uznać za przeproszący. - Nie powinienem tak mówić. Zadowolona?

Usta Joanny wróciły do swojego pierwotnego kształtu. Rysy twarzy złagodniały. Namiastka przeprosin została przyjęta.

- To nie Bóg ją zabił - powiedziała - tylko ludzie. A właściwie to zło ją zabiło. Takie samo jak... - Chwyła dłońmi dysk i ścisnęła mocno, jakby chciała go zmiażdżyć.

Ostre krawędzie zaczęły się wrzynać w palce. Na skórze pojawiła się kropelka krwi.

- Asiu! - Brat Serafin złapał ją za nadgarstek. - Asia, przestań!

Kobieta rozluźniła uchwyt. Ciężko oparła głowę na siedzeniu. Zakonnik wyciągnął chusteczkę i zaczął opatrywać powierzchowną ranę.

- Długa droga przed nami - odezwał się Magnat. - Trzeba spać. Poczekamy tu do rana. Postarajcie się złapać parę godzin snu. Potem może już wam nie być dany.

Sam odsunął fotel od kierownicy i wygodnie się ułożył. Dawne życie nauczyło go uspokajać nerwy na tyle, by zasypiać w każdych, nawet mało sprzyjających okolicznościach.

Joanna obudziła się przed świtem. Obok niej miarowo pochrapywał brat Serafin. Fotel kierowcy był pusty. Kilka metrów od samochodu, w mroku, dostrzegła ciemną postać. Oczy szybko przyzwyczyły się do ciemności. Sznajder stał odwrócony bokiem, w dłoni trzymał zapalonego papierosa. Co jakiś czas podnosił go do ust. Wtedy fragment twarzy rozświetlał mu czerwony żar.

Kobieta wysiadła i podeszła do niego, starając się stąpać jak najciszej, właściwie nie wiedząc dlaczego, ale leśna atmosfera zdawała się nakazywać takie zachowanie.

- Mówią, że w lesie nie wolno palić - zagadnęła pogodnym tonem.

- Tak mówią? - Sznajder nie spojrzał w jej stronę.

- Można pożar wywołać.

Mężczyzna zaciągnął się po raz kolejny. Wreszcie na nią popatrzył.

- Spać nie możesz?

- Widzę, że nie ja jedna.

Podniósł wzrok. Gwiazdy blakły powolutku.

- Gdzieś tam jest ten wasz Bóg? - spytał ni z tego, ni z owego.

Joanna podążyła za jego spojrzeniem.

- Tam też.
- W trzech osobach. - Zamyślił się. - Nie martwi cię ten triumwirat?
- Powinien?
- Jak pewnego dnia przyjdzie tym trzem osobom wziąć się na przykład za łby...
- Bóg jest jeden w trzech osobach. Bóg to jedność. To, co mówisz, nie jest zbyt mądre.
- Jeden, a jednocześnie trzech. Fajnie. Jak to mówią nasi bracia na Wschodzie, bez wódki nie *rozberiosz*.
- Wbrew pozorom to całkiem proste.
- Chyba dla ciebie. Bezkrytyczna wiara, co?
- Parę wieków temu mądrzy ludzie łamali sobie nad tym głowy. I wiesz co? Pewien młodzik, uważany za mało rozgarniętego, powiedział im: Jeżeli weźmiecie koc i złożycie go na trzy części, to cały czas będzie ten sam koc. Genialne w swojej prostocie, nieprawdaż?
- Nieźle. A co z Chrystusem? Mówi się, że nie był Bogiem, tylko prorokiem.
- Jezus twierdził, że jest synem Boga. Za to umarł.
- Może kłamał.
- Czy ktoś zgodziłby się umrzeć na krzyżu za kłamstwo?
- A może miał nie po kolei w głowie?
- Pamiętasz, co powiedział, kiedy chcieli go sprowokować i spytali, czy mają płacić podatki Rzymianom? Teoretycznie każda odpowiedź zła. Płacić oznaczałoby, że jest zdrajcą narodu. Nie płacić, że buntuje się przeciw władzy rzymskiej. Na monetach był wizerunek cesarza. Jezus powiedział: „Oddajcie cesarzowi, co cesarskie, a Bogu, co boskie”. Żelazna logika. Myślisz, że człowiek niespełna rozumu udzieliłby tak błyskotliwej odpowiedzi?
- Sznajder zaciągnął się papierosem. Wypuścił kilka kółek.
- Mówisz, że Jezus był synem Boga...
- Jest - powiedziała Joanna stanowczo i bez wahania.
- To właściwie mógł przecież popisowo skopać tyłki swoim oprawcom. O ile pamiętam z historii, to Żydzi

takiego właśnie mesjasza oczekiwali. Kogoś, kto ich poprowadzi i pomoże pokonać wrogów. Jezus dał się upokorzyć, potem zamordować. Po co?

- Za nasze grzechy.

- Głupie gadanie. Człowiek zawsze będzie grzeszył. Taka nasza natura. Jezus musiałby dawać się krzyżować regularnie. Naciągane to wszystko.

- Jezus rzeczywiście mógł rozbić Rzymian w puch - przyznała po chwili.

- No właśnie. Więc?

- Ale tego właśnie oczekiwał szatan. Stając na czele żydowskiego powstania, Jezus wywołałby wojnę. A wojna nigdy nie jest dobra. Pomnożyłby tylko zło, którego i tak już wtedy było nadto. Potrzebne było dobro. Dobro, które to zło zwycięży. Pomyśl, czy przypadkiem swoją śmiercią na krzyżu nie wytworzył na świecie znacznie więcej dobra, niż gdyby wywołał jeszcze jedno żydowskie powstanie. Mielibyśmy wtedy kolejną datę w historii, pewnie korzystną dla narodu izraelskiego. Ale może nie mielibyśmy świętych, może nie mielibyśmy mnóstwa dobrych ludzi i może nie mielibyśmy po prostu Kościoła.

- Inkwizycji też byśmy nie mieli.

- Zgadza się. Zło zdołało sprowokować ten potworny epizod z przeszłości. Ale jak popatrzysz na bilans, to z naszej wiary wypłynęło znacznie więcej dobra niż zła.

- Może. Ale księża katolicki święci nie są. Dużo się słyszy...

- Nie znasz wszystkich księży. Wiem więcej na ten temat. Większość z nich to wspaniali, niezwykli ludzie, prawdziwie święci, choć nikt tego nie rozgłasza. Wielu z nich pełni posługę w małych, ubogich, popegeerowskich parafiach, w których naprawdę jest ciężko. Nie znasz misjonarzy pracujących w najodleglejszych zakątkach świata, gdzie przeciętny człowiek nie odważyłby się zapuścić. Tam, gdzie ludzie nie mają co jeść, umierają bez pomocy medycznej, a o Bogu opowiadają swoim życiem, dobrym przykładem,

ciężką pracą ramię w ramię z mieszkańcami. Budują studnie, szkoły, szpitale, pokazują, jak uprawiać ziemię, uczą czytać i pisać, niejednokrotnie dzielą się tym, czego sami mają niewiele. Zapewniam cię, że śmierć Chrystusa na krzyżu przyniosła znacznie więcej dobrego, niż gdyby wtedy poszedł na wojnę i pewnie ją wygrał.

- Ciekawe rzeczy mówisz, siostrzyczko.

- Prawdziwe.

Zatrzymał wzrok na dysku.

- A tu takie gówienko - stwierdził w zadumie. - I ktoś gotów jest za to zabić. Nieźle.

Podążyła za jego spojrzeniem. Nie zauważyła, kiedy wyciągnął rękę w stronę transportowanego przez nią przedmiotu. Gdy się zorientowała, było już za późno na reakcję. Sznajder trzymał dysk między palcem wskazującym a kciukiem. Wydarzenia potoczyły się z prędkością światła.

Ku rozpaczy kobiety ochroniarz wyrwał pistolet z pasa, jednym ruchem odbezpieczył i przyłożył jej do głowy. Nie pociągnął jednak za spust od razu. Pocisk w głowie z takiej odległości sprawia, że umiera się natychmiast i bezboleśnie. Zawahał się przez ułamek sekundy. Tyle wystarczyło.

Joanna wyrwała dysk z na szczęście lekkiego uchwytu palców Sznajdera. Z lufą pistoletu przy głowie patrzyła na niego z przerażeniem. Mogła jedynie czekać na dalszy rozwój wypadków. Żadne inne działanie nie wchodziło w rachubę. Mogła się jedynie modlić, na co zresztą wiele czasu jej nie zostało.

Usłyszała klik pistoletu. Broń została ponownie zabezpieczona. Sznajder opuścił glocka na wysokość bioder. Był zmieniony na twarzy.

- Co to, kurwa, jest? - wydobył z siebie w końcu głos. Brzmiał, jakby dobiegał z zaświatów.

Joanna odetchnęła. Zagrożenie najwyraźniej minęło. Zło nie zmogło tego człowieka.

- PrzedSIONEK piekła - odpowiedziała i spuściła wzrok.

Andrzej ponownie umieścił pistolet z tyłu za pasem. Niebo zaczynało się rozjaśniać. Wstawał świt. Zanosiło się na jeszcze jeden piękny wrześniowy dzień.

- Szlag by to...

Zobaczył, że kobieta drży na całym ciele. Poranny wczesnojesienny chłód wbijał się cienkimi igiełkami w jej delikatną skórę. Ściągnął kurtkę i bez słowa opatulił nią Joannę. Popatrzyła na niego jakoś inaczej. Zagadkowo. Ciepło.

- Dziękuję.

- Zaraz trzeba będzie jechać.

Poprowadził ją do samochodu i otworzył drzwi. Zakonnik wciąż pogrążony był w głębokim, niczym niezmaconym śnie.

Rozdział 6

Komisarz Janusz Dolny z rzeszowskiej komendy stał z rękami w kieszeniach i w zamyśleniu przyglądał się rutynowym czynnościom policjantów z wydziału zabójstw. Starannie przeszukiwali otoczenie. Zaglądali pod każdy krzaczek, przyglądali się korze drzew, szukając jakichkolwiek śladów, czegokolwiek, co mogłoby rzucić światło na tajemniczą śmierć dwóch mężczyzn. Na ciele denatów wstępnie nie stwierdzono żadnych ran, niczego, co mogłoby doprowadzić do ich śmierci. Jeszcze większą zagadkę stanowił nóż myśliwski leżący obok jednego z ciał. Zdjęto już z niego odciski palców i wkrótce zostanie zabrany do analizy.

Zwłoki były zapakowane w plastikowe worki, gotowe do transportu.

- Coś wiecie? - komisarz Dolny spytał młodego aspiranta. Wyciągnął do niego paczkę papierosów.

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy. Nie poczęstował się. Dolny wsadził papierosa do ust i zapalił.

- Zupełnie nic. Jak na razie - w głosie aspiranta Grzegorza Grzonki pobrzmiwała nuta nadziei. - Właściwie to można by powiedzieć, że jakieś ślady walki są, ziemia zaryta butami w paru miejscach. Ale równie dobrze... - Rozłożył bezradnie ręce. - Normalnie nie mam pojęcia, co o tym myśleć.

- Kto ich znalazł?

Policjant odwrócił się i wskazał wzrokiem chłopca siedzącego na pniu drzewa. Szczupły blondynek patrzył półprzytomnie przed siebie. Nachylała się nad nim policyjna psycholog z ich komendy, podkomisarz Kamila Matej, i coś mu tłumaczyła. Chłopiec był wystraszony. Trudno było powiedzieć, czy ją w ogóle słyszy.

Dolny stanął nad dzieckiem. Pani psycholog wyprostowała się i stwierdziła:

- Raczej nic nie powie. Jest w szoku.

Komisarz sam postanowił sprawdzić słowa kobiety.

- Jak tam, młody, lejesz się z chłopakami w szkole?

Chłopak podniósł na niego oczy zaskoczony dziwnym pytaniem, całkowicie niepasującym do okoliczności, w jakich się znajdowali.

- Proszę? - odezwał się cicho.

- Panie komisarzu... - próbowała się wtrącić psycholożka. Policjant uciszył ją gestem ręki.

- No jak, lejesz kumpli? - Dolny przykucnął. Ich wzrok znalazł się na jednym poziomie.

- Czasami - odparł dzieciak, przyglądając mu się nieufnie.

- No widzisz. Czyli gość jesteś. - Komisarz klepnął go lekko po ramieniu. - Nie jakaś mamałyga. A jak masz na imię, chłopie?

- Kuba.

- A dalej?

- Kuba Pietras.

- Stąd jesteś, Kuba?

- Z Krakowa.

- Z Krakowa, mówisz, smoka tam macie, nie? - ciągnął policjant entuzjastycznie.

Kuba wykrzywił się w pobłażliwym uśmiechu.

- Nie mamy. Legenda.

- Nie znam się, widzisz. A lat masz ile?

- Dwanaście.

- Eee, to ty stary chłop już jesteś. Koniec września, a do szkoły nie chodzisz?

- Mama z tatą musieli wyjechać na tydzień. Zwolnili mnie. Jestem u babci. W szkole i tak teraz się jeszcze nic nie dzieje. Dobrze się uczę. Nadrobię.

Chłopak mówił rzeczowo. Komisarzowi udało się choć na chwilę wyrwać go z odrętwienia.

- Wyglądasz na cwane go faceta. Coś zauważyłeś podejrzanego, jak ich znalazłeś?

- Nic. - Wzruszył ramionami. - Tylko leżeli tak jakoś dziwnie...

- Dziwnie?

- No, jak na filmach, tam, jak kogoś zabiją, to tak dziwnie upada i leży.

- Rozumiem. Od razu wiedziałem, że jesteś spryciarz. A powiedz mi jeszcze, co tu robiłeś?

- Na grzyby poszedłem, znaczy poszedłem. - Fakt, że chłopiec szybko poprawił się z dość powszechnego błędu, nie uszedł uwadze komisarza. - Babcia powiedziała, że bym nazbierał, tylko na gadziny uważał, bo jak gadzina ukąsi, to od razu do szpitala trzeba jechać.

- Znasz się na grzybach?

- Babcia mówiła, że bym zbierał takie bez blaszek. Babcia się zna, to w razie czego trujaki by wyrzuciła.

- Pogadasz jeszcze później ze mną?

- Czemu nie? Mogę pogadać.

Chłopcu wyraźnie spodobał się ten policjant w cywilu. Był jakiś inny. Jakby normalny, pomyślał z satysfakcją.

- Jest cały pani. - Dolny uśmiechnął się do psycholog. - Tylko niech mu pani za bardzo w głowie nie namiesza.

Kuba Pietras odprowadził komisarza wzrokiem.

Prace dochodzeniowe dobiegały końca. Ludzie powoli zaczęli się zbierać z lasu. Dwóch policjantów rozwijało taśmę oddzielając teren. Wtedy kilka metrów za sobą usłyszeli głos.

- Kubuś, tu jesteś? - Starsza kobiecina podbiegła do chłopaka. - Gdzie ty chodził? My z dziadkiem tyła cię szukali. - Przytuliła go z całej siły. - My myśleli, że się co z tobo stało. Takeś nas wystraszył.

Staruszka zdawała się zupełnie nie zauważać stojącej obok policyjnej psycholog, a tym bardziej krzątającej się wokół ekipy dochodzeniowej.

- Pani jest krewną Kubę? - policyjna psycholog zwróciła na siebie jej uwagę.

Babcia nie wypuszczała wnuczka z objęć, jakby się bała, że za chwilę gotów gdzieś znowu zniknąć.

- To mój wnusio, Kubuś - odpowiedziała i popatrzyła na trzech mundurowych policjantów towarzyszących ekipie. - Boziu moja, a milicja co tu robi?

Psycholożka nie poprawiła babci. Zamiast tego kontynuowała:

- Jestem podkomisarz Kamila Matej, policyjny psycholog - przedstawiła się służbowo. - Kuba jest pod moją opieką.

- To i pani z milicji jest? - zatrwożyła się kobiecina. - A co milicja od Kubusia mojego chce? Toż on taka grzecznota.

- Pani wnuczek znalazł dwóch martwych mężczyzn w lesie. Prowadzimy rutynowe czynności.

- Jezusie Nazareński! - Babcia zakryła dłonią usta. - Całkiem nieżywych?

- Tak - potwierdziła psycholog. - Obawiam się, że będziemy musieli zadać chłopcu jeszcze kilka pytań. Jak dojdzie do siebie, oczywiście.

- Chceta go zabrać? - Staruszka wystraszyła się nie na żarty. - Nie dam. Toż to tylko dziecko. On nic nie winien.

- Proszę się nie denerwować. Nie zamierzamy go o nic oskarżać. Kuba tylko może pomóc w ewentualnym śledztwie. To wszystko. Śledztwa zresztą może wcale nie być - dodała uspokajająco.

- To znaczy, że do domu mogę iść?

Pani psycholog nie zdążyła odpowiedzieć. Stał przy nich komisarz Dolny.

- Komisarz Janusz Dolny, Komenda Miejska w Rzeszowie - przedstawił się mniej służbowym tonem. - Ten dzielny młody człowiek to pani wnuczek?

- Ta pani mówiła, że z Kubą do domu mogę iść.

- Jak najbardziej - powiedział przyjaźnie Dolny. - Proszę tylko zostawić jakiś kontakt do siebie, nazwisko i adres, jakbyśmy chcieli o co spytać.

- Ja Irmina Juda się nazywam. Mnie tu wszyscy znają. Pod lasem tam mieszkam. Mój stary to Józef Juda. Jak trzeba, to ludzi pokazał, gdzie mieszkamy.

- Świetnie. - Komisarz podszedł do chłopca i zmierzwił mu fryzurę. Dało się zauważyć, że dzieciakowi policjant podobał się coraz bardziej, imponował mu. - Trzymasz się, chłopie?

- Tak jest, panie komisarzu - wypalił Kuba bez wahania i wstał.

- W porządku jesteś, wiesz?

Chłopak poczerwieniał z zadowolenia.

- A może by pan tak do naszej szkoły przyjechał? - zaproponował nieśmiało.

Dolny roześmiał się.

- Pewnie, że bym przyjechał, tylko na razie to bandytów muszę łapać. Ale obiecuję, że jak tylko będzie trochę czasu, to wpadnę. Umówimy się przez babcię. Pasuje?

- Pasuje, panie komisarzu - rozpromienił się chłopak.

- Jeszcze tak przy okazji - policjant zwrócił się do Irminy Judy. - Nie widziała pani może kogoś obcego, kto by się tu kręcił?

- Turysty to już pojechały. W lecie były. Ale przedwczoraj tam widziała takiego jednego, co tu chodził niedaleko. Nietutejszy, chociaż ubrany jak nasze chłopcy. Jak mu „Szczęść Boże” powiedziała, to tak jakby nie wiedział, co powiedzieć. Nietutejszy.

- Poznałaby go pani?

- Gdzieżbych nie poznała. Poznałaby, poznała.

- Mamy tu takiego pana, co portrety pamięciowe rysuje na komputerze. Niech mu pani opowie, jak wyglądał, on narysuje i pani powie nam, czy to ten. Możemy się tak umówić?

- Co by nie można. Niech rysuje.

Janusz Dolny zaprowadził babcię z wnuczkiem do mężczyzny stojącego nieopodal i wrócił do Kamili.

- Myśli pan, że to coś da? - spytała sceptycznie.

- Rysowanie portretu?

- Uhm.

Mężczyzna wydał usta. Nie obiecywał sobie zbyt wiele. Małe szanse, że staruszka będzie w stanie podać wiarygodny opis człowieka, ale trzeba było spróbować.

- Młody nic więcej nie powiedział? - Wyciągnął paczkę papierosów. Zapalił jednego. Zauważył, że kobieta patrzy na niego z dezaprobatą. - Przecież pani nie pali... - zreflektował się, że powinien był ją poczęstować.

- Nie palę. I pan też mógłby przestać. Zresztą w towarzystwie kobiety nie wypada, tak nawiasem mówiąc. I jeszcze w lesie jesteśmy.

Komisarz zawahał się chwilę. Jednak nałóg zwyciężył i mężczyzna z lubością zaciągnął się dymem.

- Pozwoli pani psycholog, że dokończę. Szkoda wyrzucać.

Kamila Matej skrzywiła się wymownie.

- Pewnie, że szkoda - stwierdziła ironicznie.

Do komisarza podszedł policjant mundurowy. Coś mu półgłosem powiedział. Kobieta nie usłyszała. Nie znosiła tego typu zachowań. Wciąż traktowali ją jak obcą, a nie jak pełnoprawnego policjanta. Po części pewnie dlatego, że nie była facetem. Mężczyźni byłoby zdecydowanie łatwiej. Cholerna dyskryminacja.

Policjanci tymczasem odeszli w kierunku pobliskich krzaków. Stał tam jeszcze jeden człowiek, w cywilu. Pani psycholog widziała, jak pokazywał komisarzowi przedmiot przypominający lunetę. Miała dosyć protekcjonalnego traktowania. Postanowiła podejść i sprawdzić. Czuła się dziwnie, stojąc sama obok zajętych wykonywaniem czynności śledczych policjantów.

Kiedy zbliżyła się do nich, komisarz zakładał gumowe rękawiczki. Wziął lunetę, przyłożył do oka i popatrzył w dolinę.

- Macie coś ciekawego? - spytała.

Mężczyźni odwrócili głowy. Zaskoczyła ich swoim zainteresowaniem. Przecież to nie była jej działka.

- Lunetę mamy - odezwał się Dolny. Odsunął okular od oka. - Super widać. Chce pani popatrzeć?

- Może pan sobie darować wygłupy - warknęła. - Dobrze pan wie, o co mi chodzi.

- To sprawa policji, pani Kamilo.

- Ja też jestem z policji.

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Diabli nadali ambitną psycholożkę.

- Pani Kamilo... - Janusz Dolny westchnął. Nie chciał jej niepotrzebnie robić przykrości, ale... - To robota...

- ...do której się nie nadaję - dokończyła za niego. - To chciał pan powiedzieć?

- Chciałem powiedzieć, że każdy ma swoją działkę i każdy powinien robić swoje.

- Mam złożyć oficjalną prośbę o przydzielenie mnie do sprawy?

Komisarz wiedział, że Kamila Matej ma jakiegoś krewnego na górze i bez problemu mogłaby zrealizować swoją groźbę. Uznał, że czas ustąpić. Może się znudzi i odczepi.

- To profesjonalna luneta. Musieli prowadzić jakieś obserwacje. Nie wiemy, czy naukowe, czy inne. Mogli też podglądać zakonnice w klasztorze.

- Niewybredny żart - skwitowała.

- Mówię tylko, że klasztor jest w zasięgu wzroku. - Policjant oddał koledze lunetę. - Zabezpieczcie odciski palców i resztę śladów.

Podszedł do nich człowiek z wydrukiem w ręku. Wręczył Dolnemu rysopis.

- Babka opisała gościa, że sam bym lepiej nie potrafił - zauważył grafik.

Rysunek przechodził z rąk do rąk.

- Trzeba do bazy danych wrzucić. - Komisarz włożył ręce do kieszeni. - Może facio był notowany. Przy odrobinie szczęścia... - Jeszcze raz rozejrzał się wokół. - Dobra,

zwijamy się, panowie. - Spojrzał na panią psycholog. - ...I panie - dodał.



Andrzej Sznajder włączył radio. Wnętrze samochodu wypełniła miła dla ucha mieszanka współczesnych przebojów. Mimo że przekroczyli granicę, polska stacja wciąż nadawała czysto. Po kilkunastu kilometrach sygnał jednak osłabł, aż wreszcie zanikł zupełnie. Odbiornik automatycznie wyszukał stację niemiecką.

Unikali autostrad. Poruszali się podrzędnymi drogami, mijali schludne niemieckie wsie i malownicze miasteczka. Ochroniarz uznał, nie bez słuszności, że w ten sposób trudno ich będzie ponownie namierzyć.

- Trzeba by blachy zmienić - powiedział głośno, tak by słyszeli pasażerowie. - Panie ksiądz, masz jakiś pomysł?

Joanna nie zrozumiała, o co chodzi, natomiast jej brat pojął to od razu.

- Jakie blachy? - spytała zdezorientowana.

- Tablice rejestracyjne - wyjaśnił zakonnik. - Samochód na polskich numerach bardziej się rzuca w oczy. Dobrze mówię, panie ochroniarz?

- Jak na spowiedzi. - Sznajder wyszczerzył się w uśmiechu.

- Mówi się „szczerze jak na spowiedzi” - bąknął brat Serafin.

- Co ty powiesz? - Andrzej nie zraziła kąśliwa uwaga. - To jak, niczego cię w tej mafii nie nauczyli? - ironizował.

- Zdziwiłbyś się.

- Tak?

- Kiedy będziemy w jakimś miasteczku, to mnie wysadź.

- Załatwisz blachy?

- Najlepiej koło jakiegoś supermarketu. - Brat Serafin nie uznał za konieczne, by cokolwiek wyjaśniać. - Poczekaj na parkingu. Dam ci znać.

- Na parkingu chcesz blachy odkręcać? Odbiło ci?

- Sam będziesz odkręcał. Ja ci tylko dostarczę samochód.

Sznajder wbił wzrok w spokojną twarz zakonnika odbijającą się we wstecznym lusterku. Przyglądał mu się dłuższą chwilę.

- Robiłeś to już kiedyś?

- W mafii różnych rzeczy uczą. Mówiłem, zdziwiłbyś się.

- Wiesz, że jak coś spieprzysz, to cię zostawię?

- Niczego innego po tobie bym się nie spodziewał.

- I słusznie.

Supermarkety zwykle są usytuowane na obrzeżach miast. Tak też było i tym razem. Zatrzymali się na parkingu, w połowie wypełnionym autami klientów. Janek wysiadł i jakby nigdy nic skierował się do sklepu.

- Patrz, braciszek na zakupy poszedł - powiedział Sznajder zaskoczony. - Co on kombinuje?

- Myślę, że powinieneś mu zaufać - stwierdziła Joanna autorytatywnie.

- Tak? Szkoda, że nic nie mówił. Fajki mi się kończą.

Serafina nie było jakiś kwadrans. Pojawił się w końcu z foliową reklamówką w ręku. Bez wahania skierował się do białego opla stojącego kilkadziesiąt metrów od wejścia do marketu. Stał przy drzwiach kierowcy, pogrzebał w zamku i po sekundzie wszedł do środka. Najwidoczniej bez najmniejszego trudu udało mu się też odpalić samochód, bo już po chwili wyjeżdżał z parkingu.

Sznajder przepuścił go przodem i sam ruszył jego śladem. Za miastem zakonnik skręcił w leśną drogę. Jeep podążył za osobowym oplem. W lesie samochody stanęły obok siebie. Mężczyźni wysiedli. Serafin bez słowa wręczył ochroniarzowi świeżo zakupiony śrubokręt.

- Powinien pasować - powiedział i rzucił okiem na śruby mocujące tablicę.

- No, szacun, braciszku - powiedział Andrzej z uznaniem i wziął od niego narzędzie. - Niezły jesteś.

- Byłem. Pewnie nie uwierzysz, ale wstyd mi jak cholera.

Sznajder roześmiał się głośno.

- Pewnie nie uwierzę.

Zabrał się do odkręcania tablic. Kiedy odczepił pierwszą, Janek wziął ją do ręki. Wyciągnął z reklamówki farby i cienki pędzel. Bardzo starannie zrobił z litery R literę P, a następnie trójkę przemalował na zgrabną ósemkę. Tak samo potraktował drugą tablicę. Nie czekali długo, aż farba wyschnie. Jeep cherokee zmienił narodowość jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.



W rzeszowskiej komendzie aspirant Grzegorz Grzonka nie miał dla komisarza dobrych wiadomości.

- W bazie danych nikt nie pasuje - powiedział z miną, jakby czuł się winny z tego powodu. - Poszerzyłem zakres i wyskoczył jeden, ale siedzi za gwałty. W Rawiczu. Sprawdziłem, nie był na żadnej przepustce.

- Patolog coś znalazł? - Komisarz usiadł przy swoim biurku i zaczął od niechcienia porządkować papiery. Nie oczekiwał żadnych rewelacyjnych wieści. Aspirant milczał.

- Może go chociaż coś zastanowiło?

- Zawał serca, jak w mordę strzelił. Jeszcze denatów kroi, ale nie liczyłbym na wiele.

- Czyli wygląda na to, że sprawa umiera śmiercią naturalną.

- Tak wygląda.

- Dwóch kolesi w strojach jak na polowanie odwała kiteę na zawał. Jednocześnie, w tym samym miejscu, nie wiadomo właściwie, z jakiego powodu. Nie wiadomo też, co tam robili, po co im był sprzęt... Nic nie wiadomo. Znając życie, nie byli też notowani.

- Nienotowani - potwierdził Grzonka.

- Rozumiem, że sprawdziłeś dokładnie...

- Kilka razy. Wrzuciliśmy zdjęcia i nic nie wyszło.

- Czyli dupa blada.

- Można by tak powiedzieć.

Na biurku komisarza rozdzwonił się przestarzały model telefonu. Dolny niechętnie podniósł słuchawkę. Zdecydowanie nie miał ochoty na rozmowę z kimkolwiek. Aspirant Grzonka zobaczył jednak, jak kwaśna mina komisarza znika, ustępując miejsca wyrazowi głębokiego zainteresowania. Oficer słuchał uważnie rozmówcy.

- Dobra. Zaraz będę - powiedział w końcu i odłożył słuchawkę. - Zbieraj się, aspirant. Konował coś znalazł na truposzach i ma ciekawą teorię. Trzeba się do kostnicy kopsnąć.

W pośpiechu opuścili biuro i pognali na policyjny parking. Dolny nie oglądał się na aspiranta. Nie musiał. Młody człowiek kroczył zaraz za nim.

W pomieszczeniu, gdzie patolog dokonywał autopsji, panował zaduch, żeby nie powiedzieć smród. Gdyby nie pracująca na pełnych obrotach wentylacja, normalny człowiek nie wytrzymałby tam dłużej niż kilka minut. Dolny i aspirant Grzonka podeszli do ciał w maseczkach na twarzach. Niewiele im one pomagały. Nieprzyjemny zapach boleśnie wdzierał się w nozdrza. Patolog, starszy, łysiejący jegomość przy kości, nie zaprzętał sobie głowy takim drobiazgiem jak zakładanie czegośkolwiek na twarz. Lata pracy sprawiły, że uodpornił się na fetor wydobywający się ze zwłok. Odwrócił na bok głowę jednej z ofiar.

- Widzicie panowie tę ranę za uchem? - Odgiął małżowinę uszną denata.

- To zadrapanie? - upewnił się komisarz.

- Dokładnie. Drugi mężczyzna ma taką samą. Myślę, że wiem, co mogło spowodować zawał serca. Te, jak pan mówi, zadrapania, są na żyłę. Wstrzyknięcie pęcherzyka powietrza do żyły powoduje właśnie zawał serca.

- Tylko jak to się miało niby stać? Przecież nie daliby sobie zastrzyku zrobić ot tak.

- Zostali najpierw pozbawieni przytomności.

- Bez śladów na ciele? Jak?

- Jest wiele sposobów. Na przykład odpowiednie uderzenie w szyję.

- Może pan to jakoś udowodnić? Wie pan, twarde fakty dla prokuratora...

Lekarz rozłożył bezradnie ręce.

- Właściwie bez większych szans. Tak prawdopodobnie było, ale to wciąż tylko teoria.

- Jasna cholera - zmartwił się Dolny. - Już myślałem, że coś mamy. Niech pan działa, doktorze. Jakby co, to wie pan, jak mnie znaleźć.

Na zewnątrz pomieszczenia policjanci z wyraźną ulgą zdjęli maseczki z twarzy i odetchnęli świeżym powietrzem.



Sznajder rzucił okiem na wskaźnik paliwa. Po ostatnim wieczornym tankowaniu przed Żarami zostało jeszcze trochę mniej niż pół baku. Jechali bocznymi drogami, unikając autostrad. Trudniej ich było w związku z tym namierzyć, ale pojawiał się problem stacji benzynowej. Nawigacja nie pokazywała w najbliższej okolicy żadnej stacji paliw.

Normalnie ilość benzyny, jaka pozostała w samochodzie, nie byłaby powodem do zmartwień. Ale Andrzej przypomniał sobie słowa Osy, że o ile szyby są pancerne, o tyle karoseria nie za bardzo. A to mógł być problem.

- Ty, Jasiu! - Sznajder zwrócił się do zakonnika po imieniu. Brat Serafin zyskał w jego oczach po udanej operacji zmiany tablic rejestracyjnych. - A policja to się tobą przypadkiem nie interesowała? W końcu byłeś w organizacji. Jak żeś się uchwował?

- Policja też myśli, że zginąłem.

- Bez jaj, nawet jak podstawiony trup jest nie do rozpoznania, to przecież robi się badania genetyczne i takie tam sprawy.

- Zrobili.

- I co?

- Badania genetyczne potwierdziły, że to ja byłem w samochodzie.

- W jaki sposób?

- Właściwi ludzie dostarczyli właściwy materiał genetyczny we właściwe miejsce innym właściwym ludziom.

- Znaczący czarni aż takie numery potrafią robić? - Sznajder uniósł brwi zaskoczony.

- Rozumiem, że masz na myśli Kościół katolicki?

- Wiadomo.

- Pozwól, że pozostawię to bez komentarza. - Brat Serafin siedział z dłońmi splecionymi na brzuchu. - Nie wiem, kto, co i jak. A w ogóle taka wiedza nie jest mi to do niczego potrzebna. Nie chcę wiedzieć. Ty też nie musisz - dodał bezczelnie.

Sznajderowi coraz bardziej podobał się ten momentami zuchwały i arogancki księżulek. Miał wrażenie, że trafił swój na swego. Tylko do Joanny zakonnik zwracał się z pewnym szacunkiem i troską. Ani razu nie przejawiał w stosunku do niej nawet śladu zniecierpliwienia.

- Któregoś pięknego dnia jakiś dociekliwy pies może zwąchać, żeście tam nakombinowali. I co wtedy? Nawet Kościół cię nie ochroni.

- Wola Boża.

- Nie boisz się odsiadki? Pójdiesz do pierdła na lata.

- Zawierzyłem całkowicie Bogu. Jeżeli taka będzie Jego wola, poniosę swój krzyż z pokorą.

- Kurde, wy, katole, to nieźle popieprzeni jesteście. - Andrzej popatrzył na zakonnika z politowaniem. - Ty, Joanna, to pewnie dumna z brata jesteś?

- Nawet nie wiesz, jak bardzo - odpowiedziała i wzięła zakonnika za rękę. - Nawet nie wiesz.

- Tak? Przecież to bandzior jest. Zwyczajny przestępca.

- Jezus przebaczył złoźyńcy na krzyżu, który żałował za grzechy. Janek nie jest już przestępcą. Jeżeli przyjdzie mu

kiedyś zapłacić za swoją przeszłość, to ci powiedział, co zrobi.

- Pięknie. A jaką macie gwarancję, że jak przyjdzie co do czego, to się wasz Jezus na was po prostu nie wypnie?

- Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli - odpowiedziała Joanna. - Pewnie słyszałeś te słowa?

- Masz na myśli niewiernego Tomasza? Tak, słyszałem.

- To znalazłeś odpowiedź na swoje pytanie.

Dłuższy czas jechali w milczeniu. Nawigacja w końcu pokazała stację benzynową, która była w ich zasięgu.

- Stacja jest niedaleko - poinformował pasażerów ochroniarz. - Zatankujemy i rozprostujemy kości. Może też będzie tam coś do jedzenia.

Brat Serafin wychylił się w stronę przedniego siedzenia.

- Jeszcze prawie pół baku mamy - zauważył.

- No i słabo cię w tej twojej mafii przeszkolili.

- Daruj sobie - zachnął się zakonnik.

- Inaczej byś wiedział - ciągnął niezrażony reakcją Sznajder - że strzał w pełny bak nie spowoduje wybuchu, ale w prawie pusty, pełen oparów prawdopodobnie tak. Karoserię mamy wzmocnioną, ale nie kuloodporną.

Zakonnik przyjął jego wyjaśnienia ze zrozumieniem. Joanna za to wykazywała dziwny niepokój. Andrzej nie mógł tego nie zauważyć. Trzymała kurczowo dysk. Patrzyła przed siebie niewidzącymi oczami. Brat trzymał ją za rękę i wpatrywał się w jej tracącą kolory twarz. Nic nie mówił.

- Co jest? - zaniepokoił się Sznajder. - Będziemy mieli towarzystwo?

Powoli, acz nie bez niechęci, zaczynał się przekonywać do niespotykanych zdolności tej niezwyklej kobiety. Był pragmatykiem. Jeżeli jakieś czary-mary, nawet katolickie, miałyby przyczynić się do uratowania jego tyłka, gotów był je wykorzystać bez mrugnięcia okiem i bez zwracania sobie głowy jakkolwiek wiarą.

Pasażerowie nie odpowiadali. Serafin czekał. W milczeniu pełnym napięcia i współczucia wpatrywał się w siostrę.

Wiedział, przez co Joanna przechodzi. Wiedział też, że kiedy będzie mogła, kobieta powie im, co mają wiedzieć.

Czekali na to dłuższą chwilę. Przez cały ten czas Andrzej siedział jak na szpilkach, ale zdążył się już wcześniej nauczyć, że popędzanie Joanny nic nie daje.

- Coś złego się wydarzy - odezwała się w końcu.

Były żołnierz włączył kamerę i zlustrował na monitorze najbliższą okolicę. Przybliżył obraz samochodu jadącego za nimi. Mercedesem kierował podtatusiały mężczyzna o fizjonomii urzędnika z zabitej dechami wsi, któremu towarzyszyła otyła żona i dwójka dorastających dzieci. Ewentualne zagrożenie z ich strony równe było zeru. Samochód przed nimi również nie wzbudzał niepokoju. Za kierownicą siedziała starsza kobieta, co można było dostrzec w jej lusterku wstecznym. Kamera, którą dysponował, faktycznie świetnie się sprawdzała. Dawała ostry obraz nawet na całkiem spore odległości, był pełen uznania. Osa się postarał.

- Mów konkretnie, siostrzyczko. - Jeszcze raz rzucił okiem na obraz z kamery. - Nic nie widzę. Ktoś za nami czy przed nami?

- To nie ludzie. Coś niedobrego się wydarzy. Ktoś będzie cierpiał. Bardzo.

- Ktoś z nas?

- Nie wiem, ale chyba nie.

Sznajder odetchnął z ulgą.

- Zawsze gdzieś ktoś cierpi. Jakbyśmy się przejmowali, to pierdolca by można dostać.

Ochroniarz się uspokoił, ale nie zaniedbywał ostrożności. Kiedy zajechali na stację i zatrzymał się przy dystrybutorze, nie pozwolił im wysiąść dla rozprostowania nóg. Ostro skarcił zakonnik, gdy ten uchylił na moment drzwi.

Odkręcił kurek baku paliwa i włożył pistolet z ropą. Nacisnął, odczekał moment i... nic się nie wydarzyło. Paliwo nie zaczęło płynąć. Nacisnął ponownie i nic. Spojrzał na dystrybutor. Licznik niezmiennie wskazywał zero. Zmagania

z paliwem Sznajdera zostały dostrzeżone przez obsługę stacji. Zaraz pojawił się młody człowiek w czerwonym uniformie. Uśmiechnął się i zaoferował pomoc. Sam popróbowował kilkakrotnie. Bezskutecznie.

Sznajder podjechał do kolejnego dystrybutora. Tym razem tankowanie odbyło się bez przeszkód. Mężczyzna dokładnie lustrował otoczenie. Nic, zupełnie nic nie budziło niepokoju. Jego instynkt, wyostrzony podczas działań w dżungli, nie ostrzegał go przed żadnym niebezpieczeństwem. Wszystko było w porządku. Pomyślał, że może siostrzyczka po prostu histeryzowała.

Odjechał na miejsce parkingowe kilka metrów dalej.

- Idziemy coś zjeść - zakomunikował pasażerom i cała trójka udała się do budynku stacji.

W środku Sznajder zapłacił gotówką za benzynę, a następnie dołączył do Joanny i brata Serafina, zajmujących stolik w części barowej.

- Na co macie ochotę? - spytał.

- To fast food... - Zakonnik zmierzył krytycznie podświetlone menu nad barem. - Zdaje się, że nie mamy wielkiego wyboru.

- Weź te ich niemieckie kiełbaski. - Joanna uśmiechnęła się, trochę na siłę. - I jakąś sałatkę.

- A księżulo?

- Umiesz po niemiecku? - spytał zakonnik podejrzliwie. - Wolałbym dostać to, co zamawiałem.

- Nie doceniasz mnie, braciszku.

Sznajder złożył zamówienie, swobodnie mówiąc po niemiecku. Brat Serafin z uznaniem pokiwał głową. Chwilę potem postawił na stole plastikową tacę z ciepłym posiłkiem.

- Dosyć tych klasztornych kanapek - stwierdził Andrzej autorytatywnie. - Zjemy wreszcie jak ludzie.

- Nie smakowały ci? - spytała Joanna. - Siostry bardzo się starały.

- Pewnie - powiedział i zabrał się do jedzenia, nie czekając na resztę. - Tylko że ubogie jakieś były.

- Chciałeś powiedzieć skromne - poprawiła go.

- Delikatnie mówiąc - odpowiedział z pełnymi ustami.

Niemieckie kiełbaski na gorąco, szczególnie po okresie wymuszonego drogą postu, smakowały wybornie.

Andrzej przeżuwał kolejne kęsy, kiedy nagle zobaczył, że jego towarzysze nic nie tknęli. Poczł na sobie ich wzrok.

- O co chodzi? - Zmarszczył brwi. - Sami to wybraliście.

Oboje spuścili wzrok i zaczęli półgłosem odmawiać modlitwę. Podziękowali Bogu za posiłek i dopiero wtedy zaczęli jeść. Sznajder poczuł się dziwnie nieswojo. Jadł już zdecydowanie wolniej.

W czasie posiłku cały czas obserwował teren na zewnątrz. Patrzył na wchodzących i wychodzących. Przyjeżdżali, tankowali paliwo, nie zwracając najmniejszej uwagi na osoby posilające się w barze. Miejsca przy wolnych stolikach zaczęły zapełniać się kolejnymi głodnymi klientami stacji. Wszystko było w najlepszym porządku.

Sznajder spoglądał na dwóch młodych pracowników obsługi grzebiących przy zepsutym dystrybutorze. Jeden z nich trzymał szlauch zakończony pistoletem, drugi zaglądał do dystrybutora. Nagle z węża silnym strumieniem trysnęło paliwo. Chłopak w jednej chwili był mokry. Rzucił natychmiast metalową końcówkę, która upadając, uderzyła o krawędź betonowego podwyższenia pod dystrybutorami. Pojawiła się iskra. Przeskoczyła na ubranie pracownika stacji. W mgnieniu oka ogniem zajęła się nogawka i zaraz potem cała reszta.

Chłopak wrzasnął na całe gardło i jak żywa pochodnia popędził na oślep przed siebie. Płonęła lewa połowa jego ciała wraz z głową. Chłopak potknął się, przewrócił i tarzał po ziemi, wciąż rozpaczliwie wrzeszcząc. Z budynku wybiegło z kocem przeciwpożarowym trzech innych pracowników. Przykryli rzucającego się nieszczęśnika.

Sznajder wstał od stołu.

- Wynosimy się stąd - zakomenderował. - Natychmiast.

Joanna i jej brat nie oponowali. Rozumieli powagę sytuacji. Lada chwila zjawi się tu policja, zaczną się przesłuchania, niewygodne pytania i zainteresowanie, które może okazać się dla nich tragiczne w skutkach.

Wyszli pośpiesznie, starając się nie zwracać na siebie uwagi. W zamieszaniu, jakie wywołał incydent, nikt nie zauważył odjeżdżającego jeepa. Byli w drodze, kiedy mijały ich pędzące na sygnale auta policyjne i ambulans medyczny. Straż pożarna pewnie była już na miejscu i zabezpieczała teren.

- Często tak masz? - zapytał Sznajder.

- Za często - odpowiedziała zakonnica.

- Od dawna?

- Od jakiegoś czasu, ale odkąd mam to na sobie, to się nasiliło. - Popatrzyła z wyraźną niechęcią na dysk.

- Myślałem, że to jakieś przekleństwo, a dostałaś dar. Przewidywanie przyszłości, ciekawa sprawa.

- Chciałbyś się zamienić? - Wydeła usta z niesmakiem.

- Ja? - Uśmiechnął się. - Za mało święty jestem. Jeszcze bym narozrabiał, skoro to takie mocne jest.

- Ciekawie to ująłeś - wtrącił się zakonnik. - „Za mało święty”.

- Bo u was, w mafii, to pewnie sami święci byli, co? - odgryzł się żołnierz.

Zakonnik nie dał się sprowokować. Następne parę godzin upłynęło im w milczeniu. Andrzej czuł, jak napięcie opadło. Nie musiał już tak uważać, chociaż nie zaniedbywał zaglądania w monitor kamery zewnętrznej. Podrzędna droga wydawała się całkowicie bezpieczna. Ruch niewielki, a w mijanych autach osobowych zwykli ludzie jadący do swych zwykłych spraw.

W pewnym momencie ze zdziwieniem zauważył, że z nawigacją jest coś nie tak. Zaczyna prowadzić drogą skracającą na północ, a powinni jechać na zachód, z czasem

zbaczając w kierunku południowym. Zastanowił się chwilę. Spojrzał w lusterko wsteczne na Joannę i zmarszczył brwi.

- Coś zrobiła z nawigacją? - spytał ostro.

Joanna nie wyglądała na zaskoczoną pytaniem.

- To nie ja - odpowiedziała cicho, jakby zawstydzona.

- Nie? I gdzie prowadzi, też nie wiesz?

- Wiem. - Spuściła wzrok.

- Pięknie - stwierdził poirytowany. - Możesz mnie łaskawie oświecić?

- Za niedługo dojedziemy do kościoła - powiedziała, nie podnosząc wzroku. - To naprawdę bardzo ważne. - Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Czyś ty oszalała?! - wybuchnął. - W każdej chwili ktoś może odstrzelić łeb tobie i mnie przy okazji, a zachciało ci się po kościołach wycierać?

- To naprawdę bardzo ważne - powtórzyła dobitnie. - Tam będziemy bezpieczni.

- Przestań się ciskać - włączył się Serafin. - Asia wie, co mówi. Nie panikuj. Nic nam nie będzie.

Andrzej odetchnął, żeby uspokoić nerwy.

- Wiesz co, braciszku, jak szczęśliwie dojedziemy do Watykanu, to ja cię własnoręcznie zastrzelę. Cholernie mi działasz na nerwy.

- Pozwolisz, że później będę się tym martwił. - Zakonnik uśmiechnął się, słysząc słowa Magnata.

Sam kościół, pod który zajechali, nie różnił się znacząco od tego, który odwiedzili w Polsce. Inne było otoczenie. Również niewielkie miasteczko, lecz schludniejsze ulice, a ludzie jakby trochę lepiej ubrani i bardziej szczęśliwi, wyluzowani.

Sznajder zaparkował w pobliżu.

- Pójdiesz z nami? - spytała Joanna ochroniarza.

- Zdaje się, że nie mam wyjścia - odpowiedział niechętnie. - Już raz do ciebie strzelali. Jakoś mnie to martwi.

Uśmiechnęła się do niego. Była wyraźnie zadowolona, że będzie im towarzyszył.

Weszli bocznymi drzwiami. Nabożeństwo już trwało. Sznajder odnotował zadziwiający fakt: świątynia była niemal pełna wiernych, i to głównie młodych. Z tego, co słyszał, w Niemczech kościoły najczęściej świecą pustkami. Na msze przychodzą ludzie w podeszłym wieku, młodych trudno spotkać. Był zaskoczony, ale jednocześnie zaniepokojony. W takim tłumie może łatwo ukryć się zamachowiec. Przebiegł wzrokiem po twarzach wiernych. Nie mógł powiedzieć, że był tu spokojny.

Joanna domyślała się jego niepokoju. Ścisnęła mu dłoń.

- Nie bój się - wyszeptała. - Tu nic nam nie grozi.

Bez słowa wycofał się pod ścianę. Było to najlepsze miejsce, z którego mógł obserwować cały kościół. Jak tylko zobaczy coś niepokojącego, będzie mógł natychmiast zareagować. Tymczasem rodzeństwo podeszło bliżej ołtarza. Do mikrofonu zbliżył się młody człowiek. Miał na sobie garniturowe spodnie, jasną koszulę i błękitny sweter. Na początku był trochę speszony przed publicznym wystąpieniem, ale szybko nabrał pewności siebie. Mówił spokojnym, donośnym głosem. Andrzej zorientował się, że młodzieniec opowiada o swoim uzdrowieniu.

- Prosiłem o modlitwę w intencji uzdrowienia mojego małżeństwa. Dwie osoby złączyły dłonie nad moją głową i z resztą grupy modliły się w mojej sprawie. Wtedy poczułem lekkie stukanie w plecy. Byłem przy samej ścianie, więc nikt nie mógł tego zrobić. To trwało może parę sekund. Większość z was mnie zna. Byłem po wypadku, w którym uszkodziłem kręgosłup. Lekarze rozkładali ręce. Do końca życia miałem pozostać na wózku. Czy teraz ktoś widzi przy mnie wózek? Po wszystkie dni będę ze swoimi bliskimi dziękował Bogu za łaskę uzdrowienia. Jestem żywym przykładem doświadczenia cudu na ziemi.

W kościele dało się zauważyć duże poruszenie, niektórzy wierni wycierali ukradkiem łzy płynące po twarzy. Wielu

kiwało głowami i wymieniało uwagi potwierdzające prawdziwość słów chłopaka.

Młody człowiek wrócił do ławki. Za mikrofonem stanął starszy mężczyzna w habicie zakonnym przepasanym w biodrach sznurem. Miał siwą, długą brodę.

- Jak widzicie, moi kochani - mówił z dziwnym, obcym akcentem, nie był to Niemiec - Bóg jest bardzo realny. I jest tutaj z nami. Cierpliwie czeka, abyśmy zechcieli zaprosić go do swoich serc. Chce nas poprowadzić drogą wiodącą do domu Ojca. Musimy mu zawierzyć i nie lękać się.

Zszedł z mównicy. Ludzie, głównie młodzi, zaczęli do niego podchodzić. Kładł im rękę na głowie. Niektórzy przyklękali i żegnali się. Niektórzy, ku zdumieniu ochroniarza, omdlewali. Wpadali w ręce stojących z tyłu. Nikt nie wydawał się w najmniejszym stopniu zaskoczony. Zakonnik ciepło się uśmiechał, widząc takie reakcje.

- Duch Święty czasem działa trochę za mocno... - powiedział głośno, wywołując ogólną radość. - Zaraz dojdą do siebie i będą jak nowo narodzeni.

Po chwili podszedł do niego Serafin ze spuszczoną głową. Przyjął Ducha Świętego i zachwiał się na nogach, ale nie zemdłał. Zaraz za nim do zakonnika zbliżyła się Joanna. Mężczyzna uniósł dłoń, zawahał się i ni stąd, ni zowąd ukląkł przed Polką. Wierni patrzyli zdumieni. Nikt nie spodziewał się takiego rozwoju wydarzeń. Ludzie patrzyli po sobie, nic nie rozumiejąc. Zapanowała konsternacja.

Joanna przyklękła i podniosła zakonnika.

- To ja od ciebie powinienem oczekiwać natchnienia - powiedział do niej mężczyzna łamiącym się głosem. - Tyle o tobie słyszałem.

- Ojcze José, natchnij mnie Duchem Świętym, jak to robisz z innymi wiernymi. Potrzebuję tej siły. Teraz potrzebuję jak nigdy dotąd. To Pan mnie do ciebie przyprowadził.

Mężczyzna uśmiechał się. Po policzkach spłynęły mu łzy radości. Położył obie dłonie na głowie zakonnicy i

przymknął powieki. Joanna przeżegnała się i po chwili w skupieniu oddaliła. Zakonnik odprowadził ją wzrokiem. Napłynęła fala kolejnych wiernych.

Joanna stanęła przed obserwującym sytuację Sznajderem i popatrzyła mu w oczy.

- Co? - burknął.

- Czy też chcesz pójść do ojca José? - spytała z nadzieją.

- Próbujesz mnie zdenerwować, siostrzyczko? - odpowiedział Andrzej bez namysłu. - Jakoś nie mam ochoty dać się macać waszemu guru.

- Szkoda. Pomyślałam, że może byś się po prostu lepiej poczuł.

- Ty za dużo nie myśl. Czuję się wyśmienicie i bez waszych czarów.

- To nie czary - powiedział brat Serafin. - To łaska Boża.

- Skończyliście? To jedziemy. Szkoda czasu na bzdury.

Nie czekał na odpowiedź. Skierował się do wyjścia, a zakonnik z siostrą za nim. Ojciec José patrzył, jak Joanna opuszcza kościół, i nie przestawał się uśmiechać.

Rozdział 7

Co tam masz? – spytał komisarz Dolny wchodzącego do jego biura aspiranta Grzonkę.

– Pan sobie wyobrazi, komisarzu, że w lubuskim jest taka miejscowość Żary...

– Co ty powiesz – skrzywił się policjant. – W życiu bym nie pomyślał.

– Nie no, panie komisarzu, Janicki, ten od młodocianych, ma kuzyna...

– Grzesiu, co ty mi tu za pierdoły opowiadasz? Co mnie obchodzi kuzyn Janickiego?

– Obchodzi, obchodzi – Grzonka nie dał się zbić z tropu. – Wczoraj w Żarach była strzelanina.

– Strzelanina? Nieźle. To tam chyba ten Woodstock Owsiaaka jakiś czas temu organizowali...

– Dokładnie. Ale nie o to chodzi. Coś mnie tknęło, wysłałem tam portret naszego „turysty” spod klasztoru i ochroniarz szpitala, pod którym strzelano, rozpoznał go. Nie na sto procent, bo mówi, że ciemno było, ale to jakiś trop. Ten ochroniarz mówi, że z jakąś młodą kobietą byli i ta kobieta uzdrowiła dziecko. Cudowne uzdrowienie.

– Co?

– No, uzdrowienie. Taki cud boski.

– Grzonka, tyś przypadkiem dzisiaj czegoś nie pił?

– Panie komisarzu, to prawda.

– Coś więcej wiesz?

– Jak ta panna i ten nasz facet mieli odjeżdżać, to ktoś z czarnego audi do nich strzelał. Zginęła matka tego uzdrowionego dziecka. Zdaje się, że przypadkowa ofiara. Ten facet załatwił strzelca i potem parę razy strzelił do tego audi, jak odjeżdżało. Kierowca dostał w głowę i audi wylądowało na drzewie. Nie było co zbierać.

- Jasny gwint - ożywił się komisarz. - Ten nasz gościu z tą laską to w jakim samochodzie podróżowali? Mamy numery?

- Niestety, nic nie mamy. Ochroniarz ze szpitala nie jest w stanie powiedzieć. Ani marki, ani numerów. Mówi, że duży był.

- Chociaż kolor?

- Jakiś ciemny.

- No popatrz. Jeszcze nam tylko w tej sprawie cudu brakowało. O cudach to trzeba będzie w klasztorze pogadać z matką przełożoną. Druga rzecz: sprawdź emerytowanych żołnierzy z naszych sił specjalnych. Byle kto nie załatwi kierowcy w uciekającym samochodzie.

- Zrobi się, panie komisarzu.

- Diabli nadali. Już myślałem, że sprawa pójdzie do umorzenia. Trzeba się będzie też do tych Żar wybrać. Bierz się do roboty, aspirant. Ja muszę pomyśleć.

- Odmeldowuję się.

Grzegorz Grzonka wyszedł, a komisarz Dolny opadł ciężko na fotel.



Dzień pracy powolutku, acz nieubłaganie zbliżał się ku końcowi, kiedy aspirant ponownie zjawił się u komisarza. Dolny popijał nie pierwszą i nie drugą już tego dnia kawę. Rozmawiał z kolegami o dokonaniach polskiej reprezentacji w piłce nożnej, a właściwie o ich braku. Policjanci rozważali głośno szanse piłkarzy podczas Euro 2012.

Aspirant Grzonka bezceremonialnie wszedł w sam środek dyskusji. Komisarz rzucił mu piorunujące spojrzenie.

- Co tam, aspirant? - Dolny zmarszczył brwi. - Nie radzisz sobie? Trzeba podzwonić, popytać, pojechać gdzieś, jak sytuacja tego wymaga. Kombinuj, młody.

Grzonka powiódł wzrokiem po obecnych. Wahał się, czy może przy nich swobodnie mówić.

- Panie komisarzu... - odezwał się, ścisząc głos. - Jest.

- Co jest?

- No jest. Mamy go.

Aspirant nie mógł się przełamać, żeby otwarcie mówić przy innych funkcjonariuszach, których ledwie znał i którzy jak dotąd traktowali go jak chłopca na posyłki.

- Mówże wreszcie jak człowiek - zirytował się oficer.

Grzonka rozłożył ręce w geście bezsilności.

- Mamy naszego człowieka - powiedział specjalnie głośno. - Wiem, kim jest ten z portretu pamięciowego.

- Namierzyłeś go?

- Tak jak pan komisarz kazał, posprawdzałem...

- Chodźmy do mnie.

Dolny złapał go za ramię i poprowadził do swojego biura. Usiadł na wygodnym, dyrektorskim krześle, nowo zakupionym z budżetu, jakim uraczyła ich Warszawa. Palcem wskazał aspirantowi stare, prawie rozpadające się krzesło, które służyło mu przez lata i nie wyrzucał go z czystego sentymentu. Grzonka przysunął sobie wysłużony mebel.

- No więc - policjant od razu zaczął mówić - tak jak mówiłem: popytałem, posprawdzałem. Ciężko było dotrzeć do jakichś źródeł z naszych jednostek specjalnych. Ale u nas pracuje Jola Koszałko. Jej mąż miał kiedyś do czynienia...

- Grzesiu, do rzeczy, do rzeczy. - Komisarz zaczynał się niecierpliwić.

- To właśnie mówię, i przez jej męża puściliśmy portret, żeby ludzie się przyjrzeni. A nuż ktoś coś...

- I?

- Nie uwierzy pan, komisarzu. Nic. Zupełnie nic.

- Jak to nic? Kurwa, aspirant, przecież mówiłeś, że mamy gościa.

- Bo mamy. Facet nie był w naszych siłach specjalnych, chociaż podobno go chcieli. Ale z przeszłością miał nie za bardzo. Służba w obcych wojskach, a dokładnie we francuskiej legii cudzoziemskiej. Jakby się uprzeć, to za to

może być prokurator. Jakoś się człowiek wywinął. Brak dowodów czy coś tam. Nieważne.

- Właśnie, Grzesiu, nieważne. Mówże, kto to jest ten facet, bo dużo gadasz, a mało treści.

- Spokojnie, panie komisarzu, już mówię. U naszych antyterrorystów okazało się, że Jacek Misztal go znał. Jeszcze z dawnych czasów. Opowiadał o nim historie, że strach się bać. Gościu w BAS, taki system walki, przećwiczony niemożliwie. I jeszcze w paru. A strzela, jakby się z pistoletem urodził. Normalnie nie do wyjeb... znaczy nie do pobicia.

- Grzesiu, a może byś się tak herbatki, kawki napił? - zaproponował oficer.

Aspiranta zaskoczyła nagła, niespotykana do tej pory zupełnie życzliwość przełożonego. Przypisał to swojemu błyskotliwemu sukcesowi w odnalezieniu człowieka z portretu pamięciowego. Nikt przecież nie musiał wiedzieć, że młody policjant miał po prostu kupę szczęścia i trafiło mu się jak ślepej kurze ziarno.

- Kawy nie, ale herbaty chętnie. Ma komisarz jakąś owocową?

- Kurwa, aspirant! - huknął Dolny ni z tego, ni z owego. - Ja ci, kurwa, dam herbatkę! Gadaj konkrety, póki się jeszcze nie wkurwiłem.

Co do tego ostatniego aspirant Grzonka miałby poważne wątpliwości. Nie planował jednak kwestionować zapewnień Dolnego.

- Niech się pan nie denerwuje, komisarzu. - Grzonka przykurczył się mimowolnie. - Konkrety? Już mówię. Nazywa się Andrzej Sznajder. Oficer elitarnych jednostek w legii, jak mówiłem. Lata doświadczeń w konfliktach zbrojnych w Afryce. Wychodził żywy ze swoimi ludźmi z takich akcji, że Boże broń. Podobno się wycofał.

- Gdzie go teraz szukać?

- Podobno gdzieś we Wrocławiu się zadekował, ale właściwie to nie wiadomo.

- Wrocławskie biuro meldunkowe trzeba sprawdzić.
- Patrzyłem. Sznajderów jest jak psów, ale żaden nie pasuje. Może być pod fałszywym nazwiskiem.
- Szybki jesteś, aspirant - w głosie komisarza zabrzmiało autentyczne uznanie. - Nieźle.

Grzegorz Grzonka wolał nie brać tego za dobrą monetę. Jak się przed chwilą przekonał, przełożony bywał nieprzewidywalny.

- Staram się - powiedział policjant ostrożnie.
- Tak czy inaczej, na wiele się twoje starania nie zdały. Nawet jeśli to ten twój Sznajder, to i tak dupa. Listu gończego nie wyślemy, bo nie mamy go jak oskarżyć... Poszlaki, cholera.

Janusz Dolny założył dłonie na karku i utkwiał wzrok w brudnym, pilnie wymagającym odmalowania suficie.

- Byłaby jakaś szansa...
- No?
- Sznajdera rzuciła żona. Dawno. Zabrała synka, gdzieś zniknęła, żeby nie mógł jej znaleźć, i rozwiodła się z nim przez adwokata.
- I co z tego?
- Podobno Sznajder zawsze jej szukał, a właściwie syna. Bez skutku.
- Konkretnie, Grzesiu.
- Myślę, że babka jest do znalezienia. Mamy swoje sposoby. Jakby się dowiedział, gdzie ona z synem jest, może chciałby ją odwiedzić.
- A niby jak byś chciał, łaskawco, poinformować go o jej miejscu pobytu?
- Można by puścić cynk do środowiska. Z kimś się przecież musi kontaktować. Jak się nam poszczęści...
- Na szczęście to ty nie licz, aspirant, ale spróbować nie zaszkodzi. Myślisz, że ta żona jest gdzieś w Europie?
- W Austrii.
- A ty skąd wiesz?

Aspirant wzruszył ramionami.

- Słyszałem. Jest w Austrii. Jeszcze nie wiem dokładnie gdzie, ale niedługo będę wiedział.
- Ty, Grzesiu, ja cię chyba nie doceniałem.
- Też tak myślę, komisarzy.
- Dobra. Działaj. Ja pojedę do klasztoru. Może matka przełożona coś ciekawego powie.



Zakonnica w szczelnie zakrywającym całe ciało habicie poprowadziła komisarza Dolnego do głównego budynku. Na jej nieciekawej twarzy bez wyrazu nie można było nic wyczytać. Nie odezwała się ani słowem.

Wprowadziła oficera do niezbyt dużego, surowo umeblowanego pomieszczenia. Przez okno widać było grube mury zachodniego skrzydła klasztoru. W sali centralne miejsce zajmował ciężki, ciemnobrązowy stół i cztery równie przysadziste krzesła, raczej niezachęcające do siadania. Na jednej z pobielonych ścian wisiała masywna drewniana półka obłożona książkami o wyłącznie religijnej tematyce. Ścianę po przeciwległej stronie zdobił ogromny krucyfiks. Nastrój chłodu potęgowała w komnacie kamienna podłoga, sprawiająca wrażenie, jakby została żywcem wyjęta ze średniowiecznego zamku.

Komisarz nie był zaskoczony. Właściwie niczego innego nie powinien się być spodziewać. Zakon hołdował surowemu stylowi życia i dało się to zauważyć na każdym kroku. Już idąc przez dziedziniec, poczuł się przez moment, jakby go przeniesiono w czasie o co najmniej kilka wieków.

Zakonnica nie poprosiła go, żeby usiadł. Nie zaproponowała nic do picia. Po prostu bezszelestnie i bez słowa wyszła, zamykając za sobą delikatnie drzwi.

Policjant wysunął ciężkie krzesło i usiadł przy stole. Zastanawiał się, co też skłania często bardzo młode i ładne dziewczyny do porzucenia świata i zamknięcia się w murach klasztornych. W przeszłości nierzadko decyzję taką

podejmowała rodzina, ale w dzisiejszych czasach sytuacja była zgoła odmienna. Nikt kobiet w klasztorze nie zamyka wbrew ich woli, a nie są puste.

Jego racjonalny umysł nie potrafił wytłumaczyć tego fenomenu czymś tak abstrakcyjnym jak powołanie boże. Dolny zawsze twardo stąpał po ziemi i sprawy duchowe nigdy nie znajdowały istotnego miejsca w jego światopoglądzie. Był klasycznym gnostykiem. Dopuszczał do siebie wiarę w istnienie istoty wyższej, lecz był przekonany, że istota ta, o ile w ogóle stworzyła człowieka, to bez wątpienia nie przejmowała się jego losami i poczynaniami, mając swoje znacznie ważniejsze sprawy na głowie.

Rozważania mężczyzny przerwało wejście przełożonej zakonnice.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - powitała go od progu.

- Na wieki wieków - przypomniał sobie formułkę z czasów dzieciństwa.

Przeszła obok niego i usiadła naprzeciwko. Od razu rzuciła mu się w oczy surowość i nieprzenikliwość jej twarzy. Miała ostre, świdrujące spojrzenie, pod którym człowiek zaczynał się zastanawiać, czy nie czas pójść do spowiedzi.

Komisarz wytrzymał ten przeszywający wzrok. Nie miał z tym większego problemu.

W swojej karierze miał już do czynienia z ludźmi, o których istnieniu matce przełożonej nawet się nie śniło i których niejeden raz musiał złamać psychicznie, co zresztą wychodziło mu całkiem nieźle.

- Chciał się pan ze mną widzieć - bardziej stwierdziła oschle, niż spytała.

- Tak. Jestem z policji. Nazywam się...

- ...komisarz Janusz Dolny - dokończyła za niego.

Zaskoczyła go. Nie umawiał się na wizytę. Przyjechał z marszu, zakładając, że matka przełożona nie odmówi mu

„audiencji”, jako funkcjonariuszowi policji. Nie mylił się. Został przyjęty od razu, jakby się go tu spodziewano.

- Tak, właśnie - potwierdził nieco zbity z tropu. Jednocześnie pytał się w duchu, skąd wiedziała. - Domyśla się siostra celu mojej wizyty?

Nie zamierzał dopuścić do tego, żeby przedstawicielka Kościoła katolickiego uzyskała nad nim w tej rozmowie przewagę, jak to niejednokrotnie się zdarza w podobnych przypadkach. Zawsze uznawał, że żyjemy w państwie świeckim i nie ma obowiązku traktować Kościoła w sposób szczególny.

- Pewnie chodzi o tych zabitych, coście ich znaleźli w lasku.

- Dokładnie.

- Tylko że zupełnie nie rozumiem, dlaczego przychodzi pan z tym tutaj. Tu jest klasztor, proszę pana, o ile zdążył się pan już zorientować - dodała. - Nas życie za murami mało interesuje.

- Zapewniam, że zdążyłem się zorientować - policjant nie dał się zbić z tropu. - A mimo to przyjęła mnie siostra, choć nie musiała.

- Nie dalibyście nam spokoju. Prędzej czy później i tak musiałabym z wami rozmawiać. Szybciej będziemy miały spokój.

Komisarz przyglądał się przez chwilę jej twarzy. Nie wyrażała żadnych emocji. Trudno było cokolwiek z niej wyczytać.

- Mamy powody, żeby przypuszczać, że ci dwaj mężczyźni zostali zamordowani - powiedział powoli, nie spuszczając z niej wzroku.

Patrzył i czekał na wrażenie, jakie na niej wywrą jego słowa. Zawiódł się sromotnie. Twarz matki przełożonej pozostała niewzruszona niczym twarz zahartowanego pokerzysty.

- Po co mi pan to mówi, komisarzu? - zastrzeżona go rzeczowym pytaniem.

Odchrząknął, żeby zyskać na czasie.

- Myślałem...

- ...że mnie to zainteresuje? - znowu wpadła mu w słowo.

- Nie. Że to jest ważna informacja. W pobliżu najwyraźniej pojawił się morderca. Może stanowić zagrożenie również dla klasztoru.

Zablefował. Wiedział doskonale, że zagrożenia, nawet teoretycznego, nie ma. Ale zakonnica nie musiała wiedzieć. Znowu wypatrywał jakiegokolwiek reakcji i znowu nic. Matka przełożona była jak skała.

- Sądzi pan, że obawiamy się zagrożeń doczesnego świata? Złe moce nie zmogą bram niebieskich.

Czuł, że szansa dotarcia do kobiety wymyka mu się bezpowrotnie z rąk.

- Może ktoś tutaj zauważył coś nietypowego, niezwykłego? Może ktoś zachowywał się jakoś podejrzanie?

- Nie - odpowiedź była krótka.

- Ci martwi mężczyźni mieli ze sobą lunetę. Przypuszczamy, że mogli obserwować klasztor. Pytanie: po co?

- Nie mogę panu w niczym pomóc, przykro mi.

- Mam dziwne wrażenie, że nie za bardzo chce pani ze mną współpracować...

- Jak wspomniałam, nas tutaj nie interesują sprawy zza murów.

- Utrudnianie śledztwa to poważne przestępstwo.

Postanowił wytoczyć ciężkie działa. Tracił już cierpliwość.

- Proszę nie grozić, komisarzu - powiedziała ostrzej.

- Ja nie grożę, tylko ostrzegam przed ewentualnymi konsekwencjami.

- Proszę sobie darować.

Próba zastraszenia przeoryszy zakończyła się kompletnym fiaskiem. Nic z niej nie wyciągnie. Powinien był się lepiej do tej rozmowy przygotować. Teraz już za późno.

- Czy mógłbym zamienić parę słów z zakonnkami? -
tonący brzytwy się chwycił.

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie widzę takiej potrzeby.

- Możemy je oficjalnie wezwać na przesłuchanie.

- To wezwijcie.

Dolny zdał sobie sprawę, że matka przełożona świetnie wie, że on nic takiego zrobić nie może, jeśli nie ma po temu konkretnych podstaw.

- W takim razie nie będę już zabierał więcej czasu. Szkoda, że...

- ...nie mogłam w niczym pomóc. - Jej zwyczaj przerywania w pół słowa był irytujący.

- ...że nie udało nam się szczerze porozmawiać.

Jeszcze raz spojrział w jej nieprzeniknione oblicze.

- To pana zdanie.

- Do widzenia.

- Daj Boże, żebyśmy się już nie musieli widzieć.

Za bramy klasztoru wyprowadziła go ta sama zakonnica co wcześniej.

W samochodzie Dolny wyciągnął komórkę. Postanowił sprawdzić, czy aspirantowi Grzonce bardziej się poszczęściło.

- Jak tam, aspirant, masz coś nowego? - spytał, gdy tylko usłyszał znajomy głos.

- Mam. Żona Sznajdera ze swoim obecnym mężem, Austriakiem, mieszka niedaleko Grazu. Nie było łatwo się dowiedzieć, ale kolegi żona studiowała w Wiedniu i ma trochę znajomości, okazało się, że w ichniej policji też. Co prawda trzeba było...

- Dobra, Grzesiu, znowu za dużo gadasz. Czyli namierzyłeś ją, tak?

- Dokładnie. Mieszka z synem. Co ciekawe, jest chyba w ciąży z drugim dzieckiem i...

- Jasne, rozumiem. Puściłeś wiadomość w eter?

- Puściłem, ale rozpytałem też trochę. Cholera, małe szanse, że ktoś mu powie. Mówi się, że Sznajder to samotnik. Chodzi własnymi drogami. W środowisku nikt go nie zna.

- Grzesiu, a skąd ty tak dobrze jesteś poinformowany? - zainteresował się Dolny.

- Skończyłem technikum energetyczne. Tam różne chłopaki były. W sumie nie było źle, bo nie musieliśmy zakuwać tak jak w liceum, a maturę się jakoś zdało. Jeden koleżka to w ogóle na polonistykę poszedł. Niewiarygodne. Koleś takie rzeczy potrafił pisać, że mózg siada.

- Aspirant, nie. Nie było pytania. - Komisarz zreflektował się, że właśnie popełnił błąd. - Kiedy indziej mi opowiesz.

Aspirant Grzegorz Grzonka należał do typu ludzi, którzy jeśli zapytasz o godzinę, powiedzą ci ze szczegółami, jak jest zbudowany zegarek. Taka skrupulatność w policji czasem się przydaje, ale w zbyt dużych dawkach może być męcząca.

Janusz Dolny rozłączył się i schował aparat. W drodze do Rzeszowa będzie miał trochę czasu na przemyślenie dalszych działań.

Rozdział 8

Lydia Hansen wsiadła na swój czarny, ciężki motocykl, który wcześniej postawiła na ruchliwej ulicy. Nie zdążyła założyć kasku, kiedy usłyszała z boku swoje imię. Podbiegł do niej przystojny, niespełna trzydziestoletni mężczyzna w garniturze i z aktówką w dłoni.

- Lydia Hansen. Własnym oczom nie wierzę. To naprawdę ty?

- Ben Huften - powiedziała bez entuzjazmu. - Co za spotkanie - jej ton głosu nie brzmiał zachęcająco.

- Wiedziałem - niemal entuzjastycznie krzyknął mężczyzna. - Widziałem, jak wychodziłaś z biurowca.

- Tak?

- Pracujesz tutaj?

- Można tak powiedzieć.

- Nie uwierzysz, ja też. Pracujemy w tej samej firmie.

- Co za zbieg okoliczności. - W jej głosie nie można było znaleźć nawet cienia radości z niespodziewanego spotkania. - Ciekawe.

- W którym jesteś dziale? Bo ja w prawie budowlanym. Jak deweloper coś spieprzy, to zaraz pędzi do nas, żebyśmy go wybroniли, ha, ha. - Roześmiał się, jakby właśnie zaserwował doskonały dowcip. Kompletny brak reakcji ze strony kobiety jakoś go nie obchodził. - A ty?

- W dziale egzekucji.

- W dziale egzekucji? Nawet nie wiedziałem, że taki mamy - zainteresował się.

- Mamy, ale nie mów nikomu. Richard Hartmann nie chce, żeby za dużo ludzi o nas wiedziało. Jesteśmy jego oczkiem w głowie. Sam rozumiesz.

- Znasz samego bossa?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Jak ciebie. Właśnie od niego wracam.
- Nie gadaj.
- Poważnie.
- Słuchaj, masz może teraz trochę czasu? Zapraszam na lunch. Ja stawiam.

- Nieszczególnie.
- Pół godzinki - naciskał Huften. Wyczuł, że dawna znajomość z Lydią może okazać się w przyszłości bardzo cenna. - Ile to już się nie widzieliśmy, parę lat? Przecież nie odmówisz staremu znajomemu ze studiów...

Kobieta nagle zmieniła decyzję. Postanowiła przyjąć zaproszenie, choć musiała się przemóc. Zaświtał jej w głowie pewien bardzo ciekawy pomysł.

- OK. Niech ci będzie. Gdzie idziemy?
- No widzisz - ucieszył się Ben. - Tu niedaleko jest fajna knajpka. Zawsze tam chodzę. Dobrze dają jeść i niedrogo.

Knajpka okazała się barem z arabskim jedzeniem. Przy prymitywnych stolikach siedzieli zarówno młodzi ludzie w garniturach, jak i zwykli zjadacze chleba parający się najczęściej marnie płatną pracą fizyczną.

Huften posadził ją przy jedynym wolnym stoliku i poszedł zamówić dania. Wrócił za chwilę, niosąc dwa duże talerze. Zapach jedzenia był zachęcający.

Jedli w ciszy tylko przez chwilę.

- Strasznie się cieszę, Lydia, że cię spotkałem. Zniknęłaś mi z oczu tak dziwnie jakoś zaraz po studiach. Co się z tobą działo?

- Tobie z oczu? - Uśmiechnęła się kwaśno. - Nie mów mi, że specjalnie cierpiałeś z tego powodu. Błagam. Nie czarujmy się, Benny, byłam dla ciebie głupią cipą z pipidowy w Kansas i tak mnie traktowałeś. Nie pamiętasz?

Ben Huften zmieszał się odrobinę.

- Nie no, nie było tak źle. Zawsze cię lubiłem...
- Jasne. Szczególnie wtedy, jak ze swoimi laskami kazaliście mi siedzieć nago na wirującej pralce i komentowaliście głośno niedoskonałości mojego ciała.

Obiecaliście mi, że mnie przyjmiecie do bractwa. Głupia byłam, nie?

- Dziewczyny cię nie przyjęły...? - spytał niepewnie.

- Potem kazaliście mi siedzieć nago na gazecie i puszczaście film pornograficzny. Ale mieliście ubaw, jak oglądaliście potem tę gazetę. A do bractwa i tak nie zostałam przyjęta. Trochę jeszcze by się uzbierało tych dowodów sympatii, nie?

- Lydia, młodzi byliśmy, trochę zaszaleliśmy. To też miało jakiś swój urok - stwierdził z nadzieją, że przyzna mu rację. Nadzieja szybko zgasła. - Ale przecież nie byłaś jedyna, która przechodziła inicjację...

- Ale innym się akurat udało - zauważyła Lydia. - Zresztą nieważne. Dawne czasy. Nie ma o czym mówić.

Wcale tak nie myślała, ale w żaden sposób nie dała tego po sobie poznać. Czuła do niego głęboką urazę za czasy, gdy on i jemu podobni zatruwali jej życie ot tak, dla rozrywki. Była dla nich wiejskim popychadłem. W dodatku ubogim. Rodzice nie żyli, a stypendium ledwie wystarczało na chesne. Czasem trzeba było dorabiać. Również nocami. Dopiero pod koniec studiów znaleźli sobie inne ofiary. Niedługo potem wypatrzył ją Richard Hartmann. Sprawił, że zaszła w niej diametralna zmiana. Z wystraszonego kotka zrobił czarną panterę. Przemiana fizyczna była niewiele mniejsza. Stała się niezwykle atrakcyjną kobietą, która z łatwością zawracała mężczyznom w głowach. Za sprawą Hartmanna posiadała też moc dla zwykłego śmiertelnika nieosiągalną, która dawała jej ogromną władzę nad ludźmi, nierzadko władzę życia lub śmierci.

- Zawsze wiedziałem, że z ciebie w porządku dziewczyna. Nie będziemy przecież z jakichś tam pierdół z przeszłości problemu robić. Pracujemy dla tej samej firmy. Musimy się trzymać razem. W końcu ten sam college kończyliśmy, nie?

- No właśnie. My z Penn State to jedna drużyna. Pamiętasz? Tak się u nas mówiło.

- Jasne, że pamiętam - potwierdził z entuzjazmem.

Nie pamiętał. Nigdy zresztą takie powiedzenie po Penn State nie krążyło. Lydia pogrywała sobie z nieświadomym niczego mężczyzną. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że potwierdzi każdą głupotę, chcąc się jej przypodobać. Upatrywał w tej znajomości swoją szansę na „kopa w górę”. W innych okolicznościach miałby rację. Wystarczyło, by kiwnęła palcem, a jego kariera w firmie nabrałaby gwałtownego przyspieszenia. Sęk w tym, że nie zamierzała kiwać. Zamierzała zrobić coś innego. Coś, co zaspokoi jej pragnienie zemsty za dawne krzywdy. Nigdy ich nie zapomniała.

Odłożyła sztucce na talerz ze skończonym w połowie posiłkiem.

- Czas na mnie - powiedziała i odsunęła się od stolika. - Mam jeszcze jedno spotkanie.

Ben Huften przerwał posiłek. Spanikował. Wystraszył się, że Lydia gdzieś mu teraz zniknie i cenną znajomość diabli wezmą. Czuł podświadomie, że kobieta nieszczególnie była zainteresowana kontynuowaniem tej rozmowy. Ale przecież nie mógł takiej okazji wypuścić z ręki. Musiał ją sobie jakoś zjednać. Przecież był nieprzeciętnie przystojnym mężczyzną. Kobiety zawsze lgnęły do niego jak pszczoły do miodu. Trzeba było kuć żelazo, póki gorące.

- Słuchaj, Lydia, musimy się spotkać na luzie, bez pośpiechu. Co byś powiedziała na kolację dziś wieczorem? Obiecuję coś specjalnego. Będiesz zachwycona.

Miała nadzieję, że ta propozycja padnie. Nie będzie musiała się wysilać. Udała, że się waha, ale wahanie to było tylko chwilowe.

- Właściwie czemu nie. Po siódmej będę wolna. Gdzie się spotkamy?

- Może wpadnę po ciebie? Napisz mi, gdzie mieszkasz. - Podał jej karteczkę i długopis.

- Będę coś kończyła na mieście. Może po prostu spotkamy się pod biurowcem, jak na wzorcowych pracowników przystało? - zaproponowała z uśmiechem.

Ben Huften starał się ukryć uczucie zawodu. Liczył na szybkie zbliżenie. Zawsze potem mógłby wpaść do koleżanki z pracy „przypadkowo”, pod pozorem potrzeb związanych ze sprawami firmowymi. Teraz istniało ryzyko, że kobieta na przykład „zapomni” o spotkaniu, choć jego pycha i samozachwyty praktycznie nie dopuszczały takiej ewentualności. Jednak sytuacja była dość nietypowa.

- To o której? - spytał.

- Niech będzie siódma trzydzieści - odpowiedziała bez zastanowienia. - Tylko się nie spóźnij. Nie lubię. - Wstała.

- Będę punktualnie. - Szarmancko podniósł się od stołu.

Kobieta wyszła z knajpki, nie oglądając się za siebie. Stracił ją z oczu, gdy wmieszała się w tłum przechodniów.



Całkiem spory budynek zajazdu prezentował się niezwykle zachęcająco. Miał dwa piętra nad recepcją i częścią restauracyjną ulokowaną na parterze. Świeżo odrestaurowana fasada w dawnym stylu, sięgająca spadzistego dachu, przyciągała wzrok. Wnętrze urządzone było zaskakująco nowocześnie. Młoda, ładna recepcjonistka o typowo niemieckiej urodzie powitała ich z ciepłym uśmiechem.

- Dobry wieczór. Czym mogę służyć? - spytała po niemiecku trójkę nowych gości.

- Macie pokoje trzyosobowe? - spytał Sznajder w tym samym języku.

- Tylko dwójki i czwórki.

- Nie pomyślałeś, że Asia może chcieć trochę prywatności? - wtrącił brat Serafin po polsku. - Weźmy pokoje koło siebie, ale osobne.

Andrzej spojrział na Joannę. Widać było, że sugestia Janka jej odpowiadała.

- A jakiś apartament, na przykład dwupokojowy? - zwrócił się do recepcjonistki.

- Macie państwo szczęście - odpowiedziała. - Dzisiaj się zwolnił. - Spisała podane nazwiska i położyła klucz na kontuarze. Sznajder zgarnął go i ścisnął w dłoni jak drogocenny przedmiot. - Ostatnie piętro, dodała dziewczyna ze służbowym uśmiechem.

- Apartament? Hojny jesteś - zauważył brat Serafin.

Sznajder rzucił mu zagadkowe spojrzenie.

- Myślisz? - Przeniósł wzrok na recepcjonistkę. - Ta pani będzie płacić. - Wskazał ruchem głowy Joannę. - I proszę od razu doliczyć zawartość lodówek.

Janek i Joanna nie mieli czasu zaoponować. Ochroniarz, nie patrząc za siebie, ruszył szybko w kierunku schodów. Recepcjonistka, nie przestając się uśmiechać, popatrzyła na Wolińską.

- Płacą państwo kartą czy gotówką?

Konsternacja na twarzy Joanny była aż nadto wymowna. Środki na karcie miała ograniczone, a z pewnością nie były przeznaczone na opłacanie luksusów w postaci noclegu w hotelowym apartamencie, co nie mogło być tanie. Spojrzała na brata. Janek zrobił kwaśną minę i wzruszył ramionami. Nie było rady. Musieli zapłacić za fanaberie ochroniarza.

- Kartą poproszę. - Joanna podała recepcjonistce plastik. Ponownie popatrzyła na zakonnika. - Do Rzymu jeszcze daleko - powiedziała do niego półgłosem po polsku - na jedzenie może nie starczyć.

Nie zauważyli, jak recepcjonistka spojrzała na nich z zainteresowaniem, nie podnosząc głowy, by tego nie zauważyli.

- Niech się martwi szanowny pan ochroniarz. Co się przejmujesz. Jest za ciebie odpowiedzialny. W razie czego będzie musiał płacić.

Transakcja została przeprowadzona pomyślnie. Joanna dostała z powrotem kartę i potwierdzenie.

- Jaki numer pokoju? - spytała pracownicę.

- Trzysta sześć. Ostatnie piętro.

- Dziękuję pani.

Poszli schodami na górę. Kiedy zniknęli w korytarzu, Niemka zaczęła coś rozważać w myślach. Po krótkim zastanowieniu wyciągnęła telefon komórkowy. Wystukała numer i przyłożyła aparat do ucha.

- Erika - przedstawiła się, gdy usłyszała głos w słuchawce. - Miałam dać znać, jak zauważę coś nietypowego... Właśnie przyjechała trójka Polaków. Kobieta i dwóch facetów. Jeden strasznie arogancki. Nieprzyjemny dla nich. Kazał jej płacić za apartament, a ona jakby wydawała ostatnie pieniądze... Tak, zapamiętałam nazwisko. Nazywa się Wolińska. Joanna Wolińska. Nie zwróciłam uwagi, jakim samochodem. Za chwilę wyjdę i zobaczę. Odezwe się.

Do kontuaru podeszła czwórka młodych, roześmianych gości. Niemcy poprosili o dwa dwuosobowe pokoje.



Lydia Hansen stała na czerwonym świetle. Podniosła przyłbicę kasku i spojrzała na wyświetlacz komórki. SMS. Szybko przeczytała wiadomość. Zaciśnęła usta. Światło zmieniło się na zielone. Dodała gazu i przez pierwsze kilkadziesiąt metrów popędziła przed siebie na jednym kole.

Zatrzymała się przy Central Parku. Powiesiła kask na kierownicy, odszukała numer w komórce.

- Tak? - usłyszała niski męski głos.

- Tu Lydia. Masz ludzi w Niemczech?

- Coś się znajdzie.

- Nie może być „coś” - zirytowała się. - Trzeba zaufanych ludzi, którzy nie spieprzą roboty. Obiekt jest mniej więcej w centrum kraju. Dokładne namiary zaraz dostaniesz. Więc?

- Na teraz będę miał pięciu. Dwóch weteranów z Komando Spezialkräfte.

- Skąd?

- Niemieccy komandos. Dobrzy są.

- Pozostali?

- Generalnie żołnierze. Dadzą radę. - Mężczyzna mówił rzeczowo i bez wahania. Lydia знаła go osobiście. Był fachowcem. Jeżeli coś mówił, to tak było. - Przeciwnik?

- Jeden ochroniarz. Wiezie kobietę i mężczyznę. Interesuje nas kobieta. Ma przeżyć. Potrzebna jest nam żywa. Czy to jest jasne?

- Całkowicie.

- Potem samochód trzeba jakoś schować. Poza tym niczego, absolutnie niczego nie wolno wam dotykać. Z kobietą nie rozmawiacie. Macie czekać na kogoś od nas.

- Samochód?

- Czarny jeep cherokee na niemieckich numerach.

- Jak go namierzymy?

- Dostaniecie cynk, skąd, kiedy i w którą stronę pojedą. Teraz są na noc w zajeździe. Akcja musi być gdzieś po drodze. Szybko i najlepiej bez świadków.

- Zrobi się. Mam już chyba pomysł. Ten ochroniarz, wiemy coś o nim? Może być kłopot?

- Nic nie wiemy. W Polsce załatwił nam łącznie czterech ludzi. Zrobił to naprawdę fachowo. Lepiej na niego uważać.

- OK. Rozumiem. Postaram się doskoczyć do chłopaków do Niemiec. Wszystko zorganizujemy na miejscu. Nie powinno być problemów. Ludzie mają doświadczenie.

- Liczę na ciebie, Ray.

- Wiem.

- Jak się sprawicie, mój szef grosza nie pożąda.

- Nie wątpię.

- To do roboty. Czekam na dobre wiadomości.

Lydia rozłączyła się. Nałożyła kask i pognęła w stronę Brooklynu.



Sznajder włączył telewizor. Wyszukał CNN. Nie obchodziły go niemieckie wiadomości. Amerykanie podawali newsy z

całego świata, dużo ciekawsze niż wydarzenia lokalne.

Na rozkładanej stylowej sofie położył zapakowaną najwyżej w połowie torbę podróżną. W telewizji leciał dokument o problemach Afryki. Generalnie nic ciekawego. Do apartamentu weszli Joanna i Janek. Bez słowa przeszli do większego pomieszczenia. Stało tam wielkie małżeńskie łóże i kanapa. Oboje rozejrzeli się po pokoju. Wart był swojej ceny. Urządzony ze smakiem i przytulnie. Podczas gdy Janek rozpakowywał z podręcznej torby najpotrzebniejsze rzeczy, Joanna zajrzała do łazienki. Kolorystycznie i pod względem wyposażenia łazienka zachwycała. Niemal zapraszała, by wziąć kąpiel i odświeżyć się, spędzając w niej nieprzyzwoicie dużo czasu. Druga łazienka, skromniejsza, znajdowała się w pomieszczeniu zajmowanym przez Sznajdera. Kobieta mogła się więc poczuć panią tej większej. Nie trzeba było jej specjalnie zapraszać. Puściła oko do brata i zniknęła w kuszącym luksusem pomieszczeniu.

Zakonnik tymczasem rozsiadł się w fotelu. Przyglądał się zerkającemu co jakiś czas na telewizor Andrzejowi. Ochroniarz poczuł jego wzrok. Odwrócił się.

- Co, nie podoba się braciszkowi tutaj? - spytał nie bez złośliwości.

Janek nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Patrzył na niego, lecz w spojrzeniu tym daremnie by szukać zwyczajowej niechęci. Tym razem patrzył jakoś dziwnie życzliwie. Do tego stopnia, że Sznajder przez moment poczuł się nieswojo.

- Ty kogoś lubisz? - spytał brat Serafin bez emocji.

- O co ci chodzi? - zachnął się były żołnierz.

Dało się zauważyć, że w jakiś sposób go to dotknęło.

- Proste pytanie. Ciężko się żyje z takim nastawieniem do innych.

- Jakim nastawieniem?

- Takim jak twoje.

- Księżulku, znowu kombinujesz, jak by mnie tu wku...rzyć - Sznajder, o dziwo, tym razem powstrzymał się od przekleństwa.

- Nie. Próbuję cię zrozumieć. Tak zwyczajnie zrozumieć. Jak drugiego człowieka. Bliźniego.

- Nie jestem twoim bliźnim.

- Jesteś. Czy ci się to podoba czy nie.

- To masz problem.

- Może mam. - Zakonnik zamilkł. Zamyślił się. Sznajder odwrócił się w stronę telewizora. - Jaki jest twój syn? - spytał niespodziewanie.

Sznajder nie odwrócił głowy. Nie odzywał się. Ale w środku w tym twardym mężczyźnie nagle zawrzało. Zacisnął zęby i przymrużył oczy.

- Za dużo gadasz, księżulku - cedził słowa. - Za to można po mordzie dostać.

- To mi daj po mordzie. Jeżeli masz się lepiej poczuć... Nie będę się bronił. Potem powiedz mi, jak ma na imię twój synek i jaki jest.

W ochroniarzu coś pękło. W pierwszej chwili naprawdę miał ochotę spełnić groźbę, lecz zaraz potem złość zelżała. Usiadł ciężko na sofie i zasepił się. Wbił wzrok w zakonnika.

- Po co ci to wiedzieć? - odezwał się w końcu.

- Bo może będę musiał oddać za ciebie życie - odparł cicho Janek.

- Co ty bredzisz?

Niespodziewanie dla Sznajdera zakonnik zawiesił wzrok na ekranie telewizora. Podawali wiadomości. Podszedł bliżej odbiornika. Andrzej podążył za jego spojrzeniem. Pokazywali ulicę w centrum Nowego Jorku. Reporterka ze szczegółami podawała przebieg zdarzeń. Kamera zrobiła zbliżenie na dwa psy ładowane do półciężarówki. Zwierzęta były wystraszone i potulne. Reporterka - piękna Mulatka - opisywała relacje naocznych świadków, którzy opowiadali, jak psy wyrwały się właścicielce i w mgnieniu oka rozszarpały młodego człowieka na strzępy. Wszystko

wydarzyło się w biały dzień, pośród tłumu ludzi. Zwierzęta wybrały sobie na ofiarę właśnie tego mężczyznę, chociaż znacznie bliżej znajdowała się masa innych przechodniów. Sznajder pogłośnił.

Kamera pokazała właścicielkę psów. Patrzyła na policjantów zupełnie nieprzytomnym wzrokiem. Była w szoku. Wydawała się nie zdawać sobie sprawy, co się wokół niej dzieje. Została zatrzymana. Posłusznie wsiadła do policyjnego samochodu.

- Babuleńka nie dopilnowała piesków - skomentował sytuację Andrzej. - Z drugiej strony takie bestie trzymać... odważna babcia.

- To nie jej wina - usłyszeli za sobą głos Joanny. Nie spojrzeli na nią. - Psy były łagodne. Zostały zmuszone do tego, co zrobiły. Wykorzystane.

Sznajder odwrócił głowę w jej stronę. Niemalże oniemiał na widok tego, co zobaczył. Stała jedynie w przyprawiającej o zawrót głowy czarnej bieliźnie. Nie widać było po niej żadnego zażenowania. Świeżo umyte włosy były spięte z tyłu. Fantastyczna figura, alabastrowa skóra, twarz z delikatnym makijażem - wszystko to sprawiało, że była zachwycająco piękna. Zdawała sobie z tego sprawę i zdecydowanie nie czuła się z tym źle. Była kobietą, może różniła się od wszystkich innych, ale kobietą, taką z krwi i kości, z jej zaletami i wadami. Joanna wpatrywała się w telewizor jak zahipnotyzowana, jakby nieświadoma spojrzenia Sznajdera, pełnego podziwu i zwykłego męskiego pożądania.

- Siostra - zwrócił się do niej Janek - niezła jesteś laska, ale nie musisz się tak zaraz z tym obnosić.

Joanna spojrzała na siebie i jakby dopiero zdała sobie sprawę, że nie licząc bielizny, jest praktycznie naga. Oblała się rumieńcem. Widać było autentyczne zmieszanie, zawstydziała się jak pensjonarka.

- O rany, przepraszam. - Nieudolnie próbowała się zasłonić rękami i zaraz uciekła do łazienki jak spłoszona

łania.

- O czym ona mówiła? - spytał Sznajder. - Jak to zmuszone?

- Nie wiesz? Spytaj Asi. Ona może ci lepiej wytłumaczy.

- Jasiu, daj spokój. Nie bądź irytujący, bo mi się może pięść omsknąć.

- No, to jest argument. - Zakonnik uśmiechnął się.

- Więc?

- Jak ci to powiedzieć, żebyś zrozumiał... Zło na świecie to bardzo realna siła. Dużo jest o tym w Biblii, ale jak obaj wiemy, Biblia nie należy do twoich ulubionych lektur.

- Do rzeczy, Jasiu, do rzeczy.

- Są ludzie, których zło owładnęło albo sami opanowali siły zła. Trudno właściwie powiedzieć. Słyszałeś o ludziach opętanych? Mają nadzwyczajną siłę, mówią językami, przewidują przyszłość. Opętani są jedynie narzędziem zła. Są jednak też ludzie, którzy są jego wysłannikami i wykorzystują moce, w jakie normalny człowiek właściwie nie chce wierzyć. Dopóki nie zobaczy, jak działają, choćby właśnie podczas opętania.

- Co to ma wspólnego z tym w telewizji?

- Ja się mogę tylko domyślać... Joanna wie na pewno. Myślę, że stoi za tym człowiek, który jest w służbie zła, ale nie jest jedynie jego narzędziem. Ten człowiek poluje na nas, a właściwie na Asię. Chodzi o ten dysk. Gdy go zdobędzie, Kościół i ludzie będą, delikatnie mówiąc, po uszy w... słowie na literę „g”. Sam rozumiesz. Apokalipsa, nie mityczna, tylko ta prawdziwa. Zła wtedy nie da się już powstrzymać. - Pokręcił głową. - A może da, ja nie wiem. Wiem tylko, że medalion i Asia muszą dotrzeć do Watykanu.

- I domyślałam się, że nie można było tego dysku przetransportować samolotem...

- Nie można było zrobić nic innego poza tym, co zostało zrobione. Zło widzi znacznie więcej, niż ci się wydaje. I jest w miejscach, w których w życiu byśmy nawet nie podejrzewali.

- Czyli już teraz rozumiesz, dlaczego nie chciałem, żebyśmy mieli osobne pokoje. Muszę was mieć na oku, gołąbki. Głupio mi to mówić, ale zależy mi, żebyście wyszli w jednym kawałku z tej awantury.

- Właściwie to chyba masz rację - przyznał Janek.

- Mam, Jasiu, mam.

- Taak. No to opowiedz mi o swoim synku.

- Co?

- O synku mi opowiedz. Jak ma na imię, co lubi, czego nie. Sam wiesz.

- Ale ty jesteś upierdliwy.

- Asia też tak czasem mówi. - Widział, że Sznajder walczy ze sobą. - Powiedz chociaż, jak ma na imię.

- Niby dlaczego miałbym ci się zwierzać? - Mężczyzna rozparł się na sofie.

- Bo nikogo innego tutaj nie ma. Asia nieprędko wyjdzie z łazienki. Strasznie się zawstydziła. Znam ją.

Sznajder się roześmiał. Założył nogę na nogę i wpatrywał się w ekran telewizora. Wydawał się ignorować brata Serafina. Zakonnik go obserwował. Czuł, że naciskanie nic nie da. Czekał, aż mężczyzna się złamie. Minęła może minuta i się doczekał.

- Jarek - odezwał się Sznajder z oczami przyklejonymi do ekranu. - Ma na imię Jarek. Zawsze był bardzo rezolutnym dzieckiem. Ma mnóstwo energii i w ogóle. - Spojrzał na zakonnika. - Nie wierzę, że ci to mówię. Chyba zwariowałem.

- Chciałbyś go zobaczyć?

- Masz jeszcze jakieś głupie pytania? Oczywiście, że bym chciał. Dziwne? Tylko że szanse zerowe. Nawet nie wiem, na którym jest kontynencie.

- Jest w zachodniej Europie - powiedział brat Serafin jakby mimochodem.

- W Europie? A skąd ty to możesz wiedzieć?

- Ja nie. Asia wie. Powiedziała mi.

- Siostrzyczka? - Sznajder podniósł się z oparcia. - Jaja sobie robisz?

- Zna miejscowość i w ogóle. Możesz ją spytać, jak chcesz.

Joanna pojawiła się w drugim pomieszczeniu. Miała na sobie gruby szlafrok hotelowy. Przystawiała drobiazgi z miejsca na miejsce, udając, że jest zaabsorbowana tą czynnością. Nietrudno było się domyślić, że wciąż odczuwała zawstydzenie swoim wcześniejszym wystąpieniem, lecz mężczyźni nie mogli się domyślać, że popchnęły ją do tego nie tylko nagłe informacje w telewizji, ale i - choć w znacznie mniejszym stopniu - jej typowo kobieca próżność. Gdzieś w zakamarkach duszy chciała się pochwalić swoją nieprzeciętną urodą.

- Siostrzyczko - zawołał do niej Sznajder z drugiego pomieszczenia.

- Proszę?

Joanna ani na moment nie przestała się krzątać. Sprawiała wrażenie całkowicie zaaferowanej przestawianiem osobistych drobiazgów.

- Coś wiesz o mojej byłej?

Znieruchomiała. Wyprostowała się i popatrzyła mu w oczy.

- Dlaczego pytasz?

- Jasiek mówi, że jakbym chciał syna zobaczyć, to żeby z tobą gadał.

- Żony nie chcesz zobaczyć?

- Ja nie mam żony. Jestem po rozwodzie - stwierdził stanowczo. - Ten rozdział jest zamknięty.

- Mieszkają w Austrii, niedaleko Grazu. - Obserwowała go. Czekala na reakcję. Sznajder siedział nieruchomo. - Mieszkają w niedużym domu w górach.

Mężczyzna spuścił głowę.

- Skąd to wszystko wiesz? - Nie patrzył na nią. Informacje, które nagle usłyszał, zdawały się go przytłaczać.

- Nie wiem skąd. Po prostu wiem.

- A jeżeli się mylisz?

- Nie mylę się - odpowiedziała autorytatywnie. - Na pewno się nie mylę.

Podniósł na nią oczy. Patrzył, jakby chciał wejrzeć w jej duszę, odgadnąć myśli, sprawdzić ostatecznie, na ile można jej ufać. Joanna odwróciła wzrok. Ponownie zajęła się swoimi drobiazgami. Nie czekała na reakcję.

Co najmniej dziwny sposób komunikacji między nimi zastanowił Janka. Spoglądał to na jedno, to na drugie, próbując domyślić się znaczenia zagadkowej ciszy, która między nimi zaległa. O ile zdążył się w tym wcześniej połapać, Sznajder szukał syna i wiele by dał za informację o miejscu jego pobytu. Teraz miał to podane jak na talerzu. Nie zamierzał nic z tym zrobić? Na co czekał? A może po prostu zwyczajnie zaczął się po ludzku bać tego ewentualnego spotkania po latach? Ludzkie uczucia w wykonaniu twardziela - ciekawe. Ciekawe, na ile prawdziwe.

- Kładźcie się - powiedział wreszcie były żołnierz. - Trzeba się porządnie wyspać. Jutro możemy mieć bardzo ciężki dzień.

- Myślisz, że znowu...? - Joanna nie odważyła się dokończyć pytania.

- Myślę, że ostatnio to była tylko próba. Obawiam się, że czas na występ główny. - Westchnął. - Idźcie spać.

Podniósł fotel i ustawił go przy drzwiach do apartamentu. Janek i Joanna przeszli do części sypialnej. Kobieta zatrzymała się w progu.

- Będiesz spał tu, na fotelu? - spytała z dostrzegalną troską w głosie.

- Jestem jak pies łańcuchowy, siostrzyczko - stwierdził Andrzej uspokajająco. - Śpię w każdych warunkach i budzę się szybciej, niż trzeba.

- Ktoś może przyjść?

- Nie sędzę. Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże, nie?

- W dawnym życiu się tego nauczyłeś?
 - Spania na zawołanie?
 - Na przykład.
 - Afrykańska dżungla to surowy, ale bardzo dobry nauczyciel. Od razu załapujesz, o co chodzi, albo nie żyjesz.
- Nic na to nie powiedziała. Sznajder jeszcze przez kilkanaście minut słyszał, jak układają się do snu. Rozmawiali trochę półgłosem. Potem zgasło światło i zapadła cisza. Joanna pomodliła się o spokojną noc. Miała szczerą nadzieję, że jej modlitwa zostanie wysłuchana.

Rozdział 9

Lydia była punktualnie, a nawet chwilę przed czasem, co nie uszło uwadze Bena. Przyjął to za dobrą monetę. Uznał, że zrobił na niej jak najlepsze wrażenie, skoro tak się do niego śpieszyła. Miał w ręku czerwoną różę. Nie planował kupować kwiatów. Po drodze natknął się jednak na dziewczynkę sprzedającą róże przy ulicy. Pomyślał, że może warto wydać dwa dolary. Liczył przecież na zwrot z nawiązką. Jeśli tylko uda mu się owinąć Lydię Hansen wokół palca, a w tym akurat miał znacznie większe doświadczenie niż przeciętny mężczyzna.

Miała na sobie czerwoną sukienkę, na tyle obcisłą, żeby podkreślić wspaniałą figurę. Do tego czarna torebka i buty pod kolor. Wysoko upięte włosy i ciemne okulary. Wszystko to sprawiało, że wyglądała więcej niż świetnie.

Ben w eleganckim garniturze również prezentował się całkiem okazale. Zawsze wiedział, jak zadbać o wygląd, żeby przyciągać wzrok kobiet.

Lydia nie wyglądała na zaskoczoną jego szarmanckim gestem, kiedy wręczał jej różę. Miną dała mu do zrozumienia, że właściwie niczego innego się nie spodziewała.

- Nie wiedziałem, jakie kwiaty lubisz - powiedział, udając usprawiedliwiający ton. - Rozglądałem się i ta róża... pomyślałem, że ci się spodoba. Jest trochę jak ty, piękna i jednocześnie nieprzystępna.

Lydia uśmiechnęła się. Ale Ben Huften mylnie zinterpretował ten uśmiech, biorąc go za oznakę życzliwości i zadowolenia z usłyszanych słów. Kobieta pomyślała coś wręcz przeciwnego. Uznała wypowiedź za koszmarne banały i żalostną próbę zdobycia jej przychylności. Jak on mógł kiedykolwiek jej imponować? A przecież tak

było w czasach studenckich. Dlatego znosiła te wszystkie upokorzenia z jego strony.

Dzisiaj jej uśmiech wyrażał politowanie na tyle zawołowane, że zadufany w sobie mężczyzna nie był w stanie niczego dostrzec.

- To miłe - powiedziała, siląc się na sympatycznie brzmiący ton głosu. - Gdzie idziemy?

- Zabiorę cię w magiczne miejsce - szepnął jej do ucha tajemniczo.

Miała nadzieję, że to magiczne miejsce okaże się znacznie bardziej urokliwe niż wypowiedane pod jej adresem głodne kawałki. Mężczyzna złapał taksówkę. W samochodzie Lydia z satysfakcją odnotowała, że Ben nie może oderwać od niej wzroku, chociaż za wszelką cenę starał się utrzymywać zwyczajową pozę wyluzowanego macho. Odkąd pamiętała, zawsze był pozerem. Jednak nigdy wcześniej nie potrafiła tego zauważyć tak jasno jak w dniu dzisiejszym. Wtedy, na studiach, brylował wśród pańienek z bardzo dobrze sytuowanych rodzin. W ogromnej większości przypadków pańienkom tym nie zbywało na inteligencji, a przynajmniej nie potrafiły lub zwyczajnie nie chciały okazać, że jest inaczej. W amerykańskim społeczeństwie ciągle pokutowało przekonanie, że mężczyźni nie lubią inteligentnych kobiet. Koledzy ze studiów wyjątkowo często utwierdzali je w tym przekonaniu.

- Lydio, muszę przyznać, że wyglądasz przepięknie, żeby nie powiedzieć zabójczo. - Patrzył jej w oczy, czekając na pozytywną reakcję. Nie zraził się, gdy takowa nie nastąpiła.

- Miły jesteś - powiedziała tylko powściągliwie.

Mężczyzna bezczelnie położył dłoń na jej odkrytym kolanie. Uznawał, że bezczelnością można daleko zajść, i w dotychczasowym życiu spotkał się z marginalną ilością przypadków, które by przeczyły temu przeświadczeniu.

- Masz przepiękne nogi - powiedział i zachęcony brakiem oporu przesunął dłoń w kierunku uda.

- Na twoim miejscu bym przyhamowała. - Lydia utkwiała wzrok w jego dłoni. - Możesz coś zepsuć.

Popatrzyła mu w oczy i uśmiechnęła się, ale darmo by szukać w tym uśmiechu ciepła czy życzliwości.

Ben Huften natychmiast zabrał rękę. Nie dlatego, że usłyszał zawołane „nie”, ale dlatego, że doskonale zdawał sobie sprawę z ewentualnego bilansu zysków i strat. Musiał się z nią obchodzić jak z jajkiem. Inaczej jego plany diabli wezmą.

- Oczywiście, przepraszam. - Przywołał na twarz najbardziej czarujący uśmiech, na jaki go było stać. - Po prostu jesteś tak zachwycająca, że nie mogłem się oprzeć.

Restauracja, do której ją zaprowadził, nie tylko wyglądała na ekskluzywną, ale z pewnością taka była. W środku niemal wszystkie stoliki zajmowały dystyngowane pary w eleganckich strojach, jakby właśnie wybierały się do opery lub wracały stamtąd.

Już w progu przywitał ich kelner. Kłaniając się lekko, poprosił o nazwisko, na które zrobiono rezerwację, i zaprowadził ich na miejsce. Oddalił się tylko na moment, żeby przynieść karty. Lydia od razu zauważyła, że w jej karcie brak było cen przy daniach. Ten drobny fakt również dobrze świadczył o klasie tego miejsca. Wychodzą tu z założenia, skądinąd słusznego, że mężczyzna zaprasza i wysokość rachunku, w tym miejscu niewątpliwie znaczna, jest jego zmartwieniem. Kobiet nie powinno się kłopotać takimi drobiazgami.

- Stać cię na takie ekstrawagancje? - spytała, przeglądając menu.

- Jestem z kimś wyjątkowym - odparł bez zastanowienia.
- Twoje towarzystwo jest warte każdych pieniędzy.

- Tak sądzisz? - Nie odrywała wzroku od listy dań, których nazwy często niewiele jej mówiły, jak i zresztą pewnie większości gości.

- Nie sądzę. Jestem tego pewien jak niczego innego w życiu.

Wpatrywał się w nią niczym urzeczony. Spojrzenie to, wykonywane perfekcyjnie, ćwiczone i udoskonalane przez lata, dla postronnego obserwatora mogło się wydawać nadzwyczaj szczere. Można by odnieść wrażenie, że oto siedzi przed Lydią mężczyzna po uszy w niej zakochany. Ben Huften wiedział, jak dotrzeć do serca kobiety, przynajmniej znacznej większości kobiet, do których jednak Lydia już się nie zaliczała, o czym wiedzieć nie mógł.

- Tak, masz rację. - Udał zakłopotanie w stylu uczniaka podkochującego się w nauczycielce. Trzeba było przyznać, że i tym razem zagrał nader przekonująco.

Kiedy oboje odłożyli karty na stół, natychmiast pojawił się kelner. Złożyli zamówienie, usłyszeli od młodego człowieka służbowe: „Dziękuję, doskonały wybór” i rozpoczął się czas oczekiwania na dania. Biorąc pod uwagę standard miejsca, czas ten musiał być długi.

- Co się z tobą działo przez te wszystkie lata, Lydio? - postanowił spytać, choć najmniej go to teraz interesowało.

Z zadowoleniem odnotował, że odpowiedź od razu poruszyła temat, który znajdował się w kręgu jego obecnych zainteresowań.

- Pod koniec ostatniego roku, jeszcze na studiach, znalazł mnie Richard Hartmann. Spotkaliśmy się, porozmawialiśmy i zaproponował mi pracę, jak tylko uzyskam tytuł magistra. Od tamtej pory firma Tucker & Hartmann jest moim drugim domem, a Richard mentorem. Czasem zachowuje się, jakby był moim ojcem.

- Aż tak blisko współpracujecie?

- Czasem mam uczucie, że za blisko - stwierdziła szczerze. Uznała, że mogła już sobie na to pozwolić. - Ale jest tak wiele spraw...

- Ludzie mówią, że jesteś jego prawą ręką, znaczy się Hartmanna.

Huften w ciągu tych paru godzin od pierwszego spotkania popytał, kogo się dało, i spróbował wyciągnąć jak najwięcej

informacji o Lydii. Niewiele tego było, więc teraz po prostu strzelał w ciemno.

- Jeżeli już, to jedną z prawych rąk.

- Ale nikt nie jest w stanie powiedzieć, co dokładnie robisz. Podobno jakieś zlecenia za granicą.

- Tak mówią?

- To nieprawda? - nie mógł się powstrzymać.

Pojawił się kelner z zamówieniem. Lydia nie uznała za stosowne, by zaspokoić ciekawość Bena. Szczególnie w obecności osoby postronnej.

- Smacznego - powiedziała i zabrała się do postawionego przed nią dania.

- Dziękuję, tobie również.

Ben był na tyle rozsądny, żeby nie naciskać. Wszystko w swoim czasie. Był przekonany, że powolnym, łagodnym działaniem prędzej czy później skłoni tę kobietę do zwierzeń na interesujące go tematy. A wspólnie spędzany czas - żywił nadzieję, że będzie tak coraz częściej i intensywniej - w końcu zaowocuje pożądanymi skutkami, czyli systematycznym wspinaniem się po szczeblach kariery na plecach ustawionej w firmie Lydii.

Jedli, popijając przednim czerwonym winem. Huften zabawiał ją rozmową na niezobowiązujące, neutralne tematy. Nie chciał jej spłoszyć. Co jakiś czas wtrącał żart, wywołując uśmiech na jej pięknej twarzy. Czuł przez skórę, że Lydia z każdą chwilą wpada w jego sidła. Jeszcze trochę starań i będzie kolejną zdobyczą do kolekcji. Jak do tej pory bezwzględnie najcenniejszą.

Kolejne dwie godziny upłynęły w miłej atmosferze. Kelner zabrał puste talerze i przyniósł obojgu pachnącą kawę w leciutkich porcelanowych filiżankach. Lydia w milczeniu rozkoszowała się jej wybornym smakiem. Po kilku chwilach spojrzała uwodzicielsko na Bena.

- Szkoda by było nie kontynuować tak mile rozpoczętego wieczoru - powiedziała i umoczyła wskazujący palec w winie. Włożyła go do ust i zlizwała trunek. - Nie sądzisz?

Benowi aż się gorąco zrobiło na ten widok. Sprawy szły znacznie lepiej, niż się mógł spodziewać. Doskonale zrozumiał sugestię. Dzisiejszego wieczoru będzie miał szansę „otworzyć przed nią bramy raju” podczas wspólnie spędzonej nocy. Kto jak kto, ale on akurat miał w tym niezwykłą wprawę. Potrafił doprowadzić kobiety nieomal do omdlenia z rozkoszy. Dzisiaj zamierzał postarać się szczególnie. Czuł, że wkrótce Lydia Hansen będzie mu jadła z ręki.

- Nie można było tego lepiej ująć. Może u mnie?

- Wolałabym coś mniej ostentacyjnego. Pod miastem jest taki niezobowiązujący motelik. Nie zadają zbędnych pytań...

Ben Huften wyszczerzył się w uśmiechu. Podniósł rękę. Kelner pojawił się natychmiast.

- Rachunek poprosimy - powiedział, nie spuszczając wzroku z kobiety.



Budynek motelu był jednopiętrowy, z dyskretnymi wejściami do pokoi od strony werandy ciągnącej się na całej jego długości. Był ciemny. Jedynie wejście główne rozjaśniało jaskrawe światło.

Ben zatrzymał swoje nowiutkie srebrne audi w pobliżu wejścia.

- Weź klucze - powiedziała Lydia. - Poczekam w samochodzie.

Mężczyzna zbliżył usta do jej ust. Zatopili się w namiętym pocałunku.

- Zaraz wracam. - Wysiadł z samochodu i zniknął w wejściu do motelu.

Jego nieobecność trwała kilka minut. Stanął wreszcie przed maską samochodu, pokazując tryumfalnie klucze do pokoju. Wyszła, wzięła go za rękę i poszli schodami na werandę.

Pokój, w odróżnieniu od podobnych w większości przydrożnych moteli, był całkiem schludny. Nie należało oczekiwać luksusów, w końcu nie po luksusy tu przyjechali, ale również nie odpychał. Czysta łazienka zachęcała do kąpieli. Przyciemnione światło tworzyło przyjemny nastrój.

Lydia stanęła przy łóżku.

- Daj mi chwilę - powiedziała. - Muszę się trochę odświeżyć.

Rozpięła zamek błyskawiczny przy sukience i zsunęła ją na stopy. Pod sukienką nie miała na sobie już nic. Stała przed nim przez chwilę naga i zachwycająco piękna. Mężczyzna poczuł, jak fala pożądania wypełnia każdy zakamarek jego ciała. Lydia tymczasem zamknęła za sobą drzwi łazienki i słyszeć było tylko strumień wody.

Huften nie próżnował. Zrzucił z siebie ubranie i wśliznął się do łazienki w ślad za nią. Spontaniczny pomysł wspólnego prysznica wydał mu się rewelacyjny. Kobieta przyjęła to z aprobatą. Pół godziny spędzone w strumieniach gorącej wody rozbudziły zmysły na dobre. Kiedy wyszli, wtopieni w siebie, rozścielone dwuosobowe łóżko już na nich czekało. W czasie kolejnych godzin, cały czas przy zapalonym świetle, Ben wspinał się na szczyty swoich umiejętności, doprowadzając Lydię do orgazmu za orgazmem. Wreszcie oboje padli obok siebie, spoceni, wycieńczeni i w pełni usatysfakcjonowani.

- Dobry jesteś, Benny - powiedziała i przeciągnęła się jak kocica.

Huften uśmiechnął się zadowolony z siebie.

- Idę pod prysznic - powiedział i zamknął za sobą drzwi.

Lydia leżała naga na wznak. Słyszała płynącą wodę. Oparła się pokusie przyłączenia się do niego, tak na pożegnanie. Wiedziała, że już nie ma czasu. Położyła dłonie pod głowę i czekała. Nie trwało to długo. Drzwi pokoju otworzyły się i do środka weszło dwóch ubranych na czarno mężczyzn. Kobieta nie była zaskoczona ich widokiem.

- Cześć, Lydia - odezwał się barczysty facet i uśmiechnął się do niej.

Jego szczuplejszy kolega napawał się jej niezwykłą urodą, demonstrowaną w całej okazałości. Kobieta nie zrobiła najmniejszego ruchu, by się zakryć. Wstyd był jej obcy. Wręcz przeciwnie. Była dumna ze swego ciała.

- Cześć, Rick.

- Pięknie wyglądasz.

- Ja zawsze pięknie wyglądam.

- Tam? - Rick wskazał wzrokiem drzwi łazienki.

Lydia potwierdziła skinieniem głowy. Woda pod prysznicem przestała lecieć. Mężczyźni ruszyli. Kobieta słyszała krótką kotłowaną w środku. Zeszła z łóżka leniwie i wśliznęła się w sukienkę. Nałożyła buty. Zobaczyła, jak jej dwaj znajomi wyprowadzają nagiego, zakneblowanego Bena Huftena. Miał ręce skute z tyłu. Próbował krzyczeć, gdy ją zobaczył, co mogło być wołaniem o pomoc.

Rick przełożył jeden koniec łańcucha przez okrągłe metalowe ogniwo na suficie, specjalnie zamontowane na tego typu okazje. Pokój był mu dobrze znany z przeszłości. Drugi koniec przyczepił do kajdanków krępujących ręce mężczyzny. Pociągnął mocno i wykręcone ręce Bena poszły do góry tak, że ten musiał się pochylić i stanąć na palcach. Cały się trząsł z przerażenia.

Tymczasem drugi mężczyzna rozłożył pod nim wielką i grubą płachtę folii.

- Nie śpieszcie się, chłopcy - powiedziała Lydia, taksując wzrokiem swojego kochanka. - Niech poczuje, że umiera.

Na te słowa Ben Huften zaczął wrzeszczeć przez knebel i histerycznie się rzucać. Ruchy powodowały dotkliwy ból wykręconych stawów.

- Zabawimy się z nim przez co najmniej parę godzin - zapewnił ją Rick. Rozłożył na łóżku narzędzia tortur, na których sam widok ciarki człowiekowi szły po plecach. - Może dłużej. Zależy, ile mu serce wytrzyma.

Ben patrzył na przyrządy zaokrąglonymi z przerażenia oczami. Lydia podeszła do niego.

- Nawet mi ciebie trochę szkoda, Benny. - Popatrzyła mu w twarz. - W pewnych sprawach masz niezaprzeczalny talent. - Uśmiechnęła się na wspomnienie uniesień, których jej dostarczył. - Ale sam rozumiesz, nie mogę ci darować upokorzeń, jakie mi zgotowałeś na studiach. Nie byłabym sobą. Chłopcy dopilnują, żebyś się nie nudził. Pa, kochanie.

Pocałowała go w usta i wyszła na werandę, nie oglądając się za siebie. Usłyszała stłumione krzyki. Widać chłopcy już się wzięli do roboty.

Rozdział 10

Andrzej się nie śpieszył. Na szosie panował niewielki ruch. Każdy kierowca przy zdrowych zmysłach wybierał na podróże długodystansowe autostrady. Lokalnymi drogami poruszali się jedynie miejscowi, a tych wielu nie było. Jechali więc powoli, mając po obu stronach ścianę lasów. Typowo jesienne, wielokolorowe ubarwienie drzew cieszyło wzrok, szczególnie pasażerów jeepa.

Wyprzedziło ich czarne BMW na francuskich numerach rejestracyjnych i popędziło do przodu jak strzała. Sznajder pomyślał, że gówniarzom zawsze się śpieszy. Był pewny, że kierowca BMW nie przekroczył jeszcze „gówniarskiego” wieku. Ciekawe, że człowiek najczęściej mądrzeje znacznie później, niż przewiduje to limit wieku wyborczego w krajach europejskich.

Po kolejnych kilku minutach jazdy zupełnie pustą drogą Sznajder zaczął się zastanawiać. Niemalże zwierzęcy instynkt podpowiadał mu, że coś jest nie tak. Ten instynkt niejedną raz w przeszłości wyprowadził go z opresji, z których nikt inny nie uszedłby z życiem. Zlustrował otoczenie w monitorze kamery.

Nie wiedział i nie był już w stanie zobaczyć, że za łukiem drogi, który przejechali zaledwie kilka minut temu, budowlańcy zamknęli przejazd i wyznaczyli objazd. Poczuł jednak mrowienie na karku. Nie mylił się. Przed nimi widniał długi odcinek prostej jak strzała szosy. W oddali dało się zobaczyć coś na drodze. Coś, co mogło blokować dalszą podróż. Wykonał zbliżenie kamerą. W poprzek szosy stały dwie zwrócone do siebie przodem półciężarówki. Więc jednak. Więc już teraz.

Przez głowę przebiegła mu spontaniczna myśl: Może się zatrzymać, szybko zawrócić i skręcić w bok? Nie miał

jednak cienia wątpliwości. Z tyłu też będzie blokada.

Szybki rzut oka na nawigację wystarczył. Na tym odcinku nie ma żadnej polnej drogi, którą mogliby uciec. Jazda na przełaj przez las nie dawała właściwie żadnych szans. Drzewa rosły zbyt gęsto.

Sznajder mocno zwolnił. Od razu zauważyli to pasażerowie.

- Zatrzymujemy się? - spytał Janek.

Joanna nic nie mówiła. Ochroniarz miał wrażenie, że doskonale orientuje się w zaistniałej sytuacji. Był tego prawie pewny. Kobieta ścisnęła dysk jak najdroższy skarb. To też sygnalizowało kłopoty.

Powoli, ale systematycznie zbliżali się do blokady. Z tej odległości można już było rozpoznać ludzi. Dla wpraw nego oka nie było tajemnicą, że postacie ustawiały się na pozycje strzeleckie.

Andrzej jeszcze raz przyjrzał się okolicy przez monitor. Tym razem zagrożenia szukał wyżej i szybko je znalazł - dwóch snajperów ukrytych w gałęziach po obu stronach drogi. Mieli wykonać pierwsze uderzenie - w miarę możliwości wyeliminować kierowcę, zanim jeszcze samochód dotrze do blokady i będzie ewentualnie próbował ją staranować, choć i tak wiadomo było, że takie działanie nie ma prawa zakończyć się sukcesem. Lecz oznaczałoby to szkody w sprzęcie, które może były do uniknięcia.

- Zapnij pasy, braciszku - powiedział Sznajder przez zęby.

- Ty też, siostrzyczko. Mamy kłopoty.

Janek natychmiast włożył metalową klamrę w uchwyt. Joanna zapięła się znacznie wcześniej.

Sznajder z wprawą pianisty wbił kod na klawiaturze przed drążkiem skrzyni biegów. Kamera pokazała wysuwający się karabinek maszynowy. Kolejne przyciśnięcia namierzyły cel - snajpera po lewej. W tym samym momencie dwa pociski uderzyły w szybę na wysokości oczu kierowcy. Poza niewielkimi zarysowaniami

nie było widać żadnych uszkodzeń. Broń snajpera miała za mały kaliber.

- No to w imię Boże - powiedział ochroniarz głośno, z właściwą sobie nonszalancją.

Nacisnął czerwony przycisk i poszła seria pocisków. W monitorze na zbliżeniu zobaczył, jak głowa skupionego snajpera rozpryskuje się na strzępy, a bezwładne ciało spada z drzewa, łamiąc cieńsze gałęzie i obijając się o grube konary po drodze. W samochód uderzył kolejny pocisk karabinowy i mimo mniejszej odległości też nie wyrządził żadnej szkody.

Kolejna manipulacja na klawiaturze i druga seria, tym razem w prawo. Efekt okazał się identyczny jak poprzednio. Ludzka głowa na podobieństwo przestrelonego arbuza rozprysła się w powietrzu. Trup zanurkował w stronę ziemi.

Wydarzenia nie uszły uwadze ludzi przy blokadzie. Schowali się za samochodami z bronią wycelowaną w jeepa. Dwóch położyło się na ziemi kilka metrów dalej, po obu stronach drogi. Byli gotowi do otwarcia ognia. Nie ulegali emocjom. Czekali cierpliwie, aż cel się zbliży.

Andrzej zmarszczył brwi. Zdawał sobie sprawę, że ich bezpośrednie starcie nie dawało jemu i jego podopiecznym najmniejszych szans. Na pewno wróg wyposażony jest w broń ciężką, której nie oprą się nawet ich pancerne szyby. Zadawał sobie zresztą pytanie, dlaczego do tej pory nie uderzyli w nich z ręcznej wyrzutni. Przecież samochód stanowił teraz łatwy cel. Nie wiedział, że napastnicy mieli wyraźny rozkaz, by wziąć Joannę żywcem. Taki atak by to naturalnie wykluczał. Ostrzał na dalszą odległość z wielkokalibrowego karabinu z tych samych powodów również nie wchodził w grę.

Sznajder świetnie rozumiał, że tylko uderzenie wyprzedzające daje im jakąś realną szansę. Na szczęście miał do takowego niezbędne udogodnienia, o których przeciwnicy nie mogli wiedzieć. Przycisnął pedał gazu do oporu. Samochód skoczył przed siebie. Błyskawicznie

nabierał prędkości. Palce mężczyzny zatańczyły na klawiaturze. Wysunęły się obydwie rakiety. Bez chwili zwłoki ustawił jak najprecyzyjniej namiary celu. Uderzenia musiały nastąpić dokładnie w takich miejscach, w których spowodują odblokowanie drogi i jednocześnie doprowadzą do możliwie największych strat w ludziach.

- Sezamie, otwórz się - powiedział półgłosem.

Przyciśnięcie czerwonego guzika odblokowało wyrzutnie. Rakiety poszły. Przeciwnicy na widok niespodziewanego śmiertelnego zagrożenia zareagowali natychmiast. Zaczęli szukać schronienia. Zanim zdążyli paść na ziemię, blokadą wstrząsnęły dwie potężne eksplozje. Półciężarówki najpierw stanęły dęba, a potem przewróciły się na dach. Przejazd był wolny.

Trzech ludzi zostało zmiecionych falą uderzeniową wybuchu. Mało prawdopodobne, żeby przeżyli. Dwóch leżących i odpowiadających ogniem maszynowym Sznajder uciszył trzema krótkimi seriami. Prawdopodobieństwo trafienia zwiększała niewielka już w tym momencie odległość. Wrogi ostrzał umilkł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Bez przeszkód przejechali przez dymiącą, właściwie nieistniejącą już blokadę. Dosłownie kilka metrów za nią Sznajder gwałtownie zahamował. Chwycił pistolet maszynowy i wyskoczył z samochodu. Pobiegnął skulony w stronę przewróconych wozów. Ciała przeciwników leżały wokół bezwładnie. Starcie Dawida z Goliatem znowu zakończyło się wynikiem niespodziewanym przez tego drugiego.

Andrzej położył dłoń z pistoletem na ramieniu. Dla Janka był to sygnał, że jest bezpiecznie. Wybiegł z samochodu. Chwilę potem wysiadła Joanna. Ona też wiedziała, że zagrożenie minęło.

Zakonnik przykląkł przy jednym z ciał. Ray Harper - zaufany człowiek Lydii w Europie - zacharczał i kaszlnął.

Był ciężko ranny. Patrzył wzrokiem przepełnionym prośbą o pomoc.

- On jeszcze żyje! - wykrzyknął Janek.

Starał się usilnie przypomnieć sobie zasady udzielania pierwszej pomocy. Kurs przechodził lata temu i wiedza umknęła. Popatrzył z nadzieją na stojącego nad nim Sznajdera. Były żołnierz musiał wiedzieć, jak ratować rannych. Ku jego przerażeniu Andrzej uniósł karabin i wpakował serię w serce ciężko dyszącego mężczyzny.

- Już nie - padło cyniczne stwierdzenie i ochroniarz się oddalił.

Janek nie mógł uwierzyć własnym oczom. Był świadkiem morderstwa popełnionego z zimną krwią. Lata temu, pracując dla gangsterów, niejednokrotnie słyszał o tego rodzaju egzekucjach, ale nigdy nie widział żadnej na własne oczy. Był zszokowany. Patrzył za odchodzącym w stronę lasu ochroniarzem. Patrzył, jak ten wyciąga telefon komórkowy i rozmawia z kimś zupełnie normalnie, jakby nic się nie stało. Janka nie obchodziło, do kogo i po co mężczyzna dzwonił. Gapił się w jego plecy bezmyślnie. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami i próbował dojść do siebie. Wbrew przekonaniu Sznajdera, słusznemu czy nie, nie miał ducha przestępcy.

Joanna wzięła go za rękę i pomogła wstać.

- Ty widziałaś, co on zrobił?

Kobieta zbladła. Wyraźnie przygasła, lecz daleko jej było do emocjonalnego wybuchu, na którego granicy stał właśnie jej brat.

- Widziałam - powiedziała tak cicho, jakby słowa w tej chwili sprawiały jej dotkliwy fizyczny ból. - Chodź do samochodu.

Pozwolił jej się prowadzić.

Andrzej zajął miejsce kierowcy. Rzucił spojrzenie na ekran nawigacji i z piskiem opon wjechał w leśną, wyboistą drogę.

- Gdzie jedziemy? - spytała Joanna.

- Ta droga wychodzi na szosę po drugiej stronie lasu - odpowiedział sucho.

- Nie musiałeś zabijać tego rannego - odezwał się zakonnik. - Tak robili hitlerowcy.

Sznajder spotkał jego nienawistny wzrok w lusterku wstecznym.

- Posłuchaj, braciszku, płacą mi za to, żeby ratować wasze dupy z takich kłopotów. Zrobię to nawet wbrew tobie.

- Właśnie. Płacą ci za to - zauważył Janek pogardliwie. - Pewnie dużo.

W żołnierzu wezbrała fala złości. Joanna patrzyła przez okno na mijane drzewa. Nie chciała brać udziału w tej dyskusji.

- A ty w mafii to pewnie jako wolontariusz robiłeś, co? - powiedział kierowca, tłumiąc złość.

- Na pewno nie jako zwykły morderca.

Andrzej wziął trzy głębokie oddechy. Tu i teraz nie był mu potrzebny zażarty konflikt.

- Wyjaśnię to tylko raz - odezwał się spokojniejszym głosem. - Gdyby do tego twojego rannego dotarli jego towarzysze, powiedziałby im wszystko. Wygląd, samochód, uzbrojenie, wszystko. Najdalej za parę godzin czekałaby nas podobna niespodzianka i z niej żywi już byśmy nie wyszli. Nie chcę więcej słuchać twoich humanitarnych pierdół. Rozumiesz?

Do zakonnika dotarła żelazna logika słów ochroniarza. Spuścił wzrok i pokiwał głową.

- Myślisz, że już na nas nie napadną? - z nadzieją w głosie spytała cicho Joanna. - Dojedziemy w spokoju?

- Myślę, że zaatakują w najbardziej dogodnym dla siebie miejscu - odparł beznamiętnie. - To tylko kwestia czasu.

- I co wtedy?

- Pojedziemy przez Austrię. Prędzej czy później nas namierzą. Dopadną nas w górach, żebyśmy nie mogli uciec.

- I mówisz to tak spokojnie? - wtrącił się Janek. - Zamierzasz im ułatwić zadanie?

- Grywasz w szachy, braciszku?

- Co? Jakie szachy?

- Jest takie otwarcie. Nazywa się gambit. Poświęcasz figurę, czasem nawet kilka. Potem zyskujesz nad przeciwnikiem przewagę pozycyjną.

- Jezu, o czym ty gadasz? - jęknął Janek.

Sznajder się roześmiał.

- Nie jestem Jezusem, Jasiu - powiedział żołnierz pogodnie. - A przynajmniej nic o tym nie wiem.

Brat Serafin spojrzał na Joannę, nie rozumiejąc, o co Andrzejowi chodzi. Kobieta uśmiechnęła się smutno. Potrafiła rozpoznać lekki ton w obrazoburczej z pozoru wypowiedzi ochroniarza.



Lydia przeciągnęła się. Popatrzyła na tarczę zegarka. Była za piętnaście dwunasta. Jej ogromne, luksusowo urządzone mieszkanie na ostatnim piętrze kilkudziesięciometrowego apartamentowca było pełne słonecznego światła. Zsunęła z siebie cienką kołdrę. Wstała i przeciągnęła się jeszcze raz. Zawsze spała nago. Podeszła do lustra, będącego równocześnie drzwiami przesuwnej szafy. Przyjrzała się sobie krytycznie. Odwróciła się bokiem. Oględziny wypadły pomyślnie.

- Trzymasz formę, Lydia - powiedziała z uśmiechem do swojego odbicia. - Na razie, piękna.

Weszła do przestronnej łazienki wielkości pokoju gościnnego w niejednym mieszkaniu. Starannie dobrane wyposażenie sugerowało, że właściciel, a dokładnie mówiąc, właścicielka nie szczydziła pieniędzy na drobiazgi, które budowały atmosferę tego miejsca. I jednocześnie bez wątpienia kosztowały fortunę.

Odkręciła kurki z zimną i gorącą wodą. Gustowna wanna zaczęła się wypełniać. Przed lustrem nad umywalką kobieta dokonała skrupulatnej analizy twarzy. Stwierdziła z zadowoleniem, że nie ma śladów zmarszczek. Spięła włosy na czubku głowy i weszła do wanny. Ułożyła się wygodnie, sięgnęła po pilota. Ze starannie ukrytych głośników popłynęły dźwięki muzyki klasycznej. Uwielbiała te momenty, kiedy mogła błogo wylegiwać się w gorącej wodzie. Jedynym porównywalnym odczuciem, z wyjątkiem seksu oczywiście, był czas masażu, na który regularnie uczęszczała. Jej osobisty masażysta potrafił czynić cuda swoimi silnymi i jednocześnie delikatnymi dłońmi.

Nalała kilka kropel wonnych olejków do wody i przymknęła powieki. Zanosilo się na dłuższy czas spędzony w wannie.

Pachnąca i zrelaksowana opuściła łazienkę po grubo ponad godzinie. Nie mając nic na sobie, czuła się swobodna i wolna. Nieraz myślała, nie bez dreszczyku podniecenia, że bez najmniejszych problemów mogłaby zostać rasową naturystką.

Kiedy weszła do pokoju, telewizor grał. Nie przypominała sobie, żeby go włączała. Jej wzrok spoczął na ulubionym skórzanym fotelu. Był zajęty. Lucius Lagen taksował ją spojrzeniem, nie bez wyraźnej przyjemności. Wiele razy widział ją nago, lecz za każdym razem budziła w nim burzę pożądania.

- Jak zwykle oszałamiająco piękna - powiedział i uśmiechnął się nieszczercze.

Nie wstał i nie wziął jej w ramiona. Nie zanurzyli się w sobie, jak to wielokrotnie bywało w przeszłości. Siedział i patrzył. Kobieta poczuła niepokój. Już wcześniej zdarzały się jego niezapowiedziane wizyty, ale najczęściej bywało to wieczorami. Ale w środku dnia? Coś się musiało stać.

Sięgnęła po leżący na stole jedwabny szlafrok, żeby się okryć. Był szybszy. Chwycił materiał i przyciągnął do siebie. Nie przestawał się uśmiechać.

- Miło, że wpadłeś - powiedziała i przywołała na twarz czarujący uśmiech.

- Widzę, że jeszcze nie słyszałaś najnowszych wiadomości.

- Wiadomości?

Rozejrzała się po mieszkaniu w poszukiwaniu jakiegokolwiek garderoby. Nie było niczego pod ręką. Podeszła do szafy, odsunęła lustro i wyciągnęła pierwszą lepszą sukienkę w kolorowe kwiaty. Mężczyzna nie protestował. Od razu poczuła się pewniej.

- Akcja w Niemczech się nie udała.

- Co?

- Twój ludzie zrobili obławę, ale zostali wybici. Co do jednego. Było na CNN.

- Niemożliwe. Ray Harper to profesjonalista. Lata doświadczenia. Nie takie akcje organizuje. - Lydia nie mogła uwierzyć w słowa Luciusa.

- Raczej organizował. Niektórzy dziennikarze niemieccy spekulują, że akurat na nim dokonano egzekucji. Przeżył wybuch, a potem ktoś...

- Wybuch?

- No. Nie doceniłaś przeciwnika. Podobno miał sprzęt jak James Bond. Rakiety ziemia-ziemia.

Lydia usiadła na łóżku. Wiedziała, co to znaczy. Zawiodła. Popełniła błąd. Hartmann błędów nie wybacza. Miała tego próbkę w przypadku Eryka i jego nieszczęsnej przygody z owczarkami niemieckimi. Czyżby Richard Hartmann przysłał Luciusa, by ten ją ukarał?

- Wiem. Moja wina, ale...

- Podczas gdy ty zabawiałaś się w najlepsze ze swoim koleżką ze studiów, operacja waliła się jak domek z kart.

Zamilkł i obserwował kobietę. Bała się. To było widać. Miała powody, żeby się bać.

- Jestem gotowa ponieść konsekwencje - powiedziała, chociaż zdecydowanie gotowa nie była.

Podniosła hardo głowę i czekała na nieuniknione. Lucius pomyślał, że Hartmann nie mylił się co do niej. Twarda. Takich potrzebują.

- Lydia, przecież wiesz, jak bardzo cię cenimy, ja i Richard. Takie potknięcie w twoim wykonaniu - pokręcił głową - nas zasmuca. Richard mówił, że nigdy wcześniej go nie zawiodłaś. Mam nadzieję, że taka wpadka zdarza ci się ostatni raz. - W kobiecie zaświtała nadzieja. Może to jednak jeszcze nie jej koniec. - Prosimy cię, ja i Richard, następnym razem dopilnuj wszystkiego osobiście. Jestem pewny, że gdybyś była na miejscu, nie byłoby problemu.

- To znaczy...

- To znaczy, że trzeba doprowadzić sprawę do szczęśliwego końca. Zajmij się tym i zrób to. Potrzebujemy cię jeszcze gdzie indziej. Nie muszę się już martwić?

- Problem możesz uznać za załatwiony - odpowiedziała pewnie.

- I taką cię lubię. - Podeszedł do niej, ujął jej głowę w dłonie i pocałował namiętnie. - Będę z utęsknieniem czekał na twój powrót z Europy. Do zobaczenia, piękna.

Lucius zamknął za sobą cicho drzwi do apartamentu.

Lydia nie zamierzała tracić ani chwili. Wyciągnęła torbę podróżną. Podróż do Europy to ładne parę godzin, nawet prywatnym samolotem firmy. Nie było czasu do stracenia. Wrzuciła do torby trochę najpotrzebniejszych rzeczy. Resztę w razie czego kupi na miejscu. Wzięła telefon i wystukała na klawiaturze numer.

- Potrzebuję samolotu - powiedziała do słuchawki. - Nie, natychmiast.



Czas na komendzie policji w Rzeszowie płynął leniwie. Komisarz Dolny siedział przy swoim biurku z nogami na blacie i doczytywał gazetę. Przejrzał wiadomości gospodarcze i zagłębił się w artykułach omawiających

prawne aspekty życia w naszym kraju. Szukał nowinek i spraw, które mogły bezpośrednio dotyczyć jego pracy. Niewiele tego znalazł. Zaledwie jeden krótki artykuł na temat rozszerzenia kompetencji straży miejskiej.

Do pomieszczenia jak burza wpadł aspirant Grzonka. Bez pukania, bez słowa powitania, czyli w sposób, jakiego Dolny serdecznie nie znosił. Już miał, nie przebierając w słowach, przywołać niesfornego podwładnego do porządku, gdy ten ku jego zaskoczeniu rzucił na biurko jeden z polskich tabloidów. Młody mężczyzna był wyraźnie podekscytowany.

- Mamy go - wykrzyknął entuzjastycznie. - Przynajmniej ślad mamy.

- Co ty znowu kombinujesz, aspirant? - Komisarz zmarszczył brwi.

- Pan poczyta, komisarzu. Na czwartej stronie jest artykuł.

Dolny spojrzał podejrzliwie na szmatławca, bijącego po oczach sensacyjnymi zdjęciami celebrytów w najczęściej niedwuznacznych sytuacjach. Przeszedł na rzezoną stronę. Jego uwagę przykuły obrazy zniszczonych samochodów na szosie biegnącej przez gęsty las. Młody policjant postukał palcem w gazetę.

- Ten wypadek? - zdziwił się oficer.

- To nie wypadek. Właściwie wypadek, ale nie taki zwyczajny. Pan przeczyta tekst.

Dolny przebiegł wzrokiem pierwsze akapity. Wystarczyło. Podali przyczyny zdarzenia. Samochody zostały zniszczone dwoma eksplozjami. Znalaziono części, które mogły być fragmentami rakiet bojowych. Na karoseriach odnotowano wyraźne ślady ostrzału z broni palnej. Przy zabitych znaleziono broń maszynową.

- Ja pierdołę - skomentował artykuł komisarz.

- No właśnie - zgodził się aspirant. - Też tak myślę.

- Jak się uprzeć, to stamtąd do Grazu nie więcej niż parę godzin jazdy.

- Niby tak.

- Na jego miejscu nie przepuściłbym takiej okazji.
- Pewnie. Tylko czy facio o tej okazji wie.
- Puściłeś wici w środowisko, nie? Trochę pozytywnego myślenia, aspirant. A nuż się nam poszczęści.
- Niby tak. W coś trzeba wierzyć. - Grzegorz Grzonka daleki był od entuzjazmu. - Co robimy?
- Jedziemy, aspirant. - Dolny wstał zza biurka, złożył gazetę i podał ją podwładnemu. - Do Grazu jedziemy.

Na szerokiej szosie w kierunku Krakowa komisarz Dolny łamał wszelkie przepisy o ograniczeniu prędkości. Nowe wozy, w które zaopatrzone ich ostatnio, sprawiały się znakomicie. Obywatel, któremu przyszłoby do głowy próbować uciec policji, jadąc z prędkością powyżej dwustu kilometrów na godzinę, byłby niemile zaskoczony. Z pozoru zwykłe, średniej klasy samochody miały pod maską moc, jaka przeciętnemu użytkownikowi polskich dróg nawet się nie śniła.

W drodze do Austrii komisarz ewidentnie postanowił wykorzystać tę moc na tyle, na ile pozwalała trasa. Aspirant Grzonka jechał na fotelu pasażera z zapiętymi pasami, ale wcale nie czuł się przez to pewniej. Obserwując szybko uciekającą pod kołami powierzchnię drogi i wymijane w pędzie inne samochody, mimowolnie zaciskał palce na udach, ale starał się trzymać fason. Przywołał na twarz obojętną minę, by nie okazać zdenerwowania.

- Powinniśmy wyprzedzić tego Sznajdera co najmniej o jakąś godzinę - stwierdził niby mimochodem, próbując dodać sobie animuszu. - O ile w ogóle się zjawi.

- Coś mi mówi, że się spotkamy.

Komisarz ku wyraźnemu zadowoleniu podwładnego nie odrywał wzroku od drogi przed sobą. Przy takiej prędkości najmniejsza nieuwaga, ułamek sekundy, musiałyby doprowadzić do niechybnej katastrofy. Na szczęście z każdą chwilą aspirant dostrzegał coraz wyraźniej nieprzeciętne umiejętności przełożonego w prowadzeniu pojazdu.

- Prowadzi pan jak rajdowiec. Lata praktyki, co?

- Jak byłem w twoim wieku, to się trochę ścigałem.
- Wyczynowo?
- No.
- Jakieś sukcesy pan komisarz miał?
- Na początku same. Ale, niestety, za dobry byłem i trzeba było się pożegnać z rajdami.
- Jak to za dobry?
- Normalnie. Byłem najlepszy. Niestety, też lepszy od pewnego protegowanego przez wysokie kręgi rządowe. Jak go wystawili na prestiżowe międzynarodowe zawody, to się postawiłem. Próbowałem dymić. Myślałem, że sprawiedliwości się doczekam. I tak wylądowałem na jednym zadupiu pod Rzeszowem. W końcu ktoś się zlitował i mnie przenieśli do komendy miejskiej. Aż mi żeś się ty, aspirant, przytrafił.

Funkcjonariusz wolał nie pytać, czy to dobrze, czy akurat źle. Pracowali razem w sumie niedługo. Może jeszcze nie upłynął czas niezbędny do tego, by komisarz wyrobił sobie o nim dobre zdanie.

Dolny zwalniał jedynie na zakrętach, ale młody człowiek poczuł się pewniej. Rozluźnił dłonie, napięcie ciała powoli ustępowało.

- Jak facet rzeczywiście się zjawi, to przecież nie możemy go w Austrii zatrzymać - wyraził wątpliwość aspirant.

- Poprosimy austriackich kolegów o pomoc.

- Niby zgodzą się zgarnąć człowieka ot tak, bez powodu?

- Znajdzie się i powód. W razie czego nagada im się niestworzonych historii. Zrobi się z niego terrorystę albo co. Oni tam mają pierdolca na punkcie terrorystów. Zaufaj mi, młody.

Dojeżdżali do Krakowa. Zaraz zacznie się autostrada. Grzonka zastanawiał się, ile wyciągnie ich samochód. Bo to, że pojedą z prędkością maksymalną, nie ulegało najmniejszej wątpliwości.



Kiedy przekroczyli granicę niemiecko-austriacką, Sznajder odetchnął. Oznaczało to, że Niemcy nie wiedzieli, kogo szukać. Ewentualne blokady na drogach i sprawdzanie podejrzanych samochodów zaczęły się pewnie znacznie później i w miejscu, które oni już dawno zostawili za sobą. Fakt, gdyby trafili nawet na przypadkową kontrolę drogową, podczas której policjant okazałby się zbyt drobiazgowy i dostrzegł elementy wyposażenia dalece odbiegające od standardów, skutki mogłyby być opłakane. Nie wiadomo tylko, czy dla policjanta, czy dla Andrzeja i jego podopiecznych.

Jadąc przez Austrię, Andrzej wciąż rozważał za i przeciw swojego ewentualnego spotkania z byłą żoną oraz z synem. Biorąc pod uwagę jego ostatnie dokonania, a także problem, że w Europie ciężko mu będzie teraz znaleźć miejsce dla siebie, szansa zobaczenia syna mogła się już nigdy nie powtórzyć. Z drugiej strony z pewnością nieprzychylna reakcja jego eks i jej obecnego partnera życiowego (co do tego, że ktoś taki jest, znając Martę, nie miał wątpliwości) mogłaby okazać się dość kłopotliwa. Nie chciał przysparzać synowi niepotrzebnych stresów związanych z i tak nieciekawą przeszłością.

- Boisz się? - zaskoczyła go pytaniem Joanna.

Miał wrażenie, że kobieta dokładnie wie, co mu teraz w głowie kołacze.

- Czego mam się bać? - udał zdziwionego.

- Dobrze wiesz czego.

- Jeżeli już, to nie o siebie.

Dał za wygraną. Jej zdumiewająca przenikliwość i dar wglądu w ludzkie umysły powoli przestawały go dziwić. Widział już zresztą ostatnio tyle, że stan taki jak zdziwienie zaczął mu być całkiem obcy.

- Skoro tak mówisz...

Janek domyślał się, o czym rozmawiają, ale nie zamierzał się angażować. Odwrócił głowę w stronę okna i obserwował mijany świat.

- Siostrzyczko, o co ci chodzi? - W Sznajderze zaczynała wzbierać irytacja.

- O nic. - Wzruszyła swoimi drobnymi ramionami. - Ciekawe tylko, kiedy nadarzy ci się taka druga okazja, żeby zobaczyć syna.

- Na przykład jak odstawię was do Watykanu. Będę wolnym człowiekiem. Może wtedy, nie?

- Przy założeniu, że policja jest głupia, to tak. Jak najbardziej.

- Nie rozumiem cię, Aśka, śpieszysz się do Watykanu, żeby ci po drodze tyłka nie odstrzelili, a gadasz mi tak, jakby ci zależało, żebyśmy odwiedził swoją ekszonę.

- Twój syn cię potrzebuje, Andrzej.

- A jak Marty gach będzie mi chciał na dzień dobry po mordzie nawalić? Albo policję nam na głowę ściągnie?

- Nie przekonasz się, jak nie sprawdzisz - odparła bardzo spokojnie. Emocje mężczyzny nie udzielały jej się w najmniejszym stopniu. - Ale tak sobie myślę, że dla jedyne go syna warto zaryzykować. Ty nie?

Sznajder nie odpowiedział. Podjął decyzję. Wystukał na nawigacji kierunek. Do Grazu nie było daleko.

Dojechali w dwie godziny.

Joanna wskazała mu miejsce. Andrzej zaparkował w pobliżu sporego piętrowego domu, umiejscowionego w szeregu jemu podobnych wzdłuż niemal sterylnej utrzymanej, dość wąskiej ulicy. Od razu widać było, że jego żona ułożyła sobie życie z kimś zamożnym. W takiej dzielnicy biedaków się nie toleruje.

Wyłączył silnik, ale nie wysiadł z samochodu. Patrzył na posesję ze starannie przystrzyżonym trawnikiem i ustawionym pod płotem wielkim grillem. Na zewnątrz nie było nikogo. Jeszcze raz zastanowił się, co powie. Co powie Marcie, co powie synowi. Próbował przewidzieć ich reakcję na niego i swoją na to, co powiedzą jemu.

Otworzył drzwi.

- Zaczekaj, pójdę z tobą - zaoferowała się Joanna.

- Po co? - spytał, choć w duchu przyznał, że nie byłby to wcale taki zły pomysł.

- Przypilnuję, żebyś głupot nie narobił - odparła i nie czekając na aprobatę, wysiadła z samochodu.

- A ja? - przypomniał się zakonnik.

- Ty, braciszku, cierpliwie na nas poczekasz. Nie przydasz się tym razem.

Obdarzyła go czułym uśmiechem i zamknęła drzwi.

W tym samym momencie z domu wyszła kobieta. Szukała czegoś na trawniku. Znalazła i podniosła duży widelec do grilla. W pierwszej chwili nie zwróciła uwagi na parę idącą wzdłuż płotu. Dopiero gdy się zatrzymali przy ich bramce, odwróciła głowę i... Wypuściła widelec z ręki. Otworzyła szeroko oczy. Dzieliło ich zaledwie kilka metrów. Nie miała wątpliwości. Jej były mąż ją znalazł. Nie wróżyło to niczego dobrego, nawet po tylu latach. A już myślała, że wreszcie znalazła miejsce, gdzie będzie mogła wieść spokojne życie.

Teraz, kiedy już do niej dotarł, będzie mógł prawnie dochodzić możliwości spotkań z synem. Będą na siebie mniej lub bardziej skazani. A to oznaczało kłopoty. Szczególnie jeśli chodziło o jej nowego męża, Lothara Vogla, zakochanego w niej po uszy i niezmiennie o nią zazdrosnego.

Andrzej otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Joanna go ubiegła.

- Dzień dobry, pani Vogel. - Uśmiechnęła się przyjaźnie do gospodyni. - Może nam pani poświęcić chwilę?

Marta zmierzyła kobietę wzrokiem. Biła od niej szczerść, życzliwość i tak rzadko dzisiaj spotykane zwykłe ludzkie ciepło. Sprawiała, że człowiek nie miał oporów, by obdarzyć ją nieomal bezgranicznym zaufaniem. Co taka osoba tu robiła z jej byłym mężem?

Podeszła do furtki.

- Cześć, Marta - wydusił z siebie Andrzej i też spróbował się uśmiechnąć. Wyszedł grymas niepewności. - Ile to już lat?

Zignorowała jego pozdrowienie i zwróciła się do Joanny:

- Skąd pani wie, jak się teraz nazywam?

- Pracujemy z Andrzejem dla Kościoła katolickiego. Nietrudno było panią odnaleźć.

Andrzej rzucił Joannie ukradkowe pytające spojrzenie. Nie przyszło mu do głowy, że pewne rzeczy ustaliła jeszcze w Polsce.

- Dla Kościoła? - upewniła się Marta.

- Tak - potwierdziła Joanna. - Przewozimy pewną relikwię do Watykanu. Andrzej dba o nasze bezpieczeństwo.

Marta przeniosła wzrok na Sznajdera.

- To to on potrafi. Szkoda, że tylko to.

- Marta, proszę...

- Pani wygląda na bardzo porządną i dobrą osobę. Co pani robi z kimś takim jak mój były mąż? Jest pani pewna, że dobrze go pani zna?

Joanna westchnęła.

- Znacznie lepiej, niżby się mogło wydawać. Nie jest taki jak kiedyś. Życie go sporo nauczyło. Może mi pani wierzyć.

Kobieta jeszcze raz przyjrzała się krytycznie byłemu mężowi. Nie miała w sumie powodu, by nie wierzyć tej wzbudzającej jedynie pozytywne uczucia nieznajomej. Czy to możliwe, żeby Andrzej Sznajder, którego jedynym żywiołem była wojna, dostąpił jakiejś cudownej przemiany?

- Andrzej, ja nie chcę kłopotów - zwróciła się do niego prosząco. Nie chciała szafować groźbami jak przed laty. Miała dosyć utarczek. Chciała zwyczajnie świętego spokoju.
- Rozumiesz?

- Nie będzie żadnych kłopotów. Masz moje słowo.

- Twoje słowo? - spytała z powątpiewaniem.

- A jeżeli ja obiecuję? - wtrąciła się Joanna.

Marta otworzyła furtkę. Wpuściła ich na posesję.

- Marta, chciałbym tylko...

- Wiem, co byś chciał - przerwała mu. Spojrzała za siebie. W oknie mignęła twarz. - Zdajesz sobie sprawę z konsekwencji?

Na ganku pojawiły się dwie postacie. Mężczyzna w średnim wieku obejmował ramieniem nastolatka. Nastolatek wyswobodził się ruchem barków. Widać było, że nie w smak mu ten gest. Chłopak ruszył w kierunku matki. Mężczyzna postąpił zaraz za nim.

- Jeszcze się nie znacie - Marta zwróciła się do obecnego męża po niemiecku. Miała nieszczególnie pogodną minę. - To jest Andrzej Sznajder. A to Lothar Vogel, mój mąż.

Andrzej wyciągnął do Austriaka dłoń. Vogel uściśnął ją po dłuższej chwili wahania. Nie sądził, że taki dzień kiedykolwiek nastąpi. Nie był szczęśliwy z tego spotkania i nie zamierzał tego ukrywać.

Sznajder popatrzył na chłopaka - wysportowanego i pewnego siebie. Jego zawiadane spojrzenie przypominało ojca, czym zresztą martwił matkę. Ostre, regularne rysy twarzy, długie włosy opadające na kark, przedziałek na środku głowy - nietrudno było się domyślić, że fizjonomia młodzieńca była powodem tęsknych spojrzeń i rozterek niejednego nastoletniego niewieściego serca.

Andrzej Sznajder zrobił krok w kierunku chłopaka, który odważnie patrzył mu prosto w oczy, lecz jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Synku... pamiętasz...? - głos Andrzejowi się łamał.

Chłopak wyciągnął do niego rękę.

- Cześć, tato.

Jarek uśmiechnął się szczerze. Wyglądało na to, że młody człowiek cieszy się z tego spotkania. Nieoczekiwana pomoc ze strony syna w przełamaniu pierwszych lodów sprawiła, że ojciec porwał go w ramiona i uściśnął serdecznie, z całej siły.

Lothar Vogel obejmował Martę czule. Ewidentnie manifestował, że należy ona teraz do niego. Jednocześnie nie ukrywał swojego sceptycznego podejścia do tych rodzinnych uniesień. Po jego minie można było sądzić, że jest wysoce niezadowolony z tej niezapowiedzianej wizyty. Nie znał polskiego i nie rozumiał rozmowy między obcymi a

Martą. Mógł się tylko domyślać, o co chodzi, i bynajmniej nie cieszył się z widoku byłego męża swojej kobiety.

- Jakiś problem? - zwrócił się do niej po niemiecku, nie spuszczać wzroku z Joanny i Andrzeja. - Zadzwoń gdzie trzeba?

- W porządku, kochanie - uspokoiła go żona. - Nic się nie dzieje.

- Jarek - Lothar zwrócił się do Janka, twardo akcentując słowiańskie imię - możemy zamienić słówko?

Chłopak wcisnął ręce do kieszeni spodni i rzucił ojczymowi buntownicze spojrzenie. Matka położyła mu rękę na ramieniu.

- Proszę - szepnęła.

Bardzo jej zależało na przynajmniej poprawnych relacjach syna z Lotharem, co akurat ostatnio wymagało szczególnych starań. Jarek poszedł za ojczymem w stronę domu.

- Coś nie bardzo między nimi... - zauważył Sznajder.

- Jarek pobił dwóch kolegów w szkole - stwierdziła Marta, odprowadzając ich wzrokiem. - Lothar mocno się napracował, żeby go nie wyrzucili.

- Sam dwóch?

- Dumny jesteś? - spytała z przekąsem. - Twoja krew.

- Musiał mieć powód.

- Jarek twierdzi, że miał, bo powiedzieli, że Polacy to idioci. Bo w drugiej wojnie światowej polscy ułani rzucali się z szablami na niemieckie czołgi. Niezły powód do bójki, co?

Andrzej powstrzymał uśmiech. Cudem zmusił się do przywołania poważnej miny. Widział, jak Jarek rozmawia z Lotharem.

- Nie wie, że trzeba jakoś argumentować, a nie od razu bić...?

- Uważasz, że mu nie mówiłam?

- I co on na to?

- Że trzeba im było ręcznie wytłumaczyć. Bo, cytuję: „Te szwabskie łby niewiele rozumieją”. - Marta pokręciła z rozpaczą głową.

- Chyba austriackie.

- Dla niego to żadna różnica. - Westchnęła ciężko. - No ale skoro już się pojawiłeś w jego życiu, to pomożesz mi go ucywilizować, mam nadzieję.

Popatrzył jej głęboko w oczy.

- To mój syn. Zrobię dla niego wszystko.

- Cokolwiek to znaczy.

- Rozumiem, że Jarek ma problemy w szkole?

- Nic podobnego. Wręcz przeciwnie. Jest wybitnie inteligentny, wszechstronnie uzdolniony. W nauce mało kto mu dorównuje.

- No proszę. - Ojciec przyjął tę informację z autentycznym uznaniem. - Powinnaś się cieszyć.

- Cieszę się. Ale interesują go również sztuki walki i militaria. To ma po tobie, niestety.

- Dlaczego „niestety”?

- Bo nie chcę, żeby moje dziecko było kiedykolwiek takie jak ty. Mam nadzieję, że się rozumiemy.

- Aż za bardzo - stwierdził Andrzej ponuro. - Pozwolisz mi go widywać?

- Zdaje się, że nie mam wyboru. Teraz, kiedy nas znalazłeś... Nie chcę już więcej uciekać. Ale pamiętaj, jak będziesz próbował sprowadzić go na złą drogę, wydrapię ci oczy. Jasne?

- Całkowicie.

Marta zwróciła się do Joanny:

- Proszę o mnie źle nie myśleć. Nie jestem złym człowiekiem. Ale znam Andrzeja bardzo dobrze. Wiem, do czego jest zdolny. Chciałabym wierzyć, że naprawdę się zmienił. Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę.

- Pan Bóg dociera do człowieka czasem w zadziwiający sposób - stwierdziła Joanna filozoficznie. - Andrzej się

zmienił. I zmieni się jeszcze bardziej. Na korzyść. Myślę, że już niedługo się pani o tym przekona.

- Wy z Andrzejem to... - próbowała znaleźć właściwe słowa.

- Nie jesteśmy parą. - Joanna natychmiast domyśliła się, o co Marcie chodzi. - Chroni mnie. I może się pani zdziwi, ale nie żałuję, że to akurat on.

Sznajderowi ciepło się zrobiło na sercu. Nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś się o nim pozytywnie wyrażał. Chyba tylko w ramach pochwały za dobrze przeprowadzoną akcję i wybitych do nogi wrogów. Tymczasem Jarek i Lothar weszli do domu.

- Oby się pani nie myliła - powiedziała Marta smutno. - Idźcie już.

- Wrócę - głos Sznajdera brzmiał bardzo stanowczo.

- Wiem - odparła jego eks. - Jarek będzie na ciebie czekał.

Kiedy opuszczali posesję i szli w stronę samochodu, na twarzy obserwującego ich z pewnej odległości komisarza Dolnego pojawił się uśmiech satysfakcji. Tym razem szczęście naprawdę im dopisało.

- Nie doceniałeś środowiska, aspirant - zwrócił się do pasażera. - Jakimś cudem dali mu cynk.

- No właśnie. Jakimś cudem. Sznajder to samotnik. Jak go złapali?

Grzonka nie mógł się nadziwić. Rzeczywiście szczęście im sprzyjało. Pytanie tylko, jak długo.

Patrzyli, jak Andrzej z Joanną wsiadają do samochodu i odjeżdżają drogą wylotową z miasta. Dolny zapalił silnik. Ruszyli powoli za jeepem, zachowując odległość niewzbudzającą podejrzeń.

- Coś nie widać tych austriackich gliniarzy.

Komisarz spojrzął za siebie. Według zapewnień udzielonych mu przez telefon lada chwila powinien pojawić się patrol. Jechali za jeepem kolejne kilometry, a patrolu nie było. Całe szczęście, że droga wylotowa z peryferii miasta

była prosta. Ryzyko, że zgubią śledzony wóz, stało się dzięki temu znacznie mniejsze. Na drodze panował umiarkowany ruch. Nie rzucali się w oczy w swoim samochodzie.

Minęli roгатki miasta. Droga zaczęła prowadzić przez las. Ruch z umiarkowanego zrobił się niewielki. Ściemniało się. Zmierzch im sprzyjał. Trudniej będzie zorientować się ludziom w jeepie, że ktoś za nimi od dłuższego czasu jedzie.

Dolny zaczął się niepokoić.

- Młody, zadzwoń jeszcze raz - rzucił do aspiranta. - Coś im nie wychodzi z tym patrolem.

Grzegorz Grzonka wystukał numer na swojej komórce.

- Wyjeżdżamy właśnie z miasta - powiedział do mikrofonu. - Nie ma waszego patrolu. - Słuchał wyjaśnień przez dłuższą chwilę. - Dobra, czekamy. - Aspirant zakończył połączenie. - Mówią, że wysłali trzech ludzi już jakiś czas temu. Powinni dawno być. Sprawdź.

- Cholera by ich wzięła - zdenerwował się komisarz. - Sami nic nie zrobimy.

Wydawać by się mogło, że słowa policjanta okazały się magicznym zaklęciem. Z lewej strony minęły ich szybko trzy motocykle z funkcjonariuszami austriackiej policji drogowej i pognały w kierunku śledzonego pojazdu. Chwilę potem dwa z nich zajęły mu drogę, a trzeci zrównał się z samochodem i sygnalizował, by auto się zatrzymało. Jeep zwalniał. Janusz Dolny uśmiechnął się tryumfalnie.

- To ich, kurwa, mamy.

Sznajder przyhamował. Prędkość powoli, ale systematycznie się zmniejszała. Spojrzał w bok, na machającego policjanta, i kiwnął głową, że rozumie.

- Co robimy? - spytał Janek wyraźnie zaniepokojony.

- Stajemy, braciszku, stajemy - odparł ochroniarz najzupełniej spokojnie.

Zjechali na pobocze i zatrzymali się. Policjanci zsiadli z motorów. Jeden podszedł do kierowcy, a dwaj przyglądali się pojazdowi z zainteresowaniem.

- Policja drogowa - powiedział funkcjonariusz po niemiecku. - Proszę przygotować dokumenty i wysiąść z pojazdu.

Andrzej wyciągnął papier i otworzył drzwi. Postawił nogę na ziemi i wtedy poczuł wibracje pilota w kieszeni. Spojrzał na Joannę. W dłoni miała sygnalizator niebezpieczeństwa, który dał jej i zakonnikowi jeszcze w Polsce. Przyciskała guzik alarmowy miarowo. Zmrużył oczy i skrzywił się. Pistolet został w schowku. Postanowił nie wracać po niego, by nie wzbudzać w policjantach podejrzeń. W razie czego będzie musiał sobie jakoś poradzić. Nie z takich opresji się wychodziło.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, zobaczył, że kilkanaście metrów za nimi zatrzymał się samochód. Jaskrawe światła utrudniały rozpoznanie numerów rejestracyjnych, ale Sznajder miał dziwne wrażenie, że nie są austriackie. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn i zbliżało się szybkim krokiem.

Policjant wziął od ochroniarza dokumenty, rzucił na nie okiem i bez słowa ostrzeżenia wyciągnął pistolet. Przyłożył Polakowi lufę do głowy. Szarpnięciem obrócił go i pobieżnie przeszukał. Nie znalazł broni. Andrzej stał spokojnie, czując metal przy skroni. Podniósł ręce na wysokość głowy, tak że wierzchem prawej dłoni niemal dotykał broni policjanta. Usłyszał, jak nadchodzący młodszy mężczyzna zwraca się do starszego po polsku:

- Sprawili się nasi austriaccy koledzy, co, panie komisarzu?

- Nie najgorzej - odparł zagadnięty.

- Panowie - zwrócił się młody do Austriaków - dobra robo...

Aspirantowi Grzegorzowi Grzonce nie dane było dokończyć zdania. Jeden z dwóch policjantów stojących za kontrolującym Sznajdera kolegą wymierzył i strzelił młodemu polskiemu funkcjonariuszowi w głowę. Komisarza Dolnego sparaliżowało. Nie miał broni. Jednak strzał ten

stanowił niejako sygnał do działania dla Andrzeja. W ułamku sekundy odwrócił dłoń i złapał grzbiet wycelowanego w niego pistoletu, a następnie odwrócił go w przeciwną stronę. Zaskoczony policjant mógł jedynie odruchowo nacisnąć spust, na co Polak zresztą liczył. Huk wystrzału i pocisk trafiający w pierś policjanta, który przed momentem zastrzelił Grzonkę. Mężczyzna upadł na plecy.

Tymczasem Andrzej bez trudu wyrwał Austriakowi broń, precyzyjnym ruchem doskonalonym podczas wielokrotnych ćwiczeń wojskowych wzorowanych na systemie szkoleń izraelskich komandosów. Lewym łokciem wyrznął policjanta w twarz, na moment pozbawiając go chęci do jakiegokolwiek reakcji. Ten moment wystarczył, by zająć się trzecim Austriakiem, dobywającym swojej broni. Dwa strzały, jeden w korpus, drugi w głowę, zlikwidowały zagrożenie. Kiedy pierwszy policjant oprzytomniał po potężnym uderzeniu, było już dla niego za późno. Pocisk z jego własnego pistoletu, wystrzelony ręką wroga, roztrzaskał mu czaszkę. Padł, rozbryzgując wokół siebie krew, która w zapadającym zmierzchu niczym nie odróżniała się od podłoża.

Cała akcja trwała nie dłużej niż dwie, trzy sekundy. Janusz Dolny zdołał się w międzyczasie opanować i rzucił się po broń zabójcy jego podwładnego. Nie zdążył jej złapać. Spokojne, wypowiedziane po polsku słowa osadziły go w miejscu.

- Nie rób tego, kolego. - Sznajder celował w komisarza. Nie było cienia wątpliwości, że w razie czego nie chybi. Dolny podniósł się z klęczek. Stał przed Sznajderem z uniesionymi rękami. - Ktoś ty?

- Komisarz Janusz Dolny. Komenda policji w Rzeszowie.

- Co tu robisz?

- Szukam cię. - Dolny nie zamierzał bawić się w niedomówienia. - Jesteś podejrzany o zabójstwo.

- Nie wiesz, z czym masz do czynienia.

Spokojny głos Sznajdera przerażał.

- Nie obchodzi mnie to. Jestem policjantem, ty przestępcą. Możesz mnie zastrzelić. Po mnie przyjdzie ktoś inny. W końcu cię dopadną.

Mijały sekundy, a śmiertelny strzał nie padał.

- Nie zabijaj go. - Dolny odwrócił głowę w stronę kobiecego głosu. - Wystarczy.

- Co mam z nim zrobić?

Joanna podeszła i podała mu samochodową apteczkę. Skinął głową.

- Mam skończyć jak mój człowiek i ci policjanci? - Dolny nie okazywał strachu. - Co to wam da?

- To nie byli policjanci, komisarzu. Patrol wysłany po nas został wymordowany kilka kilometrów stąd. Ci ludzie tutaj to wynajęci zabójcy. Andrzej Sznajder nas bronił.

- Nas?

- Mnie i mojego brata. Właściwie pan też zawdzięcza mu życie. Gdyby im się udało - wskazała wzrokiem martwych Austriaków - skończyłby pan jak aspirant Grzonka.

- Skąd pani wie, jak się nazywa...? - spytał policjant. - Znała go pani?

- Nazywał - poprawiła go. - Nigdy go nie znałam. A skąd wiem? I tak by pan nie uwierzył.

Nie czekała na dalsze pytania. Odeszła i wsiadła do samochodu.

- To twój szczęśliwy dzień, komisarzu. - Andrzej schował pistolet. - Ruszaj.

Ruchem głowy wskazał las. Dolny zauważył, że Sznajder niniejszym się rozbroił.

- Nie boisz się, że cię obezwładnię?

Ochroniarz roześmiał się szczerze.

- Przeceniasz się, glino. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Kiedy byli w lesie, Dolny poczuł uderzenie w głowę. Stracił przytomność. Andrzej obszukał komisarza. Zabrał mu dokumenty tożsamości, w tym legitymację policyjną. Potem wyjął z apteczki strzykawkę. Nałożył igłę. Naciągnął

płyn ze szklanej fiolki i wstrzyknął w żyłę mężczyzny. Spojrzał z góry na leżącego.

- Jak się obudzisz, bracie - powiedział głośno do nieprzytomnego - niewiele będziesz pamiętał. Głupia sprawa, co?

Zanim wrócił do samochodu, zaciągnął ciała głęboko na pobocze, do niewielkiego rowu oddzielającego szosę od lasu. Potem wsiadł i zapuścił silnik.

- Ty, siostrzyczka, skąd znałaś tego młodego glinę?

- Nie znałam.

- Przecież wiedziałaś, jak się nazywa.

- I tak byś nie uwierzył. - Spojrzała przed siebie. - Jedź.

- Posłuchaj, nie traktuj...

- Proszę - powiedziała łagodnie, ale w jej głosie dało się wyczuć perswazję. Wyjechał na asfalt i szybko nabral prędkości.

Rozdział 11

Wiedeń, Austria

Lydia siedziała przy stoliku w hotelowej restauracji. Mimo późnej pory sala bynajmniej nie była pusta. Obserwowała obecnych w niej ludzi. Wszyscy bez wyjątku jakby się umówili, żeby manifestować przynależność do wyższych, zamożnych sfer, zarówno ubiorem, nonszalanckim zachowaniem, jak i zamawianymi potrawami i winami. Właściwie trudno się dziwić. Na wiadomości od swoich ludzi czekała w najdroższym hotelu Wiednia. Nigdy nie odmawiała sobie luksusów. Czuła się rozluźniona i odprężona po wspaniałym masażu, którego zażyła zaledwie godzinę temu.

Odezwał się dyskretny sygnał jej komórki. Odebrała.

- Mów - powiedziała.

- Nie mamy potwierdzenia - usłyszała.

- Sprawdziłeś?

- Nie mamy potwierdzenia. Nie ma kontaktu z ludźmi.

- Jak to nie ma kontaktu?! - podniosła głos, co nie uszło uwadze siedzących najbliżej niej gości restauracji, ale mało ją to obchodziło.

- Może są w trakcie wykonywania zlecenia, a może...

- Co „może”? - przerwała mu.

- Może już po wszystkim.

- To znaczy?

- To znaczy, że trzeba przejść do planu B. Trzeba rozwiązać problem ostatecznie.

- Gdzie i kiedy?

- Słowenia, jeszcze dziś w nocy.

- Skąd wiesz, że uda ci się ich namierzyć?

- To akurat będzie najmniejszy problem.

- Oby - powiedziała sceptycznie. - Chcę mieć plan akcji.
- Już masz w mejlu.
- Odezwę się.

Złożyła komórkę i schowała do torebki. Skinęła na kelnerkę. Młoda dziewczyna podeszła ze służbowym uśmiechem na twarzy.

- Czym mogę jeszcze służyć?
 - Rachunkiem - powiedziała Lydia szorstko.
- Dziewczynie uśmiech zniknął bez śladu.



Sznajder przyhamował gwałtownie. Kiedy minęli zakręt, zobaczył przy drodze niewielką stację benzynową. Zjechał. Było pusto. Nocą na odludziu nie należało liczyć na duży ruch. Podjechał do jednego z trzech dystrybutorów i zgasił silnik.

Janek otworzył drzwi.

- Siedź w środku - warknął ochroniarz.

Nie musiał powtarzać polecenia. Zakonnik posłusznie zatrzaskał drzwi.

- Na pewno mądrze zatrzymywać się tutaj po benzynę? W baku jeszcze chyba sporo mamy - wyraził wątpliwość. - Przecież tylko parę kilometrów za nami... no wiesz, o czym mówię.

- Właśnie dlatego.
- Właśnie dlaczego? Kamery pewnie tu też mają.
- Pewnie mają.
- Policja sprawdzi nagranie.

- Z tym że do tego czasu będziemy już daleko, bo pełny bak nabierzemy teraz - zauważył Andrzej. - Nasz rodak komisarz w końcu też się obudzi. Najpóźniej za jakieś dwadzieścia cztery godziny będziemy bardzo sławni. Przynajmniej na policji. Do tego czasu musimy przeskoczyć Słowenię. We Włoszech z ich makaroniarskim bałaganem

mamy wszelkie szanse, żeby znaleźć się w Watykanie bez większych problemów. Przekonany?

- Przekonany - przyznał Janek.

Uznał, że Sznajder zwyczajnie mógł mieć rację.

Nikt z obsługi nie pofatygował się, żeby do nich podejść. Nocna pora nie zachęcała do wychodzenia z bezpiecznych pomieszczeń i udzielania pomocy klientowi, który mógł się okazać nieobliczalnym przestępcą. Sznajder musiał sobie radzić sam, co w ich sytuacji było jak najbardziej pożądane.

Napełnił bak i zakręcił korek. W budynku zabawił chwilę, płacąc gotówką. Wychodząc, schował resztę do kieszeni. Przed samochodem pojawił się niski, brudny człowieczek z długą brodą i czapką bejsbolówką na kudłatej, posiwiałej czuprynie. W rękę trzymał foliową, podniszczoną reklamówkę ze znaną tylko jemu samemu nędzną zawartością. Wyglądał na bezdomnego i śmierdział adekwatnie.

Menel ukłonił się nisko, z przymilnym uśmiechem na ustach.

- Bardzo szanowny pan przepraszam - powiedział łamaną niemczyzną - ale czy pan mógł dać mi trochę drobne na jedzenie? Ja jest biedny i nic dzisiaj nie jadł. Bardzo szanowny pan proszę.

Sznajder spojrzał na niego z pogardą.

- *Fuck off* - odpowiedział mu słowami, które człowiek musiał zrozumieć.

Uśmiech menela nie zniknął, zmienił tylko wyraz. Człowiek uśmiechał się smutno, jakby przez łzy, najwidoczniej wciąż mając nadzieję, że właściciel tego pięknego samochodu ulituje się nad nim i nie poskąpi kilku monet, które pozwolą przeżyć jakoś kolejny dzień.

Sznajder najwyraźniej nie miał w planach spełniania tych nadziei. Otworzył drzwi kierowcy, ale nie zdążył wsiąść do samochodu. Powstrzymał go ostry głos Joanny.

- Daj mu pieniądze. - Kobieta stała już po drugiej stronie auta. - Przecież masz drobne.

- Że co? - Sznajder był bardziej zdumiony niż poirytowany.

- No daj. Widzisz, że jest biedny.

Ochroniarz odwrócił głowę i jeszcze raz spojrzął na przyglądającego im się człowieczka. Mizerny uśmiezek wciąż był obecny na zarośniętej twarzy.

- Niby czemu miałbym cię posłuchać? To menel jest.

- To człowiek - poprawiła go. - Kto wie czy w duszy nie lepszy od ciebie.

- Przeginasz, siostrzyczko.

- Jakbym miała pieniądze, sama bym mu dała. Nie mam, dlatego ciebie proszę.

- Tak? Dam mu parę euro, pójdzie i się nachleje. Szczęśliwa będziesz?

- Tego nie wiesz.

- A ty wiesz? - Zaczynała w nim wzbierać złość. - Jak wiesz, oświeć mnie.

- To Albańczyk. Przyjechał tu zarobić. W Albanii ma rodzinę, żonę i dwójkę dzieci. Mają długi. Chciał zdobyć pieniądze. Na samym początku okradli go ze wszystkiego, co przywiózł na start. Zabrali paszport. Wstydzi się wracać do kraju. Zresztą i tak nie miałby za co.

Sznajder był zdumiony tylko przez chwilę. Zdążył się już przyzwyczać do tego rodzaju wyczynów swojej dziwnej współpasażerki.

Podszedł do Albańczyka. W sumie wręczył mu trzydzieści dwa euro. Zostawił sobie pięćdziesiątkę. Żebrak nie posiadał się z radości. Ukłonom i podziękowaniom nie było końca.

- Posłuchaj - Andrzej zwrócił się do niego po niemiecku - jak przepijesz te pieniądze, to dowiem się tego, wrócę i wypruję ci flaki. Rozumiesz?

Przeszczęśliwy człowieczek pokiwał skwapliwie głową. Nie było pewności, czy zrozumiał, ale w tej chwili zgodziłby się na wszystko.

- Zadowolona? - Spojrzął na Joannę.

- Dumna.
- Co?
- Z siebie.

Uśmiechnęła się i wsiadła do samochodu. Wyjechali ze stacji, zostawiając za sobą Albańczyka wpatrującego się w banknoty i monety, ciągle niewierzącego w swoje szczęście.

Dalsza podróż przebiegała w milczeniu aż do momentu, gdy Sznajder głębiej zastanowił się nad wydarzeniem ze stacji benzynowej. Miał przed oczami obraz menela i zdał sobie sprawę z pewnego niezaprzecznego faktu. Człowiek ten pomimo skrywającego jego fizjonomię gęstego zarostu miał twarz mieszkańca centralnej, może nawet północnej Europy. Trudno się było w nim doszukać typowych cech ludów bałkańskich. Jasne oczy, łagodne rysy twarzy.

- Ty, siostrzyczka - zapytał szybko - ten menel ze stacji to nie wyglądał na Albańczyka.

- Nie? - Joanna zrobiła niewinną minę.

- Za cholere. Coś ci się czasem nie pomyliło?

- Nie wiem. Może - odparła bez emocji.

- Jak to nie wiesz? - zachnął się ochroniarz. - Przecież mówiłaś, że rodzinę w Albanii zostawił i w ogóle... Musisz wiedzieć.

- Pierwszy raz go na oczy widziałam - powiedziała, wzruszając ramionami. Janek uśmiechnął się na te słowa. Sznajder zgłupiał. Joanna z trudem starała się utrzymać powagę. Tymczasem jej brat roześmiał się w głos. Sam Sznajder też zdążył się już domyślić, że padł ofiarą swojej naiwności.

- Czyli zrobiłaś mnie w capa, siostrzyczko?

- Oj, daj spokój, Andrzej - broniła się kobieta. - Jakbym ci tego nie naopowiadała, to grosza byś mu nie dał. A to był naprawdę biedny człowiek.

- Na ponad trzydzieści euro... - Sznajder zdecydowanie nie przyjmował jej argumentacji.

- Tobie nie ubędzie, a widziałeś, jak on się cieszył? To był dla niego majątek.

- Widzę raczej, jak ten twój klecha się cieszy.

Zakonnik wniebowzięty chichotał bez opamiętania. Joanna przerobiła starego wyjadacza jak dziecko.

Przez pierwsze chwile Andrzej naprawdę był mocno poirytowany.

- Nie bądź zły - próbowała go ułagodzić dziewczyna. - Zrobiłeś dobry uczynek.

Po tych słowach coś w nim pękło. Złagodniał. Sam zaczął dostrzegać humor całej sytuacji. Na jego napiętej twarzy pojawił się uśmiech. Pokręcił głową.

- Wiecie co, katole? Dowiozę was do Watykanu, a potem osobiście na do widzenia tyłki wam skopię. - Joanna roześmiała się. - Nie ciesz się, siostrzyczka, tobie też. Jak Bóg na niebie.

- Nie mogę się doczekać. - Złożyła dłonie jak do modlitwy.



Granicę ze Słowenią przekroczyli w nocy. Sznajder po drodze zatrzymał się i zmasał farbę, której Janek użył do zakamuflowania właściwych numerów. Tablica była oryginalna i nie wzbudzała podejrzeń. Dalsza podróż przebiegała bez zakłóceń. Janek i Joanna przysypiali mimo emocji i napięcia spowodowanego wydarzeniami sprzed kilku godzin. Andrzej znalazł zatoczkę parkingową w górach. Postanowił też złapać trochę snu. Zatrzymał samochód, zamknął wszystkie drzwi i ułożył się wygodnie. Do świtu było jeszcze trochę czasu.

Obudziło go wstające słońce. W świetle dnia zobaczył piękny widok roztaczający się po lewej stronie. Byli na wysokości co najmniej kilkuset metrów nad poziomem morza. Wokół wznosiły się zielone wzgórza poprzecinane głębokimi dolinami. Panorama wzbudzała zachwyt.

Na podziwianie piękna przyrody nie było jednak czasu. Jeep rozpoczął wspinaczkę po stromej, górzystej szosie. Joanna i jej brat wciąż pogrążeni byli we śnie.

Jechali dobrą godzinę, gdy jako pierwszy obudził się Janek. Spojrzał w okno. Nie mógł się oprzeć, by nie podziwiać zachwycających widoków. Droga akurat prowadziła w dół. Stała się szersza i wygodniejsza. Zakonnik się obejrzał. Za nimi w pewnej odległości jechał czarny minibus z przyciemnianymi szybami.

- Daleko do Włoch? - spytał Sznajdera.

- Niedługo wjedziemy.

- Chyba nic nam już nie grozi? - spytał Janek z nadzieją. - Nie w Słowenii...

- Tutaj ciężko coś zmontować. Sterylny kraj. Dla nas to akurat dobrze.

Zakonnika wyraźnie uspokoiły słowa Andrzeja. Położył głowę na fotelu. Joanna wciąż spała. Jej miarowy oddech sprawiał, że napięcie psychiczne zakonnika słabło. Wreszcie zaczął czuć się bezpiecznie.

Kolejne pół godziny upłynęło w milczeniu. Przemierzali słoweńskie góry, pędząc gładkimi drogami, z każdą chwilą zbliżając się do granicy Włoch. We Włoszech będzie inaczej. Autostrada prosto do Rzymu, duży ruch, ulice pełne ludzi. To wszystko będzie działało na ich korzyść. Możliwości zorganizowania kolejnego zamachu będą bardzo ograniczone.

W pewnej chwili uwagę zakonnika zwrócił fakt, że Sznajder coraz częściej zerka we wsteczne lustro. Sam też spojrzął za siebie. W odległości kilkudziesięciu metrów jechał za nimi czarny minibus. Ten sam, który widział jakiś czas temu.

- Ten czarny wóz jedzie za nami od co najmniej pół godziny albo i dłużej - poinformował ochroniarza.

- Co ty powiesz.

- Nie martwi cię to?

- Nerwowy jesteś, Jasiu.

- Nie uważasz, że mam powody?

- Zrelaksuj się, braciszku. Bez paniki. Wszystko jest pod kontrolą.

Janek jeszcze raz się obejrzał. Czarny samochód mimo kilku rozgałęzień szosy wciąż podążał ich śladem. Co jakiś czas dawał się wyprzedzać innym, szybszym pojazdom i niezmiennie znajdował się za nimi. Czasem bliżej, czasem dalej, lecz wciąż widoczny.

Joanna obudziła się. Od razu przytomnie rozejrzała się wokół. Spojrzała również za siebie, jakby słyszała słowa brata. Nic nie powiedziała. Nie wyglądało na to, żeby zaniepokoił ją widok czarnego samochodu.

- Jedźcie za nami od ponad pół godziny - poinformował ją Janek.

Ścisnęła go za rękę. Popatrzyła mu w oczy.

- Mówiłam ci już, że cieszę się, że cię mam? - spytała poważnie.

- Parę razy, a co?

Andrzej obserwował rodzinne wyznania w niezawodnym lusterku wstecznym. Uśmiechał się pod nosem.

- Dajcie spokój, bo się rozplączę - powiedział, nie odwracając do nich głowy.

Janek rzucił mu piorunujące spojrzenie. Nie znosił tych jego docinków, serwowanych w najmniej odpowiednich chwilach. Zaciął usta, lecz nie dał się sprowokować.

Zjechali z głównej drogi. Zakonnik jeszcze raz spojrzał przez tylną szybę. Czarny minibus skręcił również. Cały czas zachowywał spory dystans, na tyle duży, że nie można było rozpoznać kierowcy i siedzącego obok pasażera. Fakt ten nadal nie robił na Andrzeju najmniejszego wrażenia.

Na drodze pojawiła się policyjna blokada. Za blokadą, nie więcej niż kilkaset metrów dalej, Andrzej zauważył cztery porozbijane samochody. Doszło tam najwyraźniej do karambolu. Obok wraków stała karetka i wóz policyjny z włączonym kogutem. Grupa ludzi tłumaczyła coś policjantowi, który pisał w swoim kajeciku. Jeden z mężczyzn gestykulował zamasyście i wskazywał na najmniej uszkodzony samochód.

Podjechali do blokady. Policjant służbowym lizakiem wskazał im skręt w prawo, drogę objazdu. Machał energicznie, żeby nie zwalniali. Sznajder wykonał polecenie i dalej pojechali trochę węższą szosą, mając po bokach pokryte zielenią i krzakami wzniesienia.

Janek nie mógł się powstrzymać. Odwrócił głowę. Za nimi nie było czarnego minibusu. Albo się zatrzymał, albo zawrócił.

- Nie jadą już za nami - poinformował ochroniarza.

Spojrzał jeszcze raz. Droga była pusta. W lusterku zobaczył oczy Sznajdera. Lekko przymrużone, jakby coś głęboko rozważał. Widział ten wzrok już wcześniej i widok ten nie napawał optymizmem. Jeszcze raz się odwrócił. Nikt za nimi nie jechał. Chwilę potem pojawiło się brązowe volvo. Wyjechało z podporządkowanej drogi, którą właśnie minęli. Szosa nie była już podejrzenie pusta.

Sznajder zaczął zwalniać. Rozglądał się na wszystkie strony. Włączył kamerę i lustrował okolicę w monitorze. Droga była kręta. Nie można było zobaczyć niczego na większą odległość.

Nie czekał długo na to, co spodziewał się zobaczyć. Z naprzeciwka szybko nadjechały dwie półciężarówki i z piskiem opon zatrzymały się w poprzek jezdni. Droga była zablokowana. Z pojazdów wysypali się uzbrojeni ludzie i wycelowali w zbliżającego się jeepa. Na pagórkach po obu stronach znajdowało się po dwóch innych celujących do Polaków z karabinów automatycznych. Jeden trzymał na ramieniu ręczną wyrzutnię rakietową. Pojedynczy wystrzał w nieruchomy cel załatwiał sprawę. A Sznajder nie miał wyjścia. Musiał się zatrzymać. Sforsowanie blokady było tym razem całkowicie niemożliwe. Ewentualne ominięcie również nie wchodziło w grę w obliczu potencjalnej siły ognia i z powodu ukształtowania terenu.

Volvo zatrzymało się za nimi, także stając w poprzek drogi. Czterech ludzi wybiegło i skryło się za samochodem.

Każdy z nich był uzbrojony w karabin. Drogi ucieczki nie było.

Sznajder zgasił silnik. Siedział przez chwilę, jakby jeszcze raz analizował możliwości wydostania się z pułapki. Możliwości wciąż nie było.

- Zostańcie w samochodzie - powiedział do pasażerów rozkazującym tonem.

- Co chcesz zrobić? - spytała Joanna.

- Poddać się.

- Myślisz, że im chodzi o ciebie?

Andrzej odwrócił głowę i spojrzał na nią przeciągle.

- Myślę, że im chodzi o ciebie.

Nie czekał. Wysiadł z samochodu. Z podniesionymi rękami, z trzymanym oburącz nad głową karabinem, który wziął z siedzenia, szedł powoli w kierunku celujących w niego napastników. Zbrojni zaczęli zbiegać z pagórków w jego stronę. Człowiek z raketnicą podniósł broń i dołączył do towarzyszy. Mężczyzna przy półciężarówkach mówił coś do radiotelefonu. Janek z siostrą obserwowali sytuację ze zgrozą. Jak ich ochroniarz mógł się tak zachować? Ot tak, po prostu poddał się, próbując ratować własną skórę. Jak to możliwe?

Uzbrojonych napastników dzieliło od Andrzeja najwyżej kilkanaście metrów. W tym momencie pasażerowie jeepa zobaczyli coś zupełnie nieoczekiwanego. Sznajder padł na ziemię i otworzył ogień. Jedną serią położył trzech. Pozostali w ułamku sekundy opanowali zaskoczenie. Wycelowali w niepokornego ochroniarza, by dokonać egzekucji na miejscu. Nie było im to jednak dane. Zostali ścięci celnymi strzałami z odległości kilkudziesięciu metrów. Ogień otworzyli uzbrojeni mężczyźni, którzy pojawili się na pagórkach wzdłuż drogi. Od strony półciężarówek nie padł ani jeden strzał. Sześciu napastników leżało martwych na szosie. Krótkotrwały ogień od strony volvo nie mógł wyrządzić żadnych szkód.

Pancerne szyby jeepa sprawiły się doskonale, a Sznajdera chronił sam samochód.

Pasażerowie volvo zostali szybko zlikwidowani przez ludzi, którzy wcześniej wysiedli z minibusu za nimi. Był to ten sam pojazd, który śledził ich jakiś czas przedtem.

Andrzej podniósł się z asfaltu. Dwóch uzbrojonych mężczyzn podeszło do niego. Mieli opuszczone karabiny. Nie można było powiedzieć, że mieli złe zamiary. Pozostali zbrojni rozglądali się wokół, gotowi w każdej chwili zgasić ewentualne zagrożenie.

Czterech ludzi z minibusu otoczyło jeepa. Wszyscy mieli lekko śniade karnacje oraz kruczoczarne włosy, wąsy i brody. Kazali wysiąść pasażerom. Janek i Joanna nie oponowali. Mimo że mężczyźni wyglądali przerażająco, nie czuli się zagrożeni. Szczególnie gdy widzieli, jak Sznajder wpada w objęcia dwóch przybyłych im na odsiecz bojowników.

Zakonnik wraz z siostrą zostali podprowadzeni do Andrzeja.

- Poznajcie przyjaciół - ochroniarz zwrócił się do towarzyszy podróży. - Rusłan Kahidow i Akił Dasajew. To Joanna Wolińska, moja przesyłka - powiedział po rosyjsku. Nie zwracał uwagi na pytający wzrok kobiety, mówiący: „Jak to przesyłka?!”. - A to brat zakonny Serafin. Dla przyjaciół Jasiek.

Janek nie bez wahania wyciągnął dłoń. Fizjonomia wybawców i ich niedawne poczynania nie zachęcały do zawierania bliższej znajomości. Jego ręki nie uściśnięto, tylko oboje z Joanną zostali porwani w objęcia wąsatych i brodatych mężczyzn. Dopiero po wykonaniu przepisowych, jak się wydawało, „misiaczków” zostali wyswobodzeni.

Janek nachylił się Andrzejowi do ucha.

- Rosjanie? - spytał niepewnie.

- Uważaj - odszepnął mu ochroniarz - są bardzo drażliwi. To Czeczeńcy.

Akił i Rusłan, obydwaj krępi i na pierwszy rzut oka raczej posępni, różnili się od siebie wiekiem i w konsekwencji kolorem zarostu na twarzy. Starszy, Akił, miał mocno siwiejącą brodę.

- Trzeba się zwijać - powiedział właśnie on. - Zaraz się tu zaroi od policji. To Słowenia. U nas - dodał z rozmarzeniem - nie byłoby żadnego problemu. A tu trzeba uważać.

Czeczeńcy odblokowali drogę z obu stron. Zalecili, żeby wrócić jak najszybciej do głównej trasy, na której łatwiej się będzie zgubić. Jeep zawrócił, a za nim - w niewzbudzającej podejrzeń odległości - podążył minibus.

Odjechali już, kiedy nad miejscem akcji pojawił się cywilny śmigłowiec. Lydia Hansen patrzyła z niedowierzaniem na pobojowisko i martwe ciała.

- Zrób jeszcze jedną rundę - nakazała pilotowi. Śmigłowiec zakręcił i zawisł w powietrzu. - Kurwa mać - zakląła pod nosem. - Co to za facet? Jak mu się udało? - pytała samą siebie zdumiona i wściekła jednocześnie.

Z oddali zbliżały się drogą dwa policyjne samochody na sygnale. Czeczeńcy mieli rację. Gdyby nie zawrócili, niechybnie natknęliby się na słoweńską policję.

- Powinniśmy się ewakuować - powiedział pilot. - Policja...

- Dobra. Wynosimy się.

Śmigłowiec uniósł się wysoko i szybko zniknął za najbliższymi górami.

W jeepie panowało milczenie aż do momentu, gdy znaleźli się na głównej drodze. Wtedy Janek poczuł się pewniej.

- Skąd się tam wzięli ci Czeczeńcy?

Dopiero po dłuższej chwili Andrzej raczył odpowiedzieć. Odpowiedź ta jednak była daleka od zadowalającej.

- Przypadki chodzą po ludziach, Jasiu.

- Nie ma takich przypadków, Andrzejku. Dlatego nie pieprz głodnych kawałków.

Sznajder widział, że się nie wykręci.

- W Niemczech, jak nas pierwszy raz zablokowali na drodze, pamiętasz?

- Wątpię, żeby kiedyś udało mi się zapomnieć.

- Zrozumiałem, że sami nie damy rady. No i zadzwoniłem po wsparcie.

- Niech cię diabli. Ale masz kumpli.

- Nie znasz ich, Jasiu. To naprawdę niezwykli ludzie.

- No tak, ale że akurat w Słowenii byli?

- Nic nie wiesz o tym narodzie, braciszku. A powinieneś wiedzieć, że jak Czeczen wyląduje gdzieś... w jakimś kraju na świecie, dajmy na to, w Słowenii, to zawsze, ale to zawsze znajdzie tam jakiegoś bliższego lub dalszego kuzyna czy kuzynów. Kuzyni mają innych kuzynów i tak to działa. Pod tym względem Czeczeni są nie do wyje... - w ostatniej chwili ugryzł się w język, widząc skrzywioną twarz Joanny. Jakoś ostatnio niezręcznie mu było przeklinać w jej obecności.

- Gdzie jedziemy? - dopytał się zakonnik.

- Z wizytą do naszych wybawców.

- Po co?

- Bo inaczej by się obrazili.

Janek postanowił nie drążyć dalej tematu. Joanna nie pytała, więc on również uznał, że można sobie dać spokój. Do tej pory Sznajder zawsze miał rację. Nie było powodu wątpić, że tak nie będzie i tym razem.

Stolica Słowenii, Lublana, to całkiem spore miasto. Na tyle spore, by można się w nim łatwo zagubić i zniknąć z oczu postronnym obserwatorom, co wcale nie było takie łatwe w tym kraju, przesadnie dbającym o ład i porządek. Małe miejscowości, biorąc pod uwagę słoweńskie realia, wykluczały taką ewentualność. Tam sąsiad poczytywał sobie za punkt honoru dobrze znać sąsiada. Nie dało się niczego ukryć, co mogło być dość kłopotliwe dla osób, które coś do ukrycia mają. A jak się dało zauważyć, u czeczeńskich przyjaciół Sznajdera dałoby się coś takiego znaleźć.

Po przyjeździe zostali wprowadzeni do pomieszczenia wielkości sporej sali gimnastycznej. Ściany i sufity były udekorowane kolorowymi girlandami. Na całej długości pod oknami ciągnął się stół w kształcie kanciastej litery U. Przykrywały go białe obrusy, na których znajdowały się talerze, sztuce, szklanki i kieliszki w niezliczonych wprost ilościach. Wydawać by się mogło, że troje Polaków trafiło na przyjęcie weselne, a dokładnie mówiąc, na jego przygotowania, mimo dość wczesnej pory dnia toczące się pełną parą.

Przy stołach uwijały się kobiety. Przynosiły rzeczy, odnosiły, rozmawiały ze sobą głośno, śmiały się i gestykulowały. Dwóch mężczyzn przyglądało się krytycznie ich pracy. Sami nie robili nic, ale co chwila wydawali polecenia, które kobiety natychmiast wypełniały. Ruslan i Akił podeszli do tych mężczyzn i przywitali się z nimi serdecznie.

- To przyjaciele. - Akił wskazał Polaków. - Mieli kłopoty. Pomogliśmy.

Jeden z mężczyzn, w mocno zaawansowanym wieku i z długą, siwą brodą, pokiwał głową ze zrozumieniem. Drugi, około trzydziestoletni, stał z boku i przypatrywał się niespodziewanym gościom z zainteresowaniem.

Starzec zbliżył się do Andrzeja i jego towarzyszy. Młodszy Czeczen nie opuścił go ani na krok.

- Jestem Szamil Dżantajew. - Rękę na przywitanie wyciągnął tylko do mężczyzn. - Witam przyjaciół Akiła. Mamy tu spotkanie rodzinne. Uczynicie nam ten zaszczyt i bądźcie naszymi gośćmi.

- Niestety... - Janek chciał zaprotestować, ale Joanna kopnęła go w kostkę. Nie dał po sobie poznać, że zabołało. Zorientował się w sytuacji. Czasem po prostu nie wypada odmówić. - ...nie jesteśmy przygotowani, ale będzie nam bardzo miło - dokończył przytomnie.

- Siadajcie i rozgoście się. Obiad będzie za jakiś czas, jak rodzina przyjdzie. Ale zaraz kobiety przyniosą wam coś

do zjedzenia.

- Dziękujemy - odpowiedział Sznajder. - Przyjacielu - dodał z naciskiem.

Szamil ponownie pokiwał głową. Już na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że był niezwykle mądrym człowiekiem. Cieszył się szacunkiem wszystkich, co można było dostrzec jakiś czas później, kiedy tłum kuzynów, braci, sióstr, żon kuzynów i w ogóle krewnych wszelkiej maści zjawił się na sali. Zrobiło się gwarno i wesoło. Wszyscy witali się ze wszystkimi, nie wyłączając Polaków, których traktowano jak swoich. Częstowano ich winem i jadłem. Wciągano w niezobowiązujące rozmowy i poważne dyskusje.

Andrzej mówił płynnie po rosyjsku, czego nie można było powiedzieć o Joannie i jej bracie. Nikt się tym jednak specjalnie nie przejmował. Ani Joanna, ani Janek nie odczuwali z tego powodu najmniejszych przejawów dyskryminacji.

Niemal od samego początku imprezy grano na żywo skoczną muzykę. Kobiety jako pierwsze ruszyły do tańca. Dorosłe tańczyły z córkami, co jakiś czas wzbudzając okrzyki uznania i radości wśród wciąż jeszcze siedzących za stołem mężczyzn. Zabawa rozkręcała się z każdą chwilą coraz bardziej.

Joanna przyglądała się płynnym i wdzięcznym pląsom Czeczenek z najwyższą uwagą. Patrzyła na ich wyćwiczone, wręcz wystudiowane ruchy z uznaniem i odrobiną zazdrości w sercu. Taniec, jako sztuka sama w sobie, pociągał ją od najmłodszych lat, lecz ze względu na niezbyt fortunne dla niej koleje losu nigdy nie miała szansy się w nim realizować.

Mężczyźni jeden za drugim zaczęli przyłączać się do tańczących kobiet. Najpierw młodzi, potem ci nieco starsi, aż wreszcie na parkiecie pojawiły się pary właściwie w każdym wieku.

Sznajder w odróżnieniu od Joanny był nieszczególnie zainteresowany popisami tanecznymi Czeczenów.

Pałaszował energicznie jedzenie, od którego stół wręcz się ugiął. Co chwila nakładał sobie coś innego, starając się nie przeoczyć żadnego ze specjałów serwowanych we wprost nieprzyzwoitych ilościach. Janek obserwował go z kwaśną miną. Andrzej sprawiał wrażenie człowieka, który przez co najmniej ostatnie kilka dni nie miał absolutnie nic w ustach. Co prawda nikt nie zwracał uwagi na jego nadmierny apetyt, ale zakonnik przypisywał ten fakt jedynie dobrym manierom gospodarzy.

- Udławisz się - zauważył Janek, gdy kolejny kawałek mięsa zniknął w przepaścistych ustach ochroniarza.

Andrzej spojrzał na niego spode łaba, ani na moment nie przestając przeżuwać.

- Bez obawy - odpowiedział z pełnymi ustami. - Jedz, Jasiu. Nie krępuj się. Mizerny coś jesteś.

- No. Jak się nie pośpieszę, to nic dla mnie nie zostanie.

- Oj, co się czepiasz. - Andrzej zmarszczył brwi. - Wzięłyś siostrę pod rękę i na parkiet. Nie widzisz, jak nogami przebiera?

Joanna nie potrafiła ukryć zakłopotania. Nie zdawała sobie sprawy, że niekłamany podziw dla tańczących Czeczenów, jaki wyrażała wzrokiem, jest tak widoczny dla osób postronnych. Był jednak oczywisty tylko dla Sznajdera. Obserwował ją ukradkiem między jednym kęsem a drugim.

- Nie tańczę - odpowiedział Janek. - Ale czemu ty nie spróbujesz? - dodał ironicznie.

- Ja? - Sznajder odsunął od siebie talerz. - No to patrz i podziwiaj, Jasiu.

Andrzej wstał od stołu, chwycił niczego niespodziewającą się Joannę za rękę i pociągnął za sobą. Kobieta próbowała się opierać.

- Andrzej, daj spokój...

- Chodź, chodź - nie zamierzał rezygnować. - Co sobie o nas bracia Czeczeni pomyślą...?

Wyciągnął ją na parkiet. Zostali powitani przez innych biesiadników okrzykami zachęty.

- Ale ja nie umiem - broniła się Joanna.

- To się nauczysz - powiedział stanowczo. - Patrz na mnie.

Postawił ją naprzeciw siebie i zaprezentował kroki w takt muzyki. Tańcząc, obszedł ją dookoła. Ku jej zdumieniu w niczym nie ustępował rodowitym Czezeńcom. Za stołem kilkanaście metrów dalej Akił pokiwał głową z uznaniem i uśmiechnął się zadowolony. Swego czasu sam tego Polaka uczył.

- Teraz patrz na dziewczyny i rób jak one. Małe kroki, płynne ruchy. Próbuje, siostrzyczka.

Czezeńskie kobiety zrozumiały, o co chodzi, i wciągnęły ją w swój szereg. Pokazywały, uśmiechały się życzliwie. Joanna szybko zaczęła łapać rytm i kroki. Mężczyźni to zbliżali się do kobiet, to oddalali. Niezwykle dynamiczny taniec stawał się coraz bardziej widowiskowy. Janek obserwował wyczyny Sznajdera i siostry z otwartymi ustami. Wszystkiego by się spodziewał, tylko nie tego, że ten konwojujący ich do Watykanu gbur posiada takie talenty. Lecz prawdziwe zaskoczenie miało go dopiero czekać.

- Andriusza! - zakrzyknął Rusłan do Polaka. - Dawaj!

Andrzej zobaczył, jak mężczyźni formują półokrąg. Natychmiast pojął ich intencje. Dołączył do nich, a kobiety zbiegły z parkietu, ciągnąc za sobą Joannę, i stanęły pod ścianą. Obserwowały swoich mężów, narzeczonych, kuzynów, śmiejąc się i klaszcząc. Tłumaczyły zaskoczonej Joannie, co się teraz działo. A działo się wiele.

Mężczyźni utworzyli okrąg, a ich taniec jeszcze przyśpieszył. Posuwali się jeden za drugim, po chwili okrąg się otworzył i zaczęły się popis solowe w środku. Jako pierwszy wystąpił Rusłan, wzbudzając entuzjazm obecnych. Zaraz po nim w kręgu znalazł się nie kto inny, tylko Andrzej Sznajder. Perfekcyjnie przeplatał nogami i poruszał się w

skoczny rytm etnicznej muzyki. Joanna nie wierzyła własnym oczom. Śmiała się w głos i klaskała energicznie. Janek nachylił się nad stołem, przecierając oczy ze zdumienia.

Męskie popisy nie trwały długo. Zaraz potem dołączyły do nich Czechenki. I znowu dwie dziewczyny wciągnęły ją na parkiet. Wpadła mimo woli w objęcia Andrzeja.

- I jak jest, siostrzyczka? - spytał głośno, starając się przekrzyczeć panujący wokół hałas.

- Gdzieś ty się tego nauczył?

- W Czechenii, moja droga, w Czechenii.

Zakręcił nią niczym młynkiem. Kobieta poddawała się prowadzeniu, szczególnie że zaczynała się już całkowicie wczuwać w muzykę. Minuty mijały i dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że inni tancerze stworzyli wokół niej i Andrzeja krąg. Klaskali i pokrzykiwali, dodając im animuszu. Andrzej był w swoim żywiole. O Joannie można było śmiało powiedzieć to samo. Aż wreszcie muzyka ucichła.

Ochroniarz odprowadził ją za rękę do stołu. Dziewczyna dyszała głośno. Andrzej otarł pot z czoła. Usiedli wreszcie obok zakonnika.

- Nie wiesz, co tracisz, Jasiu - powiedział Andrzej, nalewając sobie wody mineralnej.

- Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. - Janek oparł głowę na ramieniu. - Niezły jesteś. Nie spodziewałem się.

- U was, w mafii, tak się nie umieją bawić, co? - Sznajder zachichotał.

- A idź ty... - obruszył się Janek. - Ciebie nie da się polubić.

Sięgnął po szklanekę i sok. Andrzej poklepał go po plecach.

- Da się, Jasiu. Już mnie lubisz. - Sznajder śmiał się od ucha do ucha. - Poczekajcie tu chwilę. Muszę jeden biznes załatwić.

- Jaki biznes? - spytał Janek.

- Ważny, Jasiu, ważny - odparł ochroniarz, wstał od stołu i ruszył w stronę starszyny siedzącej na honorowych miejscach przy stole.

- Co za biznes? - Janek odwrócił się do siostry.

- Nie wiem - odpowiedziała, wzruszając ramionami. Nie była ciekawa. - Nie chcesz spróbować? - Wzrokiem wskazała parkiet oraz bawiących się ludzi i uśmiechnęła się zachęcająco.

Zakonnik zawahał się. Joanna zachęciła go zabawną miną.

- A co mi tam, kurczę - podjął męską decyzję. - Sznajder może, a ja co, gorszy jestem? Idziemy.

Chwycił Joannę za rękę i razem ruszyli w stronę bawiących się Czechenów.

Andrzejowi ustąpiono miejsca obok Szamila. Mimo głośnej muzyki i gwaru wokół dało się spokojnie rozmawiać. Stary Czechen popijał czerwone wino z ogromnej lampki.

- Dobrze robi na serce - powiedział do Polaka i uniósł kielich w toaście. Ktoś napełnił naczynie przed Andrzejem.

- Spróbuj. Przednie.

Andrzej pociągnął solidny łyk. Czechen miał rację. Wino było najwyższej próby.

- Wasze?

Szamil przytaknął.

- Własnoręcznie robione. Według receptury z dziada pradziada.

- Doskonałe.

Popijali w milczeniu przez kolejne minuty, w czasie których obserwowali to, co się działo przed nimi. A było na co popatrzeć. Wśród bawiących się Czechenów polski zakonnik wyróżniał się nader wyraźnie. Próbował kroków tanecznych i za każdym razem miało to opłakane skutki. Jego wygibasy nawet przy maksymalnej dawce dobrej woli trudno było nazwać czecheńskim tańcem, lecz Janek nie zrażał się ani na moment. Starał się jak potrafił, a że nie

potrafił zupełnie, starania jego wywoływały przeciwny skutek do zamierzonego. Był uosobieniem nieudolności i totalnego braku absolutnie wszystkiego, co się z tańcem łączy. Mimo to wzbudzał życzliwość i wybuchy wesołości wśród innych.

Szamil przypatrywał się tanecznym popisom Polaka z pobłażliwym uśmiechem. Andrzej krzywił się niemiłosiernie, jakby widok ten sprawiał mu nieomal fizyczny ból.

Upłynęło jeszcze trochę czasu i, o dziwo, niektóre kroki zaczęły zakonnikowi od biedy wychodzić. Przyjęto to z głośnym entuzjazmem i odrobiną ulgi. Sytuacja wydawała się wreszcie opanowana, aż do momentu, gdy Janek poczuł się pewniej i postanowił powtórzyć niezwykle dynamiczny solowy występ jednego z Czeczenów, wymagający szybkości i zamaszystych kopnięć. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Polak przesadził z dynamiką, stracił nagle przyczepność do podłoża i z wielkim impetem walnął plecami o parkiet. Leżał tak chwilę, jakby całkowicie zaskoczony przebiegiem wypadków. Natychmiast podbiegli do niego biesiadnicy. Został podniesiony na nogi i odprowadzony do stolika.

- Ciekawy ten twój przyjaciel. - Szamil patrzył na zakonnika sadzanego za stołem.

- Brat zakonny - Andrzej uznał, że dodatkowa informacja nie zawadzi. - Pracował kiedyś dla polskiej mafii.

Stary Czeczen nie wyglądał na zaskoczonego, a może po prostu doskonale potrafił ukrywać emocje. Nie spuszczał wzroku z dochodzącego do siebie po upadku Janka.

- Słyszałem, że kłopoty masz.

- Gdyby nie wasi dzisiaj rano, rozmawiałbym teraz z samym Panem Bogiem, nie z tobą.

- Taaak - stwierdził Szamil przeciągle. - Pomóc by ci trzeba.

- Sam nie poradzę.

- Boś mi parę lat temu wnuka uratował.

- Daoud Džantajew to...? No tak, powinienem się domyślić.

- Taaak. To opowiedz mi, bracie, o tych twoich kłopotach.

- Pewni ludzie chcą zabić kobietę. - Andrzej wskazał wzrokiem siedzącą przy Janku Joannę. - Bardzo źli ludzie.

- Źli, powiadasz... A ona to kto?

- Powiedziałbym, że taka katolicka święta - ostatnie słowo wypowiedział trochę z przekąsem. - Wiezie relikwię do Watykanu. Tylko ona może. Ci ludzie, co mówiłem, chcą tę relikwię przejąć, a może i kobietę też. Nie wiem do końca.

- Święta, powiadasz... Dobra kobieta znaczy się.

- W Kościele ją szanują, chociaż nawet święceń nie ma.

- Mir, powiadasz, ma...

- Mam ją żywą do Watykanu dowieźć, ale sam nie poradzę.

- Ci źli ludzie to kto?

- Korporacja prawniczo-finansowa Tucker & Hartmann. Z Nowego Jorku.

- Hmm...

Muzyka znowu skocznie zagrała. Zaskoczony Sznajder patrzył, jak Janek z Joanną ponownie wychodzą na parkiet i występy w wykonaniu zakonnika zaczynają się od nowa.

- Niech go diabli. - Andrzej westchnął ciężko.

- Nie poddaje się człowiek - skomentował Czeczen. - Dzielny jest.

- On i ona to rodzeństwo.

- Rodzeństwo, powiadasz... - Kolejna informacja także nie zrobiła na Szamilu najmniejszego wrażenia. - Jutro rano dostaniecie eskortę do granicy włoskiej. - Niniejszym stary Czeczen zaproponował im gościnę. - Nikt was nie ruszy. Policja też nie.

- Dzięki, przyjacielu.

- Ludzie w Nowym Jorku sprawdzą, o co chodzi, na miejscu, a potem ktoś się zajmie problemem. We Włoszech będzie ci już łatwiej.

Andrzej wyraźnie się ucieszył po tych słowach. Nie był to może koniec jego kłopotów, ale przynajmniej szansę, że dowiezie swoich podopiecznych bezpiecznie do Watykanu, gwałtownie wzrosły. Słowo Szamila było jak skała. Wiedział, że może na nim całkowicie polegać.

Skupił wzrok na tańczącej Joannie. Była roześmiana i radosna jak rzadko. Najwyraźniej dysk pozostawał w uśpieniu, dlatego mogła cieszyć się życiem i zachowywać po prostu jak normalna kobieta. Jakoś dziwnie ciepło mu się na sercu robiło, gdy na nią patrzył.

Jej brat, całkowicie pochłonięty wygibasami mającymi naśladować czeczeński taniec, również bawił się doskonale, zresztą ku uciechu postronnych obserwatorów. W pewnym momencie, gdy, o dziwo, zaczynał już cokolwiek łapać, potknął się niefortunnie i znów popisowo wylądował na podłodze. Jednak natychmiast zerwał się na równe nogi i dołączył do czeczeńskich mężczyzn, którzy utworzyli właśnie swój charakterystyczny krąg.

- Radzi sobie, swołocz - mruknął Sznajder.

- Ano, radzi sobie... - potwierdził Szamil z dobrotliwym uśmiechem.

Niedługo potem zziębnięty zakonnik opuścił salę, by dojść trochę do siebie. Andrzej tymczasem nie spuszczał wzroku z brylującej na parkiecie Joanny.



Doktor Peter Zass ledwie dotrzymywał kroku Thomasowi Kreibichowi, idącemu szpitalnym korytarzem kapitanowi miejscowej policji. Kapitan śpieszył się, by przesłuchać jedyne go potencjalnego świadka wydarzeń na drodze koło Grazu. O ile ten w ogóle cokolwiek widział, w końcu znaleziony został w lesie, bez przytomności. Był jednak ich jedynym punktem zaczepienia. Cztery trupy z ranami postrzałowymi, a Kreibich, oficer wydziału zabójstw, nie

miał nic, z wyjątkiem może śladów opon jakiegoś ciężkiego samochodu niewiadomej marki ani pochodzenia.

- Pół nocy majaczył - wyjaśniał szczuplutki i niski lekarz, truchając obok rosnącego policjanta. - Ktoś musiał go nieźle nafaszerować. Sprawdzamy czym. Wynik powinien być jutro, najpóźniej pojutrze.

Doktor Zass nie zwracał uwagi na pozdrowienia mijanego personelu, głównie płci żeńskiej. Pacjenci usuwali im się przezornie z drogi. Kapitan Kreibich posuwał się naprzód niczym czołg.

- Z tych majaków coś się dało zrozumieć? - spytał policjant.

- Po polsku gadał. Próbowaliśmy kogoś do tłumaczenia znaleźć, ale sam pan wie, kapitanie...

- To w końcu macie jakiegoś tłumacza?

- Nie potrzeba. Jak się potem okazało, ten Polak całkiem nieźle mówi po niemiecku.

- No, chociaż tyle dobrze. To się pewnie przedstawił... mam nadzieję.

- Nazywa się - lekarz zerknął na karteczkę, którą kurczowo trzymał w dłoni - Janusz Dolny. Mówi, że jest oficerem polskiej policji.

- Polski glina? To robi się coraz ciekawiej. Skąd dokładnie?

- Powiedział miasto, ale wymówić się nie da cholerstwo. Kazałem napisać.

Wymięta karteczka pojawiła się przed nosem kapitana.

- R...z...es...z...ow - policjant dokonał nieudanej próby. - Co za gówno...

- Mówiłem.

- Jeszcze raz, która sala?

Kreibich zatrzymał się przy rozwidleniu korytarzy. Niecierpliwił się.

- Sto pięć - odpowiedział Zass natychmiast. - Tędy proszę.

Przy wejściu na salę stał umundurowany funkcjonariusz. Przywitał kapitana, przykładając niedbale palec do czapki. Kapitan skinął mu głową i weszli z lekarzem do środka. Jednoosobowy pokój przypominał bardziej przytulną małą sypialnię niż pomieszczenie dla chorych. Drewniane meble i franki w oknach tworzyły przyjemny klimat.

Janusz Dolny siedział na łóżku. Pielęgniarka kończyła sprawdzać mu ciśnienie.

- Dzień dobry - przywitał się po niemiecku Austriak. - Jestem kapitan Thomas Kreibich. Policja Miejska Graz. - Wyciągnął do Polaka rękę.

- Komisarz Janusz Dolny. Komenda Miejska w Rzeszowie.

- Uścisnął dłoń kolegi po fachu. - Co tu robię?

- Hmm... To akurat myślałem, że mi PAN wyjaśni.

- To muszę pana zawieść, kolego. Mam lukę w pamięci. Czarna dziura. Nic. Powiedzieli mi tylko, że trafiłem tu jakieś kilkanaście godzin temu. Nic więcej nie wiem. Kazali na pana czekać, więc chyba się teraz czegoś dowiem. O co tu chodzi?

- Może po kolei. Sam nie bardzo się jeszcze orientuję, ale obiecuję, że postaram się odpowiedzieć na pana pytania. Najpierw jednak prosiłbym, żeby odpowiedział pan na kilka moich. Dla dobra śledztwa.

- Jakiego śledztwa? - spytał Dolny podejrzliwie.

- W sprawie poczwórnego zabójstwa. A nawet jeszcze gorzej.

Thomas Kreibich wbił w Polaka wzrok. Szukał jakiejś nietypowej reakcji. Czegoś, co by go zdradziło. Jakiegoś drobiazgu, który pozwoliłby mu stwierdzić, że mężczyzna coś ukrywa.

- Poczwórnego zabójstwa? - Dolny nie krył zdumienia. - I ja jestem podejrzany?

- Nie jest pan podejrzany. Ale mógł pan być świadkiem morderstwa. Znalezione pana nieprzytomnego ledwie kilkanaście metrów od miejsca zbrodni.

- Gdzie?

- Droga wylotowa z Grazu. Kierunek południowy.
- Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to to, jak z moim podwładnym, aspirantem Grzegorzem Grzonką, obserwowaliśmy dom byłej żony człowieka, którego poszukujemy.
- Jakiego człowieka?
- Nazywa się Andrzej Sznajder. Mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią dwóch osób w Polsce. Wiemy, że wyjechał, jest gdzieś w Europie Zachodniej. Mieliśmy nadzieję, że zechce odwiedzić byłą.
- Dlaczego miałyby to zrobić?
- Ma z nią syna. Szukał ich przez lata. Nam się udało ustalić, gdzie ona teraz mieszka. W Grazu. Puściliśmy informację w środowisko i czekaliśmy niedaleko jej domu.
- I przyjechał?
- Właśnie. I tu mi się film urywa. Ale zaraz, pogadajcie z aspirantem. Przecież musi wszystko wiedzieć. Gdzie on teraz w ogóle jest?
- W odróżnieniu od pana miał przy sobie dokumenty. Legitymację policyjną. To ta?
- Austriak podał Dolnemu kartonik. Dolny rzucił okiem.
- Gdzie jest Grzonka? - powtórzył pytanie, a w tonie głosu zabrzmiała obawa.
- W miejskiej kostnicy - odpowiedział kapitan.
- Kurwa mać! - komisarz Dolny przeszedł na moment na polski, ale zaraz potem spytał po niemiecku, zwracając się do milczącego do tej pory Zassa: - Doktorze, dlaczego ja nic nie pamiętam?
- Najprawdopodobniej wstrzyknięto panu jakiś środek chemiczny, który powoduje zanik pamięci. Staramy się ustalić jaki, ale nie wiem...
- Jasna cholera! - Polak walnął oburącz w kolana. - Kapitanie, niech mi pan powie, co tam się stało! Może mi coś zaświta.
- Jeszcze tylko jedno. Ta była żona, mogę wiedzieć, gdzie mieszka?

- Ma pan coś do pisania?

Kreibich podał Polakowi notes i długopis. Kapitan przeczytał nagryzmołony adres.

- Dziękuję. - Schował notes.

- Więc?

- Najpierw ktoś zabił trzech funkcjonariuszy miejscowej policji.

- Plus mój człowiek, to jest to poczwórne zabójstwo?

- Niedokładnie. Trzem zabitym funkcjonariuszom zabrano mundury i dokumenty. A tam, na drodze, na której zginął pański człowiek, zabito jeszcze trzech innych ludzi, właśnie tych przebranych w mundury naszych policjantów.

- Czyli siedem trupów...

- Ni mniej, ni więcej - potwierdził Kreibich. - Naszych znaleziono zupełnie gdzie indziej. Kilkanaście kilometrów dalej.

- Strzelanina?

- Broń krótka. Pistolet.

- Jeżeli to ten, co go szukam, znaczy Sznajder, to on nie zabił waszych ludzi. Tam, na drodze, co innego. Ten sam zabił mojego...?

- Nie. Strzał padł z ręki jednego z... przebierańców. Ustalamy ich tożsamość. Na razie bez rezultatu.

Komisarz Dolny spojrział na zegarek.

- Minęło kilkanaście godzin. Blokady dróg nic nie dadzą, może już być wszędzie. Jak jechał na południe, to najpewniej w Słowenii. Można by ich uczulić. W końcu Unia Europejska...

- Można by - zgodził się kapitan. - Problem w tym, że nie wiemy, kogo szukać. Po śladach kół domyślamy się, że to samochód terenowy.

- Koloru czarnego.

- Skąd pan wie?

- W takim prawdopodobnie widziano Sznajdera w Polsce.

- Ciężka czarna terenówka - powtórzył Kreibich, żeby zapamiętać. - Na polskich numerach rejestracyjnych. To już

coś. Przekażemy kolegom ze Słowenii.

- Na te numery rejestracyjne tobym specjalnie nie liczył.

- Dlaczego?

- Sznajder to fachowiec. Zmieni tablice. Ma to pan jak w banku.

- Widzę, że chce mnie pan pocieszyć.

- Chcę panu uzmysłwić, że najprawdopodobniej ma pan do czynienia z przeciwnikiem, z jakim nigdy wcześniej nie było panu dane się zmierzyć. I podejrzewam, że już nigdy potem też nie będzie.

- Tak?

- Sznajder to były żołnierz. Szkolony na wojnach. Domyślam się, że kogoś ochrania. Nie wiem, kogo i po co, ale to najwyższej klasy profesjonalista. Jeżeli oczywiście faktycznie to on za tym stoi. Jak pogadacie z jego eks, sprawa, podejrzewam, będzie jasna.

- Nieźle. - Kapitan spojrzał w okno. - Ale dowodów ani świadków nie mamy - dodał, nie patrząc na rozmówcę.

- Gdzie mój samochód?

- Gdzieś się pan wybiera? - zdziwił się Kreibich. - Doktor mówi, że powinien pan parę dni zostać na obserwacji.

- Taka doktora praca. Ja mam swoją. Trzeba bandytów łapać, kapitanie.

Rozdzwoniła się komórka Kreibicha. Odebrał.

- W porządku. Dziękuję za informację - powiedział i się rozłączył.

- Chyba nie będzie mnie pan zatrzymywał? - spytał Dolny. Austriak wzruszył ramionami.

- Po co? W razie czego wiem, gdzie pana szukać.

- Rozumiem, że mi pan wierzy.

- Właśnie dostałem potwierdzenie, że mówi pan prawdę. Skontaktowaliśmy się z komendą w... tej pana miejscowości. Potwierdzili wyjazd w samochodzie służbowym dwóch oficerów za podejrzanym. Nazwiska się zgadzają. Jest pan wolny.

- Słowem, przydaje się ta Unia Europejska czasem na coś.

- Jak widać. - Kapitan Thomas Kreibich wstał ze szpitalnego krzesła. Wyciągnął swoją wizytówkę i wręczył ją Polakowi. - Jakby coś się panu przypomniało, proszę do mnie dzwonić o każdej porze. Mamy teraz wspólne sprawy. Powodzenia.

Kiedy policjant wyszedł, doktor Zass spytał:

- Pan naprawdę chce opuścić szpital?

- Jak najszybciej.

- Nie radzę. Nie wiadomo, co panu w organizmie krąży, poza tym uraz głowy... To nie jest dobry pomysł.

- Trzeba podpisać jakiś papier?

- Standardowe dokumenty. - Lekarz przetarł dłonią zmęczoną twarz. - Samochód znajdzie pan na parkingu przed szpitalem.

- Dziękuję za pomoc, doktorze. Jeszcze jedno... Przypomnę sobie?

Peter Zass popatrzył na niego z politowaniem i uśmiechnął się jak cierpliwy nauczyciel do ucznia zadającego głupie pytania.

- Może za parę godzin, może jutro, a może nigdy. Nie mam zielonego pojęcia. I nikt nie ma. Przepraszam, ale mam pacjentów - powiedział i wyszedł na korytarz.

Komisarz Janusz Dolny zamyślił się.

- Droga wylotowa na południe - powiedział do siebie półgłosem. - Do Włoch jedziesz, bratku?

Pomyślał, że ruszy tą samą trasą, popyta na stacjach benzynowych, przecież jego podejrzany gdzieś musiał tankować, ale wcześniej złoży wizytę pani ekszynie. Jeśli Sznajder u niej był, to dowie się przynajmniej, jakiego dokładnie samochodu szukać. Dobrze by było uczulić policję włoską, może też jeszcze słoweńską. Trzeba się w tej sprawie z górą w Polsce skontaktować. Daj Boże, żeby komuś w komendzie głównej chciało się ruszyć tyłek. Bo jak

nie, to za najdalej parę dni Sznajder zniknie, o ile już się tak nie stało.

Rozdział 12

Samochód za nimi zamigał światłami. Czas było się rozstać z czeczeńską eskortą. Zbliżali się do granicy słoweńsko-włoskiej, a właściwie do tego, co po niej zostało. Andrzej otworzył okno i wystawił lewą rękę na pożegnanie. Zaraz potem samochód za nimi wyraźnie zwolnił i skręcił.

Jeep wkrótce znalazł się na terytorium Włoch, które powitały ich lekko zachmurzoną aurą. Byli już bliżej niż dalej. Andrzej zastanawiał się, czy powinni się jeszcze spodziewać jakichś kłopotów. Zmontowanie w tak krótkim czasie tych kilku na szczęście nieudanych zamachów wymagało niezwykłych umiejętności logistycznych. Przeciwnik był fenomenalnie zorganizowany. Ale prawdopodobieństwo, że po porażce w Słowenii znowu czegoś spróbuje, było właściwie marginalne. Na zorganizowanie czegokolwiek trzeba po prostu czasu, a czasu właśnie wróg w tej chwili nie miał. Właściwie on i jego podopieczni mogli się wreszcie poczuć stosunkowo bezpiecznie. Naturalnie nie oznaczało to zaniedbania jakichkolwiek środków ostrożności, ale można było spokojniej odetchnąć.

Popatrzył na pasażerów. Siedzieli ze wzrokiem utkwionym w pejzażach za oknem. Wyszło słońce i pogoda stała się wreszcie prawdziwie śródziemnomorska.

- Nie byliście nigdy we Włoszech? - spytał rodzeństwo.

- Ja nie - odpowiedziała Joanna od razu.

- A ty, braciszku?

Janek nie odrywał wzroku od widoków.

- Bywało.

Sznajder zachichotał pod nosem.

- Rozumiem, że z wizytą u... - Ochroniarz chciał wtrącić złośliwy komentarz o przeszłości Janka, lecz ten nie dał mu

dokończyć.

- Daruj sobie - powiedział zniecierpliwiony zakonnik. - Skupiłbyś się lepiej na drodze.

- Nie no, pogadać chciałem... - Andrzej się nie zniechęcał.

- Tak? Może o Bogu? - spytał Janek sarkastycznie.

- A co, właściwie czemu nie? Taka okazja pewnie mi się już nie zdarzy. Trudno będzie o takie towarzystwo jak wasze.

- Błagam - zakonnik od razu wyłapał nutkę ironii w jego głosie.

Zapadła długa chwila milczenia. W końcu Andrzej nie wytrzymał:

- A skąd właściwie Jasiu wiesz, że Bóg w ogóle jest? Może to wszystko tylko mistyfikacja.

- Wiem, bo jest wszechświat i jest życie - odparł zakonnik bez wahania.

- Wszechświat? Nie słyszałeś o Wielkim Wybuchu jakieś czternaście miliardów lat temu? Niewyobrażalna gęstość materii musiała doprowadzić do eksplozji, i doprowadziła. Nie mówi się o istocie boskiej.

- Prawda. A widziałeś kiedyś wybuch?

- No... tak ze sto razy więcej niż ty...

- Wybuch to totalny chaos, a wszechświat, mój drogi niedowiarku, rozszerza się zadziwiająco jednorodnie. Dokładnie równo we wszystkie strony, jak fale na wodzie, kiedy wrzucisz kamień. Każdy fizyk, który się tym zajmuje, ci to powie, i żaden z nich tak naprawdę nie jest w stanie wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje. Natura, ten zadziwiający porządek, jak w dobrze działającej maszynie. Porządek z chaosu? Proces powinien raczej przebiegać w odwrotnym kierunku. Przecież jest entropia. Zgodnie z drugą zasadą termodynamiki, jeżeli układ przechodzi z jednego stanu w drugi bez udziału czynników zewnętrznych, to jego entropia zawsze rośnie. Słowem, wszystko powinien powoli - jak to byś ty powiedział - szlag

trafić, a tu, popatrz, wszystko działa, choć nawiasem mówiąc, człowiek staje na głowie, by to zepsuć.

- Dobra, mądralo. Powiedzmy, że Bóg istnieje. Ale nie masz wrażenia, jak tak spojrzysz na to, co się dzieje na świecie, że Bóg ma ludzi, delikatnie mówiąc, w czterech literach? Wojny, zbrodnie, wszechobecna niesprawiedliwość, powszechne złodziejstwo, jest tego trochę, nie?

- Bóg ukochał każdego z ludzi i dał nam wolną wolę. Wszystko to, co powiedziałaś, to efekt naszego braku umiejętności właściwego korzystania z tej wolnej woli. Bóg mimo wszystko każdego człowieka kocha. Ciebie też.

- Szczerze wątpię - prychnął Sznajder. - O ile mnie zna, a podobno tak.

- Dlaczego? Weźmy na przykład twojego syna. Myślisz, że cię nie kocha, jako ojca, jako człowieka?

- Nie zna mojej przeszłości - stwierdził Andrzej ponuro.

- Uważasz, że gdyby poznał, przestałby cię kochać? Można zmienić zdanie o człowieku, ale nie przestać kochać, jeżeli ta miłość jest prawdziwa. A Bóg kocha nas w sposób najprawdźwiwszy z możliwych. Bezwarunkowy.

Andrzej zauważył, że Joanna przygląda się bratu wzrokiem pełnym dumy i tej prawdziwej rodzinnej miłości. Uśmiechała się promiennie.

- Rozumiem, że siostrzyczka się zgadzasz z braciszkiem?
- powiedział do niej.

- W całej rozciągłości - odparła bez namysłu i chwyciła Janka za rękę.

- To teraz niech Bóg pilnuje, żeby w drodze do Rzymu wam łbów nie odstrzelili.

- Bóg nie musi - powiedziała Joanna z uśmiechem. - Ciebie mamy.

Patrzyła na niego pogodnie z tą radością w oczach, jaką mają dzieci, które dostają wymarzone zabawki. Nagle zrobiło mu się jakoś dziwnie ciepło na duszy.



Nowy Jork, Stany Zjednoczone

Nocny spacer po Central Parku miał swoje zalety. Miejsce o tej porze było opustoszałe. Ewentualnych amatorów przechadzki skutecznie odstraszała niechlubna reputacja, jaką park cieszył się po zapadnięciu zmroku. Jednak Richard Hartmann i Lucius Lagen zdawali się zupełnie nie przejmować potencjalnym niebezpieczeństwem, choć dwie osoby w eleganckich garniturach to jawne zaproszenie dla szukających okazji przestępców. A na ich brak w tym rejonie nie można było narzekać.

Hartmann szedł powoli z rękami w kieszeniach. Patrzył przed siebie. Był wyraźnie poirytowany, ale starał się tego nie okazywać. Lucius wręcz przeciwnie. Patrzył z niekłamany podziwem w rozgwieżdżone niebo.

- Słyszałem, że znowu Lydii nie wyszło - powiedział beznamiętnie, nie spuszczać wzroku z gwiazd.

Hartmann zagryzł usta.

- Kto ci doniósł? Sam się dopiero dowiedziałem.

- Staram się mieć swoje źródła.

- Czasem mnie zadziwiasz, drogi Luciusie.

- Dziwienie się jest immanentną cechą rodzaju ludzkiego.

- Lucius popatrzył na rozmówcę. - Podobno.

Hartmann uśmiechnął się szeroko.

- Lydia nie doceniła przeciwnika. - Zamyślił się.

- Tym gorzej dla niej?

- Nie. Będzie nam jeszcze potrzebna. W końcu ma jakieś doświadczenie. Ktoś nowy popełniałby te same błędy, a na to nie możemy już sobie pozwolić.

- Nie wiemy, gdzie jest ta panienka z dyskiem.

- Wiemy.

- Wiemy? - Lucius posłał mu pytające spojrzenie.

- Staram się mieć swoje źródła - stwierdził Hartmann pogodnie.

- Czasem mnie zadziwiasz, drogi Richardzie...

Szli w milczeniu wąską uliczką wśród drzew. Na jednej z ławeczek nieopodal siedziało dwóch dwudziestoparoletnich mężczyzn. Trzeci, w tym samym wieku, o klasycznej urodzie Latynosa, stał i tłumaczył coś głośno Afroamerykanom, zamaszycie przy tym gestykulując. Nie widzieli idących w ich kierunku dwóch elegancików.

Lucius zawiesił wzrok na młodych ludziach kilkadziesiąt metrów przed nimi. Podobnie jak Richard Hartmann nie wykazywał najmniejszych oznak obawy lub jakiegokolwiek podenerwowania ich obecnością tu, w środku nocy.

- We Włoszech trzeba Lydii zorganizować wsparcie.

Szli z Hartmannem dalej pewnym krokiem, ignorując ewentualne zagrożenie, które przeciętnemu człowiekowi kazałoby natychmiast wycofać się niepostrzeżenie i szukając policyjnego patrolu, modlić się o to, by wcześniej nie zostać zauważonym. O ile taki przeciętny człowiek kiedykolwiek wpadłby na szaleńczy pomysł, żeby urządzać sobie spacer po Central Parku nocą, co jest rzeczą ze wszech miar wątpliwą. Richard Hartmann i Lucius Lagen najwyraźniej do przeciętnych nie należeli.

Lucius patrzył znudzonym wzrokiem na Latynosa i czarnych, którzy wciąż jeszcze zajęci byli rozmową.

- Nie będzie łatwo. Makaronom nie można ufać.

- Mylisz się, mój drogi - stwierdził Hartmann autorytatywnie. - Wszystko jest kwestią motywacji i doboru właściwych osób.

- Motywacji?

- Odpowiednio wysoka kwota w euro czyni cuda.

- Co planujesz?

Hartmann nie zdążył odpowiedzieć. Młoda trójka amatorów nocnych eskapad zdążyła ich już zauważyć i nie tracąc czasu, ruszyła szybko w kierunku elegancików. To, co łatwo dało się przewidzieć, stało się faktem. Hartmann i Lagen prosili się o kłopoty, a kłopoty mają to do siebie, że nieszczęśliwie o nie trzeba zabiegać. Pojawiają się i już.

Trzej mężczyźni stanęli przed nimi, blokując drogę. Krawaciarze sami pchali im się w ręce. Takiej okazji przepuścić przecież nie można.

Latynos był stosunkowo niski, ale dobrze zbudowany. Jego afroamerykańscy towarzysze górowali nad nim wzrostem i muskulaturą. Czas spędzony na ćwiczeniach pozostawił na ich ciałach wyraźne piętno.

- Przejdźcie przez park jest płatne, szanowni panowie - zagadnął niby przyjaźnie Latynos.

Uśmiechał się szyderczo. Czuł się niezwykle pewnie. Jego przewaga nad przypadkowymi spacerowiczami była bezsporna, szczególnie że miał przy sobie dwóch silnych czarnych kumpli.

- Rozumiem, oczywiście - powiedział Hartmann bez cienia obawy w głosie. - O jakiej kwocie mówimy?

Latynosa zaskoczyła ta rzeczowa reakcja. Z jednej strony spodziewał się, że pójdzie łatwo - ludzie zawsze gotowi są oddać wszystko, by wyjść cało z podobnego spotkania. A z drugiej trochę go zaskoczyła ta postawa. Najczęściej ofiary trzęsły się ze strachu, a facet przed nim zadawał konkretne pytania jak biznesmen, którym - biorąc pod uwagę wygląd - musiał rzeczywiście być. Po jego młodszym towarzyszu też nie było widać strachu, co mogło niepokoić, lecz Latynosa bardziej zaciekało.

- Zawartość twojego portfela, mądralo - odpowiedział zaczepnie.

- *Yeah* - potwierdził jego kolega.

Hartmann nie dał się zbić z tropu, co nie uszło uwadze napastników. Cała trójka wyciągnęła noże, nie tyle dla dodania sobie pewności siebie, ile dla odebrania jej elegancikom. Nawet ten gest nie wywołał zamierzonego efektu. Ludzie w garniturach po prostu się nie bali.

- Nie mam portfela, ale - Hartmann sięgnął do bocznej kieszeni marynarki, czym znów zaniepokoił napastników - mam to. - Wyciągnął zwitek banknotów studolarowych i podał Latynosowi. - Tu jest ponad dwa tysiące dolarów.

Można się za to nieźle zabawić. - Latynos wyrwał mu pieniądze i patrzył na plik z niedowierzaniem. - Jakbym wiedział, że się spotkamy, miałbym więcej.

- A ten pedałek? - Latynos postanowił pójść za ciosem i wskazał na Luciusa.

- *Yeah* - ponownie potwierdził czarny.

- Masz coś, Lucius? - spytał Hartmann, choć wiedział doskonale, jaka będzie odpowiedź.

Lucius Lagen patrzył Latynosowi w oczy i sięgnął pod marynarkę. Szybkim ruchem wyciągnął pistolet z dokręconym do niego tłumikiem. Nie wycelował w napastników, lecz trzymał go lufą do góry, jak profesjonalny zabójca w każdej chwili gotowy do oddania śmiertelnego strzału.

Trójka młodych ludzi odruchowo cofnęła się o pół kroku. Latynos wyciągnął rękę z pieniędzmi w stronę Luciusa.

- Nie, pieniądze możecie zatrzymać - zaproponował Hartmann. - Zabawcie się. Należy się wam. Ale radziłbym się szybko ewakuować, bo mój przyjaciel ostatnio jest dość nerwowy. Chyba nie chcielibyśmy, żeby komuś coś się stało?

Chłopakom nie trzeba było tego powtarzać. Wystrzelili jak z procy. Hartmann i Lagen obserwowali biegnących. Hartmann wiedział, a Lagen domyślał się, co się teraz stanie. Na drodze Latynosa była ławka, którą mężczyzna chciał przeskoczyć, z czym normalnie nie miałby problemów, lecz tym razem stało się inaczej. Potknął się o jej szczyt i runął na ziemię. Nie podniósł się. Jego czarni towarzysze zatrzymali się i wrócili do niego. Odwrócili leżącego na brzuchu kumpla i zobaczyli wbity w serce nóż, jego własny, na który Latynos nieszczęśliwie się nadział. Jeden z Murzynów, niewiele się zastanawiając, wyrwał martwemu plik banknotów z dłoni. Na ten widok jego koleżka, najwidoczniej uznając, że towarzysz chce go wykiwać, doskoczył do niego, głośno żądając swojej części pieniędzy. Doszło do przepychanki, którą przerwało pojawienie się konnego patrolu policji. Dwaj

funkcjonariusze natychmiast dostrzegli leżącego trupa z wystającą z piersi rękojeścią noża i – myśląc, że są świadkami zabójstwa – wyciągnęli broń.

- Stać! – wrzasnął jeden z policjantów i wymierzył w szarpiących się. – Na ziemię! Już!!!

Murzyni zawahali się. Mogli się poddać, ale po pierwsze trudno by im było przekonać policjantów, że Latynos zginął na skutek nieszczęśliwego wypadku, a po drugie bezpowrotnie straciliby wtedy pieniądze otrzymane od gogusia w garniturze.

Wahanie trwało tylko chwilę. Pobiegli w przeciwnych kierunkach. Policjanci się rozdzielili i pościg trwał krótko. Obaj czarni mężczyźni zostali śmiertelnie postrzeleni. Nikt się tu przecież nie będzie cackał z mordercami.

- Aż miło popatrzeć, jak karząca ręka sprawiedliwości dosięga złoczyńców – stwierdził Hartmann filozoficznie.

- Niebawem – potwierdził Lucius z ironicznym uśmiechem.

Policjanci tymczasem wezwali pomoc. W parku szybko zaroilo się od policyjnych kogutów.

Przesłuchanie Lagena i Hartmanna było krótkie. Po spisaniu danych osobowych i ich zweryfikowaniu detektyw zajmujący się sprawą oddał Hartmannowi plik banknotów znaleziony przy jednym z martwych napastników.

- Mieliście panowie dużo, a nawet bardzo dużo szczęścia – stwierdził policjant i zamknął swój notatnik.

- Szczęście to rzecz względna – odparł Richard Hartmann.

- Co pan ma na myśli?

- Właściwie nic. Tak się mówi w pewnych kręgach.

Policjant przyjrzał mu się badawczo.

- Proszę nie wyjeżdżać z miasta przez parę dni. Może trzeba będzie jeszcze coś wyjaśnić.

- Oczywiście, poruczniku. Będziemy zawsze do pana dyspozycji.

- To wszystko, dziękuję panom.

Policjant opuścił ich towarzystwo. Bardzo nie podobali mu się ci dwaj prawnicy, ale w swojej pracy musiał się kierować faktami, a nie emocjami.



Wysoki, przystojny mężczyzna w ciemnym prochowcu wszedł do McDonalda. Natychmiast zwrócił na siebie uwagę kilku przedstawicielek płci przeciwnej. Lekko szpakowaty, z ogorzałą twarzą o surowych rysach. Miał stereotypowy wygląd kapitana lotnictwa pasażerskiego. Wyglądem tym zresztą niejednej kobiecie zawrócił w głowie.

U nastoletniej ekspedientki zakupił solidnego cheeseburgera i poszukał wzrokiem wolnego miejsca, na którym mógłby usiąść i zjeść. Wszystkie stoliki były zajęte. Nawet o miejsce stojące nie było łatwo. Dostrzegł jedno obok krępego faceta przeżuwającego leniwie frytki. Na jego krótko przystrzyżonej brodzie dostrzec można było drobinki po spożytym niedawno posiłku. Bliskowschodnia uroda i ostre spojrzenie zniechęcały do niego innych gości.

„Kapitan lotnictwa” stanął przy nim i bez słowa zabrał się do jedzenia. Brodaty spojrzął na zegarek i zrobił minę mówiącą: „Czas już się zbierać”.

- Pozdrowienia od Szamila - powiedział, nie patrząc na przybysza.

„Kapitan” pokiwał głową. Również nie oderwał wzroku od posiłku.

- Jak się trzyma wujek Dżantajew?

Ugryzł swojego cheeseburgera i skrzywił się z niesmakiem. Jedzenie w McDonalddie niezmiennie utrzymywało swój podły poziom.

- Czasem cię wspomina.

- Miło.

Brodaty przesunął w kierunku „kapitana” drobny przedmiot, który przykrywał dłońią. Mężczyzna w

prochowcu zgarnął drobiazg z blatu stołu. Był to niewielki klucz z wyrytym numerem.

- Szafka na Penn Station - poinstruował go brodaty i sięgnął po kolejną frytkę. - Jest sprzęt, a w szarej kopercie wszystko, co chciałeś wiedzieć.

- Szybko się sprawiliście.

- Szamilowi bardzo zależy.

- Słyszałem. - „Kapitan lotnictwa” odsunął od siebie świeżo zakupiony posiłek. - Jakies szczególne powody?

- Dług wdzięczności.

- Aż tak... Dobra. Będę w kontakcie.

Zostawił nadgryzionego cheeseburgera na stole i nie spojrzawszy na brodatego, udał się do wyjścia. Dla postronnych oczu dwaj mężczyźni musieli wydawać się dwoma najzupełniej obcymi sobie ludźmi.

Po wyjściu z McDonalda mężczyzna założył ciemne okulary. Popatrzył na śpieszących we wszystkich kierunkach przechodniów. Nikt nie zwracał uwagi na nikogo. Typowe dla Nowego Jorku. Wszyscy zajęci własnymi sprawami. Pełna alienacja i nieprzychylność dla drugiego człowieka.

Wsiadł do samochodu i płynnie włączył się do ruchu. Dojazd do Penn Station - głównej stacji węzłowej metra i kolei - nie zajmie mu długo. Jeżeli dostał dokładnie te informacje, których się spodziewał, i jeżeli potwierdzą się wyniki jego osobistych obserwacji, jeszcze dziś wieczorem można będzie wykonać zlecenie. A przynajmniej zacząć je wykonywać, skoro cele były dwa.

W szafce na bagaż na dworcu, do której klucz wręczył mu brodaty, znalazł podłużny neseser. Nie otwierał go. Wiedział, co jest w środku. Specjalnie zamówiony składany karabinek snajperski. Szara koperta zawierała tylko jedną kartkę. Szybko przebiegł wzrokiem krótki tekst i uśmiechnął się z zadowoleniem. Było wszystko, co trzeba. Podarł papier na drobne strzępy i schował je do kieszeni.

Wyrzuci do kilku oddalonych od siebie koszy na śmieci, jak wyjdzie z dworca. Ostrożności nigdy za wiele.



Komisarz Janusz Dolny tracił nadzieję. Kolejna stacja benzynowa i kolejny przydrożny zajazd – i nic. Nikomu nie rzucił się w oczy człowiek z portretu pamięciowego. Co więcej, pytani ludzie najczęściej traktowali policjanta z rezerwą, a momentami nawet niechęcią. Szanse, że komisarz trafi na ślad Sznajdera, nieuchronnie zbliżały się do zera.

W bufecie kupił gorącą kiełbasę, kawę i usiadł przy mikroskopijnym stoliku. Przeklinał ściganego za to, co zrobił mu z pamięcią. Wciąż nie mógł sobie przypomnieć jakichkolwiek szczegółów z ostatnich wydarzeń w Austrii.

Patrzył na osoby spożywające swoje posiłki przy sąsiednich stolikach. Porównywał rysy twarzy z portretem poszukiwanego, który miał wryty w pamięć. Łudził się trochę, że może na skutek jakiegoś niesamowitego zbiegu okoliczności spotka go tu i teraz. Będzie mógł wezwać pomoc i razem z włoską policją dokona aresztowania. Dlatego wnikliwie obserwował każdego z obecnych. Niestety, żaden nie pasował do wizerunku Sznajdera. Żadna z kobiet nie przypominała też kobiety, z którą widział go w Grazu, kiedy Andrzej odwiedzał swoją byłą żonę. Niesamowity zbieg okoliczności tym razem się nie zdarzył.

Dolny przeżuwał powoli kolejny kęs kiełbasy. Smakiem nie mogła się równać z wyrobami polskimi, ale zgodnie z powiedzeniem, że głód jest najlepszym kucharzem, jadł i za bardzo się nie krzywił.

Na sali pojawił się starszy, chudy mężczyzna w drelichowym uniformie. Pchał przed sobą plastikowy pojemnik na kółkach, w połowie wypełniony wodą. Zanurzył w nim mopa, wycisnął i zabrał się do wycierania podłogi między stolikami. Nie było specjalnie brudno – pogoda na

zewnątrz słoneczna, wszędzie sucho - lecz widać kierownictwo zajazdu wyjątkowo dbało o czystość. Dolny ponownie skupił się na jedzeniu. Zastanawiał się, co jeszcze może zrobić. Czy jest jakiś sposób na odnalezienie Andrzeja Sznajdera i jego towarzyszki? Może po prostu trzeba wrócić do kraju, utrzymywać stały kontakt z Austriakami i czekać, aż Sznajder ponownie odwiedzi swą byłą i ich syna? Ale w ten sposób mógł czekać w nieskończoność. A i austriacka policja nie musi być skora do ścisłej współpracy.

Doszedł wreszcie do wniosku, że jego dalszy pobyt we Włoszech właściwie mija się z celem. Nie miał możliwości dotarcia do poszukiwanych. Czas wracać do Polski. Trzeba też dopilnować spraw związanych ze śmiercią aspiranta Grzegorza Grzonki. Przykrych rozmów z rodziną nie uniknie. Prokurator też pewnie nie da mu tak łatwo spokoju.

- Chyba mógłbym panu pomóc - usłyszał nagle nad głową słowa wypowiedziane idealną polszczyzną.

Odwrócił się szybko. Mężczyzna w drelichowym uniformie wycierał podłogę pod jego stolikiem. Wydawał się całkowicie pochłonięty swoją pracą, ale nie było wątpliwości, że to właśnie on przed momentem odezwał się do Dolnego.

- Co pan powiedział? - spytał policjant również po polsku.

Sprzątający przerwał wycieranie podłogi. Oparł się na mopie.

- Ten portret pamięciowy, co pan pokazywał przy barze. Widziałem tych ludzi.

- Jakich ludzi?

To, że sprzątacze wspomnieli nie tylko o Sznajderze, dawało nadzieję, że mówi prawdę. Inaczej nie mógłby przecież wiedzieć o kobiecie - Dolny pokazał barmanowi jedynie portret pamięciowy mężczyzny.

- Tego z portretu, jeszcze jednego faceta i kobietę. Cała trójka tam, w kącie, siedziała. - Wskazał palcem stolik

niedaleko okna, który teraz zajmowała jakaś para trzydziestolatków z kilkuletnim dzieckiem.

Nadzieja zaczynała gasnąć. Policjant uznał, że polski emigrant zarobkowy albo kłamał, albo się mylił. Pamiętał dokładnie, że Sznajderowi towarzyszyła jedynie kobieta.

- Coś się panu pomyliło. Szukam człowieka, który podróżuje sam. - Dolny postanowił jednak wy badać mężczyznę. Jeżeli facet zacznie się wycofywać, będzie to znaczyło, że naprawdę nic nie widział i tylko próbuje wyciągnąć od rodaka jakieś pieniądze. - Bez towarzystwa.

- Szuka pan trójki ludzi - stwierdził stanowczo sprzątacze.
- Dwóch mężczyzn i kobiety.

Ta jego stanowczość była zastanawiająca. Dlaczego tak się upierał? Czy to możliwe, żeby ktoś do nich po drodze dołączył?

- Skąd pan taki pewny, panie...?

- Bączyk. Nazywam się Jacek Bączyk. Rozmawiali po polsku. Nie obawiali się, że ktoś ich zrozumie.

Komisarz patrzył na niego sceptycznie. Nie dał po sobie poznać, że jego informacje wzbudzają w nim w końcu autentyczne zainteresowanie.

- I o czym tak niby rozmawiali?

- Że jadą do Watykanu. Kobieta bała się, że coś im się może stać po drodze. Ktoś ich może napaść czy coś w tym stylu. To nie byli zwykli podróżni. Znam się na tym.

- Ich samochód też pan zauważył?

- Jeep cherokee. Czarny.

- Takich samochodów jest dużo.

- Ale nie ma dużo z takimi numerami rejestracyjnymi.

Bączyk wyciągnął zmiętą kartkę papieru i podał ją Dolnemu. Komisarz przeczytał wypisane na niej litery i cyfry. Poczł przyśpieszające tętno. Czyżby szczęście zaczynało się do niego wreszcie uśmiechać?

- Dawno tu byli? - zadał pytanie w sposób, w jaki przesłuchuje się podejrzanych.

- Parę godzin będzie.

Policjant zastanowił się chwilę. Pewne elementy zaczęły układać się w logiczną całość. Wyjął z portfela wszystkie banknoty, jakie miał, wręczył je sprzątaczkowi.

- Na bilet powinno wystarczyć.

Wybiegł na zewnątrz, odpalił silnik i z piskiem opon ruszył w kierunku Rzymu. Musiał teraz działać niezwykle szybko. I z całą pewnością musiał dotrzeć do rzymskiej policji i przekonać ich, że powinni udzielić mu niezbędnego wsparcia, co łatwe z pewnością nie będzie.



Autostrada Słońca wiodła Sznajdera i jego podopiecznych do Wiecznego Miasta. Z każdym kilometrem ruch gęstniał. Dało się zauważyć, że zbliżają się do światowej metropolii.

Andrzej zwolnił, widząc przed sobą tworzący się korek.

- Chyba se postoiemy - powiedział, nie patrząc na pasażerów.

Prędkość spadła do sześćdziesięciu, zaraz potem do czterdziestu na godzinę. Zbliżyli się do zjazdu z autostrady, który według nawigacji prowadził gdzieś na odległe peryferia miasta i który raczej nie mógł służyć jako ratunek przed korkiem ciągnącym się na ładne parę kilometrów przed nimi. Dlatego ochroniarza zaskoczyły słowa Joanny:

- Zjedź tutaj. Ominiemy korek.

- Nic z tego, siostrzyczko. - Patrzył na wyświetlacz nawigacji. - Akurat ten zjazd prowadzi na jakieś zadupie. Trzeba było zjeżdżać wcześniej.

- Zaufaj mi - jej głos był cichy, lecz stanowczy.

Przejechali skręt - ciągnąca linia uniemożliwiała już zjazd bez stwarzania zagrożenia dla innych uczestników ruchu. Czymś takim jednak Sznajder generalnie się nie przejmował. Bez zastanowienia i zaprzętania sobie głowy wrzuceniem kierunkowskazu skręcił gwałtownie w najbardziej niedozwolonym miejscu z możliwych. Roztrąbiły się klaksony i zapiszczały opony gwałtownie hamujących

samochodów. Kierowcy wygrażali bezsilnie kierowcy jeepa. Andrzej tymczasem przyśpieszył i szybko znaleźli się na drodze prowadzącej na peryferie Wiecznego Miasta. Nawigacja poinformowała o zmianie trasy. Odległość do celu podróży na wyświetlaczu znacząco wzrosła.

- Toś nas, siostra, załatwiła - burknął ochroniarz. - Teraz to pojedziemy dłużej, niż jakbyśmy swoje w korku odstali.

- Stojąc w sznurze samochodów, stanowilibyśmy łatwy cel - zauważyła rezolutnie. - Nie sądzisz?

Andrzej musiał przyznać, że właściwie miała rację. Ewentualny zamach miałby wszelkie szanse powodzenia. Ktoś mógłby podjechać na motorze i na przykład przyczepić do karoserii ładunek wybuchowy. Uśmiechnął się pod nosem.

- No proszę. Będą jeszcze z ciebie ludzie, panno Wolińska.

- Też tak myślę - odpowiedziała z zawadiackim uśmiechem.



Rzym, Włochy

Cisza w biurze komendanta stawała się nieznośna. Dolny zapalił papierosa. Nie zwracał uwagi na oficera włoskiej policji patrzącego na niego z lekką dezaprobatą. Komisarz był wściekły i ledwie potrafił tę wściekłość opanować. Mieli szansę złapać Sznajdera, bodaj jedyną i niepowtarzalną, a komendant nie chciał samodzielnie podjąć decyzji o wysłaniu swoich ludzi.

Dolny spojrzął na zegarek. Przetarł dłonią twarz. Niedługo będzie za późno. O ile już nie jest. Komendant Fulvio Fantoni był niewzruszony. Przeglądał jakieś papiery dla zabicia czasu.

- Jeszcze trochę i wszystko szlag trafi - powiedział Dolny przez zęby po angielsku.

Błogosławił opatrzność, że ktokolwiek w tym kraju posługuje się językiem innym niż włoski. A że oficer policji okazał się zaznajomiony od biedy z mową Szekspira, należało poczytywać za prawdziwy łut szczęścia.

- W naszym kraju nie ciąży na tym człowieku żadne zarzuty. - Komendant mówił chłodno, jakby dla kontrastu do panującego wokół upału. - Jeżeli podejrzewa się go o przestępstwa, o których pan wspominał, powinny być na to jakieś dokumenty. Choćby europejski nakaz aresztowania. A nie ma nic.

- Nie ma nic, bo wszystko miało miejsce w ciągu ostatnich kilku dni - niecierpliwił się Polak.

- Może. Ale dlatego muszę mieć decyzję z góry. Pana informacje są sprawdzane. Ktoś kontaktuje się z Austrią i Polską. Trzeba czekać.

- Czekać, czekać! - Dolny wstał z krzesła i zaczął się przechadzać po pomieszczeniu. - Właśnie chodzi o to, że nie mamy czasu, żeby czekać.

- Nie ma innej możliwości.

- Ile to może potrwać?

- W takich sprawach staramy się działać szybko. Najdalej za parę godzin powinienem mieć decyzję moich bezpośrednich przełożonych.

Dolny zatrzymał się przed jego biurkiem.

- Za parę godzin smrodu po nim nie powąchamy. Zniknie. Kto wie czy nie z pomocą Kościoła.

- Dlaczego Kościół miałby pomagać przestępcom?

- Bo Sznajder jedzie do Watykanu. Robi coś dla Kościoła. Nie może być inaczej.

- Myślę, że trochę ponosi pana wyobraźnia.

- Chciałbym się mylić. Bardzo bym chciał. - Komisarz ponownie opadł na krzesło. - I co, tak będziemy sobie czekać? To właściwie może na jakiś obiad pójść? - spytał zgryźliwie.

- Całkiem niezły pomysł - podchwycił komendant. - Skontaktuję się z panem, jak tylko coś będę wiedział.

Polak spojrzał wymownie w sufit. Bezsilność była nie do zniesienia.

- Mogę się zadławić, jak pan już zadzwoni.

- Nie zadławi się pan. Tu niedaleko mamy dobrą knajpkę. Ktoś pana zaprowadzi.

Komendant położył rękę na słuchawce telefonu i w tym momencie aparat się rozdzwonił. Włoch odebrał i przez chwilę wsłuchiwał się w głos po drugiej stronie linii.

- Tak jest - potwierdził tonem służbisty. - Rozumiem. Wykonam.

Odłożył słuchawkę. Spojrzał w okno.

- Coś wiadomo? - spytał komisarz z nadzieją.

- Diabli mi was nadali - odparł Włoch z niesmakiem.

Wstał z za biurka i założył marynarkę, choć panująca na zewnątrz aura zdecydowanie nie wymagała noszenia tego typu ubioru.



Okolice, przez które przejeżdżali za namową Joanny, nie nastrajały optymistycznie. Stare, odrapane domy, wąskie ulice i wszędobylskie sznury rozciągnięte między oknami, a na nich suszące się wszelkiego rodzaju części garderoby, zarówno męskiej, jak i damskiej, nie wyłączając bielizny.

Mijali miejscowych ludzi, siedzących lub przechadzających się leniwie po brudnych uliczkach. Momentami obojętnie, a czasem wręcz wrogo przyglądali się oni samochodowi na zagranicznych numerach rejestracyjnych, który najwyraźniej zgubił drogę i zapędził się w dzielnicę, jakich przeciętni ludzie wolą unikać, a turyści już na pewno powinni.

Andrzej nie lubił takich miejsc. Nie bał się ich, ale czasami po prostu nie szukał kłopotów, a w takiej właśnie sytuacji znajdował się teraz. Czuł się odpowiedzialny za zakonnik i przede wszystkim Joannę. Mało prawdopodobne, żeby tutaj groziło im coś ze strony ludzi,

którzy na nich do tej pory polowali. Za to prawdopodobieństwo zaatakowania przez lokalnych oprychów było całkiem spore. Co prawda z takim przeciwnikiem poradziłby sobie bez większych problemów, ale czasami sytuacje wymykają się spod kontroli. Zdarzają się rzeczy zupełnie nieprzewidywalne. Zbłąkana kula czy wprawnie, lecz niecelnie rzucony nóż trafiający przypadkowo w inną osobę, niż zamierzano. Taką inną osobą mógł być na przykład Janek albo co gorsza jego siostra.

Andrzej chciał jak najszybciej opuścić te rejony i wjechać do jakichś bardziej cywilizowanych dzielnic. Naturalnie nie było mowy nawet o najkrótszym postoju w tym miejscu. Musieli być nieustannie w ruchu, żeby uniknąć potencjalnych kłopotów. Tak zamierzał, lecz zamierzenia mają często to do siebie, że nijak nie chcą iść po naszej myśli.

- Andrzej!

Głos Janka oderwał go od uważnego lustrowania otoczenia. Rzut oka w lustro wystarczył. Joanna siedziała półprzytomna, blada jak ściana, wydawała się z ogromnym trudem łapać powietrze. Była na granicy omdlenia. Patrzyła przed siebie szklistymi oczyma, usta wykrzywił jej ból.

- Co się dzieje? - spytał Sznajder.

- Nie wiem - odpowiedział zakonnik z rozpaczą. - Nie wiem, do cholery.

Stan Joanny budził najwyższy niepokój. Co chwila traciła na moment przytomność, lecz Jankowi udawało się ją ocucić. Jednak czas utraty świadomości stawał się za każdym razem coraz dłuższy.

- Diabli nadali - powiedział Andrzej do siebie. - Akurat teraz.

- Musimy się gdzieś zatrzymać - skonstatował zakonnik.

- Chyba zwariowałaś - zaprotestował Sznajder ostro. - Lokalni żule tylko na to czekają. Mało masz kłopotów?

- Człowieku, nie widzisz, co się z nią dzieje?!

Zakonnik ani myślał ustąpić. Stan siostry był w tej chwili dla niego rzeczą najważniejszą.

- Kurwa mać! - zaklął na cały głos ochroniarz.

Nie bacząc na cokolwiek, zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Zlustrował okolicę. Odrapane budynki, wąskie, brudne uliczki i towarzystwo ludzi o fizjonomiach niezachęcających do wchodzenia w bliższe relacje. Na szczęście ludzie ci stali lub siedzieli w pewnej stosunkowo bezpiecznej odległości i nieszczególnie kwapili się do podejścia, choć badawczych spojrzeń nie dało się uniknąć. Sznajder ocenił potencjalne zagrożenie jako znikome. Obok przejechały trzy skutery z parami roześmianych młodych ludzi i zniknęły za najbliższym zakrętem. Nie, zagrożenia nie było. Przynajmniej na razie. Jednak poprawił glocka za pasem. W razie czego musi być pod ręką.

Odwrócił się do pasażerów. Joanna spojrzała na niego półprzytomnym wzrokiem. Jej oddech się uspokajał.

- Dziękuję - wydała z siebie ledwie słyszalny szept.

- *No problemo*, siostrzyczka - powiedział Andrzej uspokajająco. - Powiedz, co ci trzeba. Chcesz do lekarza?

Był gotów zaryzykować aż tak bardzo. Kierowała nim w tym momencie autentyczna troska o tę kobietę.

- Nie, nie - odpowiedziała natychmiast. - Do lekarza nie. I tak by nic nie pomógł. Chcę tylko trochę odpocząć. Zaraz powinno przejść.

Andrzej popatrzył na Janka. Spojrzeniem spytał, o co chodzi, choć domyślał się odpowiedzi. Zakonnik skinął głową i obaj utkwili wzrok w dysku. W sumie niewinnie wyglądający kawałek metalu z wyrytym pentagramem i maleńkimi symbolami wokół. Trzeba się było dobrze przypatrzeć, żeby dostrzec wizerunki zniekształconych i nienaturalnie wykrzywionych twarzy wśród nich.

- Andrzej! - wyrwał go z zamyślenia głos Janka. Zakonnik zakrył dysk połą marynarki Joanny, która powoli dochodziła do siebie. - Obudź się!

Sznajder potrząsnął głową, jakby chciał odegnąć resztki niedobrego snu.

- Szlag by to cholerstwo... - powiedział przez zęby.

- Są rzeczy na ziemi, o których się filozofom nie śniło - stwierdził zakonnik i oparł głowę o zagłówek siedzenia.

- Tylko że ja nie jestem filozofem.

- Nie da się ukryć - potwierdził Janek nie bez cienia złośliwości.

Andrzej puścił uwagę mimo uszu. Rozglądał się wokół. Przemknęły kolejne dwa wszędobylskie w tym kraju skutery. Żaden z miejscowych się nie zbliżał. Nie wzbudzali niczyjego zainteresowania, co Andrzej przyjął z prawdziwą ulgą. Obawiał się postoju tutaj, ale wszystko wskazywało na to, że niesłusznie. Pozory czasem mylą.

- Chciałabym wyjść.

Siła głosu Joanny świadczyła o tym, że kryzys mijał.

- To chyba nie jest dobry pomysł - zaproponował Andrzej. - Nie najlepsze miejsce na spacer. Pojedziemy gdzieś dalej...

- Proszę - powiedziała i spojrzała na niego w taki sposób, że nie mógł odmówić.

- Dobra. Tylko macie się trzymać blisko mnie. I żadnych wygłupów. Rozumiemy się?

Począł, aż potwierdzą. Oboje skinęli głowami. Wysiadł, obszedł samochód i otworzył tylne drzwi. Joanna, wychodząc, z lubością wystawiła twarz do słońca. Odetchnęła głęboko. Powietrze na rzymskich peryferiach pachniało jakoś inaczej.

Sznajder założył ciemne okulary i rozglądał się wokół. Kobieta bez żenady wzięła go pod rękę. Andrzej nie ukrywał zaskoczenia, lecz nie mógł powiedzieć, by mu się to nie spodobało. Poprowadziła go wzdłuż ulicy. Idąc tak, sprawiali wrażenie doskonale dobranej pary małżeńskiej, która ot tak wyszła sobie na przechadzkę po najbliższej okolicy. Za nimi podreptał Janek z lekko skwaszoną miną. Nie był zachwycony nagłym dziwnym afektem siostry w stosunku do ochroniarza.

- Gdzie chciałbyś mieszkać, jakbyś mógł wybierać? - spytała Joanna Andrzeja nieustannie lustrującego otoczenie.

- Co?

- Bo ja właśnie we Włoszech. - Nie zraziła się brakiem odpowiedzi. - Ludzie są tu rodzinni i tacy spontaniczni...

Jakby na potwierdzenie jej słów młody mężczyzna na mijającym ich z naprzeciwka skuterze wyraził zachwyt nad jej wyglądem. Cmoknął specjalnie głośno w koniuszki palców. Joanna uśmiechnęła się z zadowoleniem. Każda kobieta lubi, jak docenia się jej urodę, nawet w taki niewyszukany sposób. Sznajder też mimo woli poczuł swego rodzaju nobilitację. Dobrze mieć atrakcyjną kobietę u swego boku, taką, na którą inni patrzą z zazdrością.

- Nie przeszkadzają ci takie prostackie zachowania? - spytał, choć widział po niej, że odpowiedź może być tylko jedna.

- Kobieta lubi się podobać. Nie wiedziałeś?

- W naszej sytuacji lepiej, żebyś się nie podobała - sprowadził ją na ziemię. - Przynajmniej dopóki do Watykanu nie dojedziemy.

- Nie bądź taki sztywny. - Roześmiała się i szturchnęła go w bok. - Ja ty to mówiłeś...? „Wyluzuj”, tak?

Spojrzał na nią zaskoczony. Rzeczywiście zdarzało mu się używać słowa „wyluzuj”, ale nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek zrobił to w jej obecności. Czyżby pamięć go zawodziła?

Sznajder odwrócił głowę. Rzucił okiem na samochód. Oddalili się już na dobre kilkadziesiąt metrów. Właściwie stanowili wymarzony cel ataku. Jednak nic się nie działo, a Joanna ze swoim szóstym zmysłem też nie sygnalizowała kłopotów. Może rzeczywiście już im się po prostu udało. Może rzeczywiście problemy się skończyły tam, w Słowenii. Może.

Przy wejściu do jednego z obskurnych budynków stała kobieta mniej więcej po trzydziestce i tłumaczyła coś

kilkuletniemu chłopczykowi. Pogłaskała go po głowie i pocałowała czule w czoło. Klasyczny obrazek z matką i synem.

Malec nie patrzył na nią, patrzył przed siebie. Wyglądał, jakby słowa matki do niego nie docierały, choć z drugiej strony można było odnieść wrażenie, że jej uważnie słucha.

Joanna puściła ramię Andrzeja i podeszła do nich. Zaczęła rozmawiać z kobietą po włosku. Pytała o coś i patrzyła na dziecko. Chłopiec i jej nie zaszczycił spojrzeniem.

- O co chodzi? - spytał Sznajder Janka, uznając nie wiadomo dlaczego, że zakonnik powinien rozumieć włoski.

Nie pomylił się. Janek wiedział, o czym kobiety mówią.

- Asia spytała, od kiedy mały nie widzi.

Dopiero w tym momencie ochroniarz zrozumiał dziwne zachowanie chłopczyka. Zachowywał się jak typowy ociemniały. Patrzył wyłącznie przed siebie.

- I co?

- Matka mówi, że uderzył się w głowę jakieś dwa lata temu. Stracił wzrok. Mówi, że lekarze rozkładają ręce. Podobno jakiś nerw w mózgu nieodwracalnie uszkodzony.

Zaskakujące, jak szczerze i otwarcie Włoszka rozmawiała z Joanną. Jakby się znały od lat. Polka w jakiś sposób, bez mała magiczny, budziła w ludziach zaufanie. Ta kobieta tutaj, na peryferiach Rzymu, nie stanowiła wyjątku.

Andrzej był czujny. Nie przestawał sprawdzać otoczenia. Szukał najmniejszego ruchu stanowiącego powód do niepokoju, czegoś, co wymagałoby natychmiastowego działania. Panował całkowity spokój, nie licząc krzątających się przy wejściach do domów i rozmawiających głośno kobiet, a także ich mężów, zajętych popijaniem i dyskusjami, najpewniej o piłce nożnej. W końcu byli we Włoszech.

Tymczasem zauważył, jak Joanna obejmuje głowę chłopczyka. Przyciska go do piersi i zaciska mocno oczy. Bezgłośnie wypowiada jakieś słowa. Chwilę potem uwalnia

dziecko z objęć. Chłopiec robi krok w tył, porusza głową na wszystkie strony i wykrzykuje radośnie.

- Mama, mama! - Rzuca się matce w ramiona.

Włoszka jeszcze przez chwilę nie wie, o co chodzi. Dzieciak tłumaczy jej coś chaotycznie i patrzy, tak właśnie, patrzy jej w oczy. Do kobiety dociera wreszcie, co się wydarzyło.

- Co się tam dzieje? - zapytał Sznajder.

- Chłopczyk znowu widzi - odpowiedział Janek.

- Co widzi? Przecież mówiłeś, że ma jakiś nerw uszkodzony.

- Asia go naprawiła.

- Znowu jakiś cud...?

Włoszka ścisnęła dziecko i głośno płakała. Rzuciła się do całowania ręki Polki, lecz ta przytuliła ją mocno i mówiła coś do niej łagodnie.

- Cud toby był, jakby martwego ożywić. - Na Janku sytuacja najwyraźniej nie robiła większego wrażenia. Uznawał to już widać za rzecz najzupełniej normalną. - Asia po prostu skierowała bożą energię we właściwym kierunku. Siła modlitwy i wiary, która góry może przenosić.

- Jasiu, nie pieprz. Siostrzyczka ma zdolności bioterapeutyczne. Daruj sobie tę katolicką filozofię.

- Tak? To pokaż mi bioenergoterapeutę, który potrafi naprawić mechaniczne uszkodzenia mózgu. - Zakonnik patrzył na niego z politowaniem. - Trudno ci będzie - dodał z przekąsem. - Mało wiesz, panie Sznajder.

Andrzej oderwał wzrok od Joanny, żeby spojrzeć na Janka. Czwórka „sąsiadów”, dwie kobiety i dwóch mężczyzn, na których nie zwrócił dotąd uwagi, błyskawicznie się uaktywniła. Matka z synkiem zostali odepchnięci, a Joannie dwudziestoparoletnia dziewczyna w okularach przeciwsłonecznych przystawiła lufę pistoletu maszynowego do głowy. Młody mężczyzna zrobił to samo, przyskakując do Janka. Pozostała para wzięła na cel Andrzeja, który natychmiast ocenił sytuację. Była fatalna.

Przy odrobinie szczęścia mógłby załatwić młodych celujących w niego. Stali odpowiednio blisko. Szkolono go do takich sytuacji i w przeszłości już sobie w nich radził. Dziewczyna i chłopak pewnie nie zdawali sobie sprawy, że ich życie właśnie zawisło na włosku.

Gorzej jednak było z Jankiem i Joanną. Jakikolwiek ruch z jego strony mógł spowodować nieprzewidziane skutki. Jedno naciśnięcie spustu, a głowy jego podopiecznych zostaną nafaszerowane ołowiem. Myślał gorączkowo, czy po zabiciu „swoich opiekunów” zdąży sięgnąć po pistolet na tyle szybko, by posłać kule pozostałym. Szanse były minimalne. Szlag by to trafił! Jak mógł dać się tak podejść? I to teraz, kiedy już prawie dotarli na miejsce. Wyglądało na to, że musi zaryzykować, lecz w tym momencie od strony ulicy usłyszał kobiecy głos.

- Wreszcie cię dostałam, Sznajder - Lydia Hansen odezwała się po angielsku. Stała oparta o ciężki motocykl. Miała na sobie czarny kombinezon, a w rękę trzymała kask.
- Dobry jesteś, ale nie wystarczająco dobry. Musiałeś przegrać, chociaż przyznaję, wzbudziłeś mój podziw.

Pojawienie się tej kobiety jeszcze bardziej skomplikowało sytuację. Nie było wątpliwości, że wiedziała, czego, a właściwie kogo chce. Najprawdopodobniej też była uzbrojona. Zaskoczenie i błyskawiczne wyeliminowanie całej piątki graniczyło z cudem. A na cud z pewnością liczyć nie mógł. Wiedział również, że ich właściwym celem jest Joanna. Cokolwiek i obojętnie jak szybko zrobi, Joanna zginie jako pierwsza. Motocyklistka już się o to postara.

Uznał, że musi grać na zwłokę. Może w międzyczasie nadarzy się jakaś okazja, pojawi się cień szansy.

- Proszę pani, ale proszę pani! - starał się nadać swojemu głosowi ton przerażonego tchórza. Nie najlepiej mu to wychodziło. - To jakaś pomyłka. Jesteśmy na pielgrzymce. Jedziemy do Rzymu na spotkanie z Ojcem Świętym. My...

- Oczywiście - powiedziała Lydia i przechyliła zawadiacko głowę. - Jedziecie samochodem wyposażonym jak na wojnę

z talibami.

Jasna cholera, przemknęło Sznajderowi przez myśl. Jakim cudem zdążyli sprawdzić jeepa? Nie było czasu do stracenia. Nie wywiną się. Miał w tej chwili nadzieję, że choć trochę zdołał uspić ich czujność. Byli w końcu panami sytuacji. Podjął decyzję. Spróbuje jednocześnie załatwić dwójkę młodych, którzy do niego celują, i odstrzelić motocyklistkę. Jest szansa, że Włoszka trzymająca Joannę na muszce się zawaha. Wtedy pośle jej kulę. Sam pewnie oberwie, ale Joanna będzie miała szansę ucieczki. Czy z niej skorzysta, to już zupełnie inna kwestia.

Zerknął jeszcze ostatni raz na zakonnika, który tej akcji z pewnością nie przeżyje. I zdziwił się. Janek był całkowicie spokojny. W jego nonszalanckim spojrzeniu próżno by się doszukiwać śladów jakiegokolwiek obawy o życie. Andrzej pomyślał, że Janek był albo naprawdę dzielny, albo zwyczajnie głupi i nie zdawał sobie sprawy z ich katastrofalnego położenia. W sumie szkoda mu było braciszka. Zdążył go nawet polubić. Cóż...

Sznajder nie zdążył nic zrobić. Usłyszeli donośny głos starszego mężczyzny:

- Paulo! Paulo Boccachi!!

Dziadek z drugiej strony ulicy zbliżał się żwawo, jak na swój wiek. Andrzej zauważył, że mierzący do niego chłopak drgnął nerwowo. Dziewczyna obok również. Lydia obrzuciła intruza pogardliwym spojrzeniem.

Andrzej pomyślał, że właśnie nadarza się wymarzona okazja do działania. Chyba najlepsza z możliwych, ale instynkt podpowiedział mu, że lepiej będzie się wstrzymać. Nie wiedział dlaczego. Tak po prostu czuł. Jeszcze jeden rzut oka na Janka. Na twarzy zakonnika zagościł ledwie dostrzegalny uśmiezek. Patrzył na zbliżającego się emeryta jak na wybawienie. Co jest? Czy ten staruch ma jakiś związek z tymi ludźmi? Dlaczego Janek tak reaguje? A może to zwykła ludzka histeria?

Dalsza część rozmowy przebiegła po włosku. W odróżnieniu od swoich podopiecznych Sznajder nie rozumiał, o co chodzi, ale nie mógł powiedzieć, że jej wynik był niezadowolający.

- Paulo! - krzyknął staruszek ponownie. - Co ty wyrabiasz?! - Podszedł do młodych. - Zachciało ci się zabaw?

Dziadek dzielił młodego laską po plecach. Ten opuścił pistolet. To samo uczyniła jego towarzyszka. Lydia Hansen nie wierzyła własnym oczom. Sytuacja nagle wymknęła jej się spod kontroli. Wydobyła broń, ale zanim zdążyła wymierzyć, jak duchy pojawili się za nią dwaj rośli mężczyźni i wykręcili jej rękę.

- Don Vittorio - młodzieniec zaczął się tłumaczyć jak sztubak - sam boss dał zlecenie. Ta pani miała przejąć tych ludzi. - Wskazał na obezwładnioną Lydię.

Don Vittorio jeszcze raz poczęstował go końcem laski.

- Ja tu jestem pierwszy po Bogu. To mój teren, a nie bossa. Rozumiesz, gówniarzu?

- Ja rozumiem, Don Vittorio, ale boss...

- Nie denerwuj mnie, chłopcze, bo ci kija w dupę wsadzę. Won mi stąd, pókim dobry.

- Oczywiście, Don Vittorio. - Paulo Boccachi ani myślał się sprzeciwić. - Już nas nie ma. Przepraszamy.

Cała czwórka zwinęła się w mgnieniu oka. Wsiedli na zaparkowane nieopodal skutery i zniknęli jeszcze szybciej, niż się pojawili. Polacy byli wolni.

Tymczasem Don Vittorio podszedł do Janka. Ku totalnemu zaskoczeniu Sznajdera wziął go w ramiona. Lydia ciskała się wściekła, mocno przytrzymywana przez ludzi Don Vittoria.

- Mówi się, że nie żyjesz - powiedział staruszek, patrząc mu w twarz.

- I niech tak zostanie - odparł Janek.

- Czyli rozmawiam z duchem?

- Nie inaczej. - Zakonnik wskazał ruchem głowy Sznajdera. - Ten człowiek dba o nasze bezpieczeństwo.

Don Vittorio odwrócił się do Andrzeja i zmierzył go spojrzeniem. Polak nie wyciągnął do niego ręki na przywitanie. Wiedział, że coś takiego byłoby dużym nietaktem.

- Podobno dobrze się sprawiłeś - powiedział staruszek i spojrzał mu prosto w oczy, jakby chciał wyczytać w nich reakcję na swoje słowa.

- Do dzisiaj - odparł niezadowolony Andrzej.

- Każdy popełnia błędy. Nawet tacy ludzie jak ty.

- Domyślam się, że nasze spotkanie tutaj to nie przypadek...

- Słusznie się domyślasz.

Andrzej łypnął na Janka. Zakonnik obejmował Joannę, po której widać było oznaki ciężkiego stresu. Wciąż była roztrzęsiona.

- W Słowenii, jak byliśmy u Czeceńców, pomyślałem, że może nam się we Włoszech przydać pomoc. Wykonałem parę telefonów - wyjaśnił Janek.

- Kiedy?

- Przerwa w tańcach. Nie pamiętasz?

Andrzej przypomniał sobie. Rzeczywiście, Janek opuścił salę na kilka minut.

- Zdaje się, że nie muszę pytać, skąd się znacie.

- Parę lat temu Jan wyświadczył mi pewną przysługę. Bardzo dla mnie ważną. Dzisiaj nadarzyła się okazja, żeby mu podziękować.

- Hmm. Parę lat temu.

Andrzej pokiwał głową ze zrozumieniem. Słyszał, że polska mafia ma już międzynarodowe kontakty. Ale co to musiała być za przysługa, skoro u Polaków Janek jest zdrajcą, a Włosi najwyraźniej darzą go przyjaźnią. Pewnie nigdy się tego nie dowie.

Don Vittorio zwrócił swą uwagę na Lydię.

- Nazywasz się Lydia Hansen, tak? - spytał ją łagodnym tonem.

Kobieta znieruchomiała. Wyraz wściekłości na jej twarzy zaczął ustępować zaskoczeniu. Ten człowiek, najprawdopodobniej głowa lokalnej rodziny, wiedział, kim ona jest, więc musiał też wiedzieć, że ma poparcie jednej z najpotężniejszych rodzin mafijnych we Włoszech. Jednocześnie śmiał pokrzyżować jej plany. Jak to możliwe? Przecież w ten sposób wydawał na siebie wyrok śmierci.

Silny kuksaniec od jednego z trzymających ją ochroniarzy skłonił Lydię do udzielenia odpowiedzi.

- Wie pan, kto mnie przysyła? - wycedziła przez zęby.

- Wiem, dziecko - odpowiedział Don Vittorio spokojnie. - Nie wiem tylko, co mam z tobą zrobić.

- Chyba się przesłyszałam - powiedziała arogancko. - Pracuję dla...

- Gównu mnie obchodzi, dla kogo pracujesz, dziecko - jego łagodny, ojcowski ton nie zmienił się ani na moment. - W tej dzielnicy rządzi Bóg, a zaraz potem ja. Rozumiesz, o czym mówię, dziecko?

Do Lydii Hansen dotarło, że jej życie znalazło się w ręku tego starego, charyzmatycznego człowieka. Zrozumiała w pełni swoją sytuację. Tylko od niego zależało w tej chwili, czy Lydia wyjdzie z tego cało, czy też skończy na dnie jakiegoś pobliskiego akwenu wodnego lub po prostu w dole z niegaszonym wapnem. Bez świadków i bez zbędnych pytań.

- Rozumiem.

Spokorniała. Nie była głupia. Zdawała sobie sprawę, że tylko w ten sposób może ocalić skórę.

- Zabierzcie ją - powiedział do swoich ludzi. - Później pomyślę, co z nią zrobić.

Ponownie wrócił do Polaków.

- Na nas już czas, Don Vittorio. - Janek spojrział w stronę jeepa. - W Watykanie czekają. - Popatrzył czule na siostrę. - Na nią.

- Nie pozwólcie im zatem czekać - odparł staruszek. - Nic wam już nie grozi.

- Dziękuję, Don Vittorio. - Zakonnik pocałował go w dłoń.

- Niech was Bóg prowadzi.

Sznajder natychmiast dostrzegł niestosowność tego stwierdzenia wypowiedzianego ustami szefa lokalnej mafii. Nie zamierzał jednak tego komentować. Irytowanie Don Vittoria nie leżało w jego dobrze pojętym interesie. Uratował mu tyłek. Jemu i pozostałym.

Jeep odjechał, mijając ciężki motor, który jeszcze niedawno należał do Lydii Hansen. Znając życie, już do niej nie wróci. Don Vittorio zawołał młodego chłopaka, który kręcił się w pobliżu. Powiedział mu coś do ucha, chłopak się rozpromienił. Wsiadł na motor i odjechał na jednym kole.

Rozdział 13

Nowy Jork, Stany Zjednoczone

Mężczyzna leżał na dachu. Na końcu lufy karabinu przyczepił piórko na krótkiej nitce. Będzie wiedział, jaka jest w danym momencie siła wiatru, dzięki czemu skoryguje odpowiednio strzał, by pocisk niezawodnie dotarł do celu. Odległość była na tyle duża, że takie wspomaganie było jak najbardziej wskazane.

Czekał na informacje od obserwatora. W słuchawce panowała cisza. Od ostatniej informacji, że samochód z celem się zbliża, nic się nie zmieniło. Siła wiatru wciąż na tym samym poziomie. Kąt strzału wyliczony. Wilgotność powietrza również nie stanowiła problemu. Warunki optymalne do wykonania zadania.

W słuchawce zabrzmiał głos obserwatora:

- Cel będzie widoczny za cztery minuty.
- Czekam - potwierdził mężczyzna.

Mijały sekundy. Limuzyna wioząca Richarda Hartmanna i Luciusa Lagenę zbliżała się do okazałego wejścia restauracji przy 5th Avenue.

- Jakież wieści od Lydii? - W samochodzie Lagen patrzył na przesuwany się za oknem obraz górnego Manhattanu.

- Na razie nic.

- Co, jak się nie uda?

- Nie ma takiej możliwości. Nasi włoscy przyjaciele zawsze robią, co trzeba.

- Mafia - powiedział przeciągle Lucius. - Mówią, że Al Capone wpadł, bo mafia wydała na niego wyrok.

- Al Capone wpadł przez podatki. Chyba w najgłupszy sposób z możliwych.

- Ostatnia szansa. I co potem?

- Potem będzie już tylko lepiej, drogi Luciusie. - Hartmann klepnął go po ramieniu. - Potem przygotujemy się do ostatecznej rozgrywki, by wreszcie sięgnąć po to, co się nam, a właściwie tobie należy.

Lucius Lagen uśmiechnął się pod nosem. Podobały mu się wizje roztaczane przez Richarda Hartmanna. Tylko jeszcze ta jedna, wciąż niezłałatwiona sprawa. Polska kobieta i kawałek metalu, który jest w jej posiadaniu.

Limuzyna wjechała w Piątą Aleję. Jeszcze chwila i zatrzymali się przy samym wejściu do restauracji. Kierowca w przepisowej liberii wysiadł, obszedł samochód i otworzył drzwi pasażerom.

Lucius Lagen wysiadł pierwszy. Przystanął i poczekał na towarzysza. Na to właśnie liczył czający się w oddali strzelec. Na nieruchomy cel.

- Cel w zasięgu - odezwał się pozbawiony emocji głos obserwatora. - Strzelaj.

Pocisk karabinowy rozpoczął swoją drogę, przesywając ciepłe nowojorskie powietrze. Zaraz potem wysiadł Richard Hartmann. Zasłonił sobą postać Luciusa. Strzelec nie czekał. Musiał zadziałać adekwatnie do sytuacji. Pociągnął za spust po raz drugi. Kolejny pocisk ruszył w drogę ze śmiertelną misją.

Hartmann poczuł ostrzeżenie swojego zwierzęcego instynktu. Błyskawicznie odchylił głowę. Nie miał czasu, żeby się zastanawiać, jakie mogą być tego konsekwencje. Otworzył drogę pędzącej karabinowej kuli, która świsnęła mu koło ucha i... wbiła się w czoło czkającego na chodniku Luciusa Lagen. Mężczyzna jeszcze przez moment stał na własnych nogach, z miną wyrażającą najwyższe zdziwienie. Zanim osunął się na kolana i na plecy, kolejny pocisk dosięgnął śpieszącego mu na pomoc portiera, stojącego zwykle u wejścia do restauracji i pilnującego, by do środka wchodziły wyłącznie osoby posiadające rezerwacje. Starszy mężczyzna upadł. Z rany postrzałowej w górnej części

klatki piersiowej obficie płynęła krew. Natychmiast zrobiło się wokół nich zbiegowisko.

Hartmann ukląkł przy Luciusie. Uniósł głowę martwego i wpatrywał się z rozpaczą w jego otwarte, nic już niewidzące oczy. Z ust mężczyzny wydobył się głośny, przerażający, zwierzęcy ryk skierowany ku niebiosom. Zgromadzeni przy nich ludzie bez wyjątku poczuli dreszcze przerażenia na plecach. Ten głos wydawał się nie pochodzić od istoty ludzkiej, choć histerycznie rozpaczający mężczyzna był przecież człowiekiem. Nikt z obecnych nie widział jego oczu. Oczu, z których emanowało zło w najczystszej formie. Te oczy budziły paraliżujący strach, a jednocześnie zniewalały.

Strzelec zaklął pod nosem. Drugi cel był już poza zasięgiem, bo zasłoniła go grupka gapiów. Trzeba będzie poszukać innej okazji.

- Kończymy - powiedział do obserwatora.

- Rozumiem - usłyszał potwierdzenie.

Snajper podniósł się i schylony pobiegł do wyjścia z dachu. Kiedy był już poza polem widzenia potencjalnego obserwatora, rozłożył sprawnie karabin i schował go do niewielkiej walizeczki. Zdjął czarny kombinezon, pod którym krył się schludny, nierzucający się w oczy ubiór, i chwilę później opuścił budynek, wtapiając się szybko w tłum śpieszących w obie strony mas ludzkich. Wyglądał zupełnie jak stereotypowy kapitan lotnictwa pasażerskiego.

Richard Hartmann wciąż klęczał przy Luciusie. Dla postronnych wyglądał jak ojciec pogrążony w rozpacz nad utraconym synem. Lecz dla niego Lucius Lagen był kimś, a właściwie czymś więcej - możliwością realizacji dalekosiężnych planów, które teraz rozpadły się niczym domek z kart. Długie lata przygotowań skończyły się niczym. Trzeba będzie zaczynać wszystko od nowa. Ktoś musi za to zapłacić. I zapłaci.

Pojawiła się policja i karetka pogotowia. Odprowadzono Hartmanna na bok i zabrano ciało Luciusa Lageny.

Richardem zajął się policyjny psycholog. Nie wiedział, że nie było najmniejszej potrzeby. Richard Hartmann cierpiał nie z powodu straty Luciusa, lecz z powodu niemożności zrealizowania tego, co zamierzał. Sam Lucius Lagen był jedynie narzędziem, a po stracie narzędzi się nie płacze.



Kiedy opuścili dzielnicę rządzoną przez Don Vittoria, otoczenie zmieniło się diametralnie. Ulice stały się szerokie i nieomal doskonale utrzymane, przynajmniej jak na włoskie warunki. A i mijani ludzie robili dużo lepsze wrażenie, zarówno pod względem wyglądu, jak i sposobu bycia. Można było odetchnąć z ulgą. Wracali do cywilizowanego świata.

- Jasiu mówił, że wymodliłaś gówniarzowi wzrok - zwrócił się Sznajder do Joanny. - To prawda?

- Ten, jak to mówisz, „gówniarz” to Marco Graziani. Bardzo lubi Kubusia Puchatka, ale Tygryśka jeszcze bardziej. Kiedyś marzył, żeby jak dorośnie, zostać pilotem. Potem miał wypadek, a teraz znowu ma marzenia.

Sznajder przez chwilę poczuł się winny.

- OK, OK. Rozumiem. - Podniósł na moment dłonie w obronnym geście. - Źle się wyraziłem.

- Miło, że to przyznajesz - odparła życzliwie. - Będą jeszcze z ciebie ludzie - dodała łobuzersko, parodiując jego słowa.

- Prawda, co Jasiek mówił?

- Widzę, że budzi się w tobie jakaś wiara w nasze „katolskie” sprawy - odparła enigmatycznie.

- Bez przesady. Ciekawy jestem i już.

- Jest dokładnie tak, jak myślisz.

- Nie wiesz, co myślę, siostrzyczko.

- Modliłam się bardzo gorąco za to dziecko. Moja modlitwa została wysłuchana. Tyle.

- To musisz mieć tam, u góry, niezłe chody. - Z tonu wypowiedzi trudno było wywnioskować, czy mówił serio, czy ironizował. - Ktoś kiedyś powiedział, że Bóg wysłuchuje wszystkich modlitw, tyle że jego odpowiedź najczęściej brzmi „nie”.

- To nie tak, Andrzej. - Joanna pokręciła głową. - Wiesz...
- Wydawała się szukać właściwych słów. Popatrzyła na brata.

- Jak by ci to wytłumaczyć, żebyś zrozumiał... - Janek uśmiechnął się pod nosem.

- Jasiu, nie denerwuj mnie - wzburzył się ochroniarz.

- Dobra, już dobra. Sorry. Oglądałeś kiedyś „Gwiezdne wojny”?

- Co?

- Ten film George’a Lucasa. Miecze świetlne i te sprawy.

- Widziałem. Jak gnojek jeszcze byłem. Ale co z tego?

- Pamiętasz, tam był taki podział. Ciemna i jasna strona Mocy.

- Ty, Jasiu, ja pytałem o modlitwę, a ty mi farmazony wstawiasz o „Gwiezdnym wojnach”. Daj spokój. Co mnie to obchodzi?

- Chcę ci właśnie wytłumaczyć kwestię modlitwy. Obrazowo. W prosty sposób.

- Tak? To mów.

- Bóg to jest właśnie taka swego rodzaju jasna strona Mocy. Niewyobrażalna dla człowieka energia złożona z dobra i miłości w najczystszej formie. Pojęcie, którego właściwie nawet nie potrafimy objąć naszym ograniczonym ludzkim umysłem. Ogrom dobrej energii.

- No i? - Sznajder się niecierpliwił.

- Modlitwa to też swego rodzaju energia. Wysyłana do Boga zawsze generuje pozytywny odzew, bo Bóg...

- Coś słabo z tym odzewem, bo ludzie się modlą i dupa blada. Nic z tego nie wynika.

- Dasz mi skończyć?

- Nie no, kończ. Ale coś słabo ci idzie to tłumaczenie.

- Pojedyncza modlitwa to tak, jakbyś jednym patykiem chciał zatrzymać górski strumień. Bardzo często ludzie modlą się o naprawdę istotne rzeczy, które wymagają zatrzymania takiego właśnie strumienia i na przykład skierowania jego biegu w innym, pożądanym kierunku. Ale ich modlitwa jest słaba, pojedyncza. Machają patykiem i oczekują nie wiadomo jakich efektów, natychmiast. A Bóg przecież nie jest karetką pogotowia. Druga rzecz, że patykiem nie da się zatrzymać strumienia.

- Do rzeczy, Jasiu. Do rzeczy.

- Ludzie myślą, że odklepią „Ojcze nasz” raz czy nawet parę razy i wszystkie ich problemy nagle się rozwiążą. Ale ta energia może w drodze zostać pochłonięta przez zło na przykład. Ludzie są niecierpliwi. Niewiele dają z siebie, a spodziewają się nie wiadomo czego. Powiedziane jest: „Pukajcie, a będzie wam otworzone”, ale ludziom się nie chce zbyt długo pukać.

- Czasem modlą się naprawdę żarliwie.

- Niestety, często na ostatnią chwilę. Poza tym o wiele większą moc ma modlitwa wspólna. Stąd różnego rodzaju kręgi, wspólne modlitwy o uzdrowienie, często mające zadziwiające skutki. Mówił Jezus: „Gdzie dwóch lub trzech zbiera się w imię moje, tam Ja jestem pośród nich”. Tak rzeczywiście jest.

- Joanna coś nie pasuje do twojej teorii.

- Dlaczego?

- Odmówiła zdrowaśkę i chłopiec przejrzał. W Polsce w szpitalu też niezły numer odstawiła. Dzieciak umierał i mu przeszło. Szybka jest.

- Dam ci jeszcze jeden przykład z „Gwiezdnych wojen”.

- Nie wiedziałem, że fanem jesteś – zauważył Sznajder z przekąsem.

- Nie jestem żadnym fanem. Ale nieważne. Akurat przykład mi pasuje. Asia to taki rycerz Jedi. Dużo więcej może niż zwykły człowiek. Jest wybraną.

- No a miecz świetlny za pazuchą ma?

Janek załamał rękę.

- Ja ci tłumaczę poważne sprawy, a ty sobie jaja robisz.

- Nie denerwuj się, Jasiu. Żartowałem. Niedługo...

Nie dokończył. Patrzył przed siebie. Zaciśnął zęby. Przy końcu ulicy, którą jechali, stały w poprzek dwa samochody włoskiej policji. Ustawiono je w taki sposób, by uniemożliwić ewentualną próbę staranowania blokady. W lusterku wstecznym Andrzej widział, jak zamykana jest ulica z drugiej strony. Joanna i Janek również dostrzegli problem. Kobieta pobladła.

Andrzej zwolnił i zatrzymał samochód kilkanaście metrów przed rozłożoną na jezdni kolczatką. Czterech włoskich policjantów zbliżało się do nich z obu stron. Trzymali dłonie na pistoletach w kaburze. W każdej chwili gotowi byli wyciągnąć broń. W pewnej odległości przed samochodami blokującymi drogę stał oficer z założonymi na piersiach rękoma. Przyglądał się akcji. Czuł się pewnie. Ośmiu ludzi z gotową do strzału bronią pozwalało na taki komfort.

Obok niego Sznajder dostrzegł znajomą twarz. Komisarz Janusz Dolny był skupiony. Nie podzielał stoickiego spokoju kolegi po fachu. Wiedział, z jak bardzo niebezpiecznym człowiekiem mają do czynienia. Z drugiej strony ośmiu funkcjonariuszy przygotowanych na każdą ewentualność powinno być dla niego przeszkodą nie do przejścia. Szkoda, że Włosi nie dali się namówić na wykorzystanie brygady antyterrorystycznej. Czułby się wtedy dużo pewniej i byłby spokojniejszy o wynik akcji.

- Trzeba mu było łeb odstrzelić w Austrii - wycedził Sznajder, świdrując wzrokiem polskiego policjanta. - Załatwił nas popisowo.

Joanna nie odpowiedziała.

Andrzej zgasił silnik. Nie patrzył na pasażerów. Policjanci okrążyli samochód i gestykulowali rękoma. Kazali mu wysiąść. Nie ruszał się z miejsca. Miało się wrażenie, że zastanawia się, co robić, choć właściwie nie było się nad czym zastanawiać. Tym razem szans na wyjście z kłopotów

nie miał. Nie będzie kumpli z mafii brata Serafina. Nie pojawią się też dawni towarzysze broni Andrzeja Sznajdera. Można by śmiało powiedzieć, że niniejszym zostali udupieni przez jednego psa z rzeszowskiej policji.

- Niedobrze - bąknął zakonnik.

Ochroniarz zachowywał całkowity spokój. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na emocje. Musi chłodno kalkulować. Działać bez jakichkolwiek uczuć. Mimo to zdawał sobie sprawę z ich dramatycznego położenia. Pewnie bardziej niż jego podopieczni.

- Watykan jest kilkaset metrów stąd - odezwał się do pasażerów grobowym głosem. - Jak dam wam znak, to ruszacie biegiem, ile sił w nogach Bozia dała. Będziecie mieli jakieś pół minuty, żeby się zgubić. Rozumiecie?

- A ty? - spytał zakonnik.

- Co ja?

- Co chcesz zrobić?

- Dupy wam ratować.

- Jak? Przecież policja...

- Ja się zajmę policją, a ty, Jasiu, dopilnuj, żeby siostrzyczka dotarła gdzie trzeba.

- Zabiją cię - stwierdził zakonnik ponuro.

- Jasiu, ja jestem niezniszczalny. - Sznajder roześmiał się sztucznie.

Andrzej wiedział, że Janek ma rację. Szanse na przeżycie przy tym, co zamierzał zrobić, miał dokładnie żadne. Mógł jedynie powstrzymać pościg, daj Boże na tyle długo, żeby im się udało. Potem już nieważne. Przecież nie można żyć wiecznie.

- Chcesz poświęcić za nas życie? - spytała Joanna półszepem.

- Chyba zwariowałaś, siostrzyczko - zachnął się, znowu sztucznie. Postanowił grać komedię do końca. Nie chciał, żeby wiedzieli, że tym razem to naprawdę koniec. Jego koniec. - Nie jesteście tego warci.

- Możesz się po prostu poddać. - Joanna nie patrzyła mu w oczy.

- Dałem słowo, że was dowiozę, i tak będzie. - Nagle spoważniał. - Męczysz mnie, kobieto. Gotowi?

- Jaki ma być ten znak? - dopytał się Janek.

- Co?

- Znak, żebyśmy uciekali.

- „Wypierdalać”. Może być?

Zakonnik skrzywił się. Nawet w takiej chwili ten człowiek potrafił być irytujący.

Andrzej sięgnął do schowka. Wyciągnął pistolet maszynowy. Otworzył powoli drzwi i wysunął broń tak, żeby policjanci widzieli. Glocka miał z tyłu za pasem. W odpowiedniej chwili błyskawicznie go wyciągnie. Złapie najbliższego policjanta, wykorzysta go jako żywą tarczę i odstrzeli tyłu funkcjonariuszy, ilu się da. Zrobi się zamieszanie, z którego skorzystają Joanna i Janek.

Świetnie sobie zdawał sprawę, że w końcu zlikwidują go snajperzy albo policjanci, ale to już nie będzie ważne. Wykona zlecenie. Tym razem nie tylko dla siebie, lecz i dla tej niezwykłej kobiety, która przez czas podróży stała się dla niego, delikatnie mówiąc, nie całkiem obojętna. Ona powinna żyć. Jej brat też. A bez takich ludzi jak Andrzej Sznajder świat się spokojnie obejdzie. Szkoda tylko, cholera, że nie nadrobi już czasu straconego z synem. Popieprzony świat.

Wysiadł. Zaraz po nim na ulicy pojawili się Joanna i jej brat. Stali kilka metrów za nim. Zgodnie z jego ostatnim poleceniem czekali w napięciu, aż wydarzy się coś, co pozwoli im uciec.

Andrzej położył pistolet maszynowy na ziemi i uniósł ręce. Spodziewał się, że dobiegną do niego karabinierzy, żeby go obezwładnić i aresztować. Ten moment Polak zamierzał wykorzystać. Dwóch, nawet trzech na krótki dystans nie stanowiłoby problemu. Mógłby wtedy zacząć swój pokaz. Niestety, żaden z Włochów się nie śpieszył. Patrzyli na

niego jakby z obawą i mocno zaciskali dłonie na kolbach swoich pistoletów. Zerkali jednocześnie na przełożonego, najwyraźniej w oczekiwaniu rozkazów.

Tymczasem komendant lokalnego komisariatu uśmiechał się tryumfalnie.

- No i po kłopotcie, panie - spojrzał na polskiego komisarza - Dolny - zaakcentował wyraźnie nazwisko. - Jakoś facet nie wygląda na szczególnie niebezpiecznego.

- Myślę, że po prostu wam się poszczęściło - odpowiedział Polak.

W głowie mu się nie mieściło, że poszło im tak łatwo. Szczególnie po tym, co o Andrzeju słyszał i widział w strzępach powracającej powoli pamięci. Rozejrzał się wokół jeszcze raz. Nie zanosilo się na żadną niespodziankę.

- Gdyby nie ten pistolet na ulicy, pomyślałbym, żeś mnie pan napuścił na Bogu ducha winnego człowieka.

- Wszystko można o nim powiedzieć, tylko nie to.

- Aresztować! - krzyknął Włoch do swoich ludzi.

Policjanci wciąż nie podchodzili do zatrzymanego. Zaczęli pokrzykiwać, żeby się położył twarzą do ziemi. Andrzej wiedział, że wykonanie tego polecenia równałoby się z przegraną.

- Nie mówię po włosku - odkrzyknął po angielsku. - Nie rozumiem.

- *Down* - nakazał, o dziwo, jeden z policjantów.

- Nie rozumiem - upierał się Polak.

Miał nadzieję, że sprowokuje któregoś do działania. Nie pomylił się. Młody policjant ruszył z miejsca w jego stronę. Mierzył w Sznajdera. Chciał w ten sposób dodać sobie odwagi i wystraszyć podejrzanego. Nie wiedział, że takim działaniem tylko ułatwia mu zadanie.

Andrzej zerknął jeszcze na dowódcę. Rozmawiał przez komórkę. Po jego minie można było wywnioskować, że właśnie otrzymywał jakieś wręcz zdumiewające wiadomości.

Ochroniarz napiął mięśnie i czekał cierpliwie na zbliżającego się Włocha. Kiedy policjant był już o krok, usłyszeli głośną komendę dowódcy.

- Stać! - Komendant chował telefon do kieszeni. - Koniec akcji. Zwijamy się. - Policjant stojący przy Sznajderze zrobił minę, jakby nie zrozumiał rozkazu. - Co, głuchy jesteś?! - warknął na niego komendant. - Zwijamy się! Zaproszenia potrzebujesz?!

Funkcjonariusze skwapliwie i z ulgą wykonali rozkaz. Młody natychmiast odstąpił od Polaka.

- Co pan robi? - Komisarz Dolny nie posiadał się z oburzenia. - Co się dzieje?

- Wykonuję rozkaz swoich przełożonych.

- Jaki rozkaz, do cholery?

Oficer spojrzał na Dolnego spode łba.

- Jego Eminencja - po krótkiej chwili wahania uznał, że podawanie Polakowi nazwiska mija się z celem - zaręczył za tego człowieka. Wykonuje on bardzo ważną misję. Moi przełożeni nie mają powodu, by nie zaufać wysokiemu dostojnikowi państwa watykańskiego.

- Kurwa mać! Czyście powariowali?! - Komisarzowi puściły nerwy. - Przecież to morderca. Płatny zabójca. Szlag wie co jeszcze. Musicie go zatrzymać.

- Nic nie musimy - odpowiedział spokojnie komendant Fulvio Fantoni. - Panu też nie radzę niczego próbować. Mam nadzieję, że się rozumiemy...

- Aż za bardzo - syknął Janusz Dolny.

- Żegnam.

Blokada ulicy została sprawnie zlikwidowana. Karabinierzy odjechali. Na miejscu pozostał polski policjant. Utkwił wzrok w obiekcie swojego pościgu, który po raz kolejny wymykał mu się z rąk. Nie wiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek będzie miał szansę, żeby się do niego zbliżyć. Najprawdopodobniej przy ewidentnym poparciu Kościoła Sznajder zapadnie się pod ziemię. Zniknie gdzieś

w jakimś ciepłym kraju, gdzie ramię polskiej sprawiedliwości nigdy go nie dosięgnie.

Andrzej Sznajder tymczasem zsalutował komisarzowi prowokacyjnie i posłał mu uśmiech mówiący: „Głupia sprawa, stary. Nie udało ci się i już pewnie nie uda”. Zgarnął pistolet maszynowy z ziemi i ruchem dłoni nakazał Jankowi i Joannie wracać do samochodu. Polski policjant mógł tylko patrzeć, jak odjeżdżają w stronę Stolicy Apostolskiej.

Rozdział 14

Jak to się u was mówi na powitanie...? - ochroniarz zagadnął piszącego coś przy ogromnym mahoniowym biurku purpurata. - Szczęść Boże?

Sekretarz, który go przed chwilą wprowadził, zamknął cichutko wielkie rzeźbione drzwi, co wymagało nie lada umiejętności. Kardynał podniósł wzrok. Zobaczył przed sobą aroganckiego mężczyznę około czterdziestki. Mężczyzna rozglądał się po przestronnym pomieszczeniu z widocznym na twarzy uznaniem.

- Szczęść Boże, panie Sznajder.

Andrzej zakończył oględziny biura kardynała.

- Chciał się pan ze mną widzieć, Wasza Wysokość.

Celowo użył błędnego tytułu dostojnika. Nie lubił i nie szanował przedstawicieli najwyższej hierarchii kościelnej. Słyszał o nich wiele złego. Nie zamierzał się płaszczyć przed jednym z nich wzorem innych wiernych.

- Zwracają się do mnie Wasza Eminencjo - powiedział kardynał niewzruszony - ale spokojnie możemy sobie to darować. Kiedyś mówili na mnie brat José. Tak chyba łatwiej.

Andrzeja zaskoczyła otwartość tego człowieka. Był, a przynajmniej starał się być bezpośredni, jakiś taki ludzki. Czyżby pozory myliły?

- Hmm. Brat José - powtórzył Polak.

- Mogę ci mówić po imieniu? - spytał kapłan nad wyraz ciepłym głosem.

- Chyba właśnie zacząłeś, bracie.

Kardynał wyszedł zza biurka, podszedł do wciąż stojącego gościa i uściśnął mu serdecznie dłoń. Przysunął pięknie zdobione krzesło z wysokim oparciem, Andrzej usiadł.

- Cieszę się, że mogę cię poznać. - Kardynał mówił szczerze i dało się odczuć jego autentyczną życzliwość. - Joanna opowiedziała mi o tobie.

- Nic dobrego, mam nadzieję.

- Wręcz przeciwnie, dużo dobrego.

- No to się dziewczyna na ludziach nie zna.

Brat José uśmiechnął się rozbawiony uwagą Andrzeja.

- Zna się o wiele bardziej, niż ci się wydaje. To niezwykła kobieta.

- No. Matka Polka to ona nie jest.

- Joanna mówiła, że byłeś gotów poświęcić za nich życie.

- Ja? - udał całkowicie zaskoczony. - Wyglądam na kandydata na męczennika?

- „Po czynach waszych poznają, żeście moimi uczniami”.

Wiesz, kto to powiedział?

- Wiem.

- Nie wyglądam, ale to, co robisz, świadczy o tobie.

- Dobra. Przejrzałeś mnie, bracie. Polubiłem tę dwójkę.

Ale co z tego?

- Dwójkę? Popraw mnie, jeśli się mylę, ale Joanna bardziej przypadła ci do serca.

Andrzej przyglądał się kardynałowi z uwagą. Miał rację. Joanna nie była mu już obojętna. Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć, ale takie były fakty. Skąd tylko, u diabła, ten człowiek mógł o tym cokolwiek wiedzieć?

- Do czego zmierzasz, panie kardynał?

- Chciałbym ci zadać jedno bardzo ważne pytanie. Mogę?

- Wał śmiało.

- Dobrze się zastanów, zanim odpowiesz.

- OK.

- Czy chciałbyś zaprosić Boga do swojego serca?

Andrzej założył ręce za głowę i westchnął ciężko.

- Mam się dobrze zastanowić, zanim odpowiem?

- No.

- Już się zastanowiłem.

- I?

- Dla takich jak ja w niebie miejsca nie ma. Mógłbym narozrabiać. Upić się, jakimś aniołowi po ryju nawalić. Wstyd by było.

Ksiądz ponownie się uśmiechnął.

- Wiedziałem, że tak odpowiesz.

- A co, brat tu też za proroka robi?

- Ha, chciałbym. Łatwiej by mi było. Ale nieważne. Joanna prosiła mnie, żebym ci zadał to pytanie. Będę się modlił za ciebie.

- W celu?

- Żebyś kiedyś odnalazł Pana Jezusa.

- „Nie wiedziałem, że powinienem go szukać” - odpowiedział Sznajder cytatem z filmu „Forrest Gump”.

- Daj Boże, że On znajdzie ciebie. Pewnie jesteś zmęczony. Kazałem przygotować ci kwaterę. Sekretarz cię zaprowadzi. Naprawdę cieszę się, że cię poznałem. I jeszcze... jeżeli kiedyś byś czegoś potrzebował, pamiętaj, że moje drzwi są dla ciebie zawsze otwarte.

- Miło.

- A co do honorarium za misję, to jest już w całości na twoim koncie. Plus drobna premia. Niech ci te pieniądze dobrze posłużą.

- Na pewno.

Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie. Andrzej ruszył w stronę wyjścia. Zatrzymał się i odwrócił.

- Wiem, wiem - powiedział kardynał. - Chcesz spytać, co będzie z Joanną.

Andrzej skrzywił się. Kapłan znowu go zaskoczył.

- Aż tak widać?

W ramach odpowiedzi brat José posłał mu rozbijający uśmiech.

- Joanna sama zdecyduje, co chce dalej robić.

- Jakiś klasztor?

- Szczerze wątpię. Jest w niej zbyt dużo życia.

- Rozumiem.

Były żołnierz otworzył sobie drzwi.

- Z Bogiem, Jędrus - usłyszał za sobą.

Odwrócił się. Kardynał pochłonięty był już pisaniem czegoś przy biurku. Sekretarz wyprowadził Sznajdera na korytarz i wrócił do siebie. Tu przejął go inny ksiądz i poprosił grzecznie, by poszedł za nim.



Joanna przystanąła na obrzeżach placu Świętego Piotra i uśmiechnęła się błogo. Ciepłe promienie słoneczne muskały przyjemnie twarz. Czuła się wolna i w jakiś sposób spełniona. Jej misja zakończyła się pełnym sukcesem. Mogła teraz spokojnie wrócić do Polski i rozpocząć nowe, zupełnie normalne, wręcz przeciętne życie. Mogła też liczyć na konkretną pomoc ze strony Kościoła, co na pewno ułatwi jej nowy start. Mogła. Wszystko mogła.

Poczuła na sobie wzrok. Ktoś jej się przyglądał wnikliwie i bez żenady, wręcz natrętnie. Nie był to wzrok jednego z tak licznych tu włoskich amantów. Nie było pogwizdywania z zachwytem i niegroźnych nawoływań.

- Co tu robisz? - spytała, choć nie wyglądała na zaskoczoną.

- Czekam na ciebie. - Andrzej spojrzał w niebo. Wyglądał na lekko zakłopotanego. - Tak na wypadek gdyby znowu ktoś chciał cię życia pozbawić. Możesz jeszcze potrzebować ochroniarza...

- Nie sądzę. - Uśmiechnęła się uwodzicielsko. - Nie jestem już ważna. Dla nikogo.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Mylisz się, panno Wolińska. Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz.

- Tak?

Wziął ją za rękę.

- Chodź, przecież nie będziemy tu tak stali jak jacyś przygłupi turyści.

Ścisnął jej dłoń, jakby bał się, że mu się wyśliznie. Otworzył przed nią drzwi samochodu i skłonił się jak rasowy szofer.

- Gdzieś jedziemy? - Zatrzymała się na progu.

- Do domu. Gwarantuję najbezpieczniejszy transport.

Zawahała się. Spuściła głowę. Skupiła się na chwilę. Kiedy Andrzej dostrzegł jej nienaturalne zachowanie, było już za późno. Za późno dla niej. W tym momencie nie miała już wątpliwości. Wiedziała, że pewnych spraw nie da się po prostu uniknąć. Musiała coś zrobić, a właściwie zrobić mogła tylko jedno.

Sznajder popatrzył na nią. Tak widoczna radość życia, którą promieniowała jeszcze przed momentem, nagle gdzieś uleciała. Zaniepokoił się. Rzucił kilka spojrzeń wokół. Nie zauważył cienia zagrożenia. Więc dlaczego Joanna zachowywała się tak dziwnie?

- Coś nie tak? - spytał i jeszcze raz rozejrzał się wokół.

Nie odpowiedziała. Rzuciła mu się na szyję, czym wprawiała go w osłupienie i zakłopotanie jednocześnie. Trwało to sekundę, może dwie, lecz nie dłużej. Zanim zdążył jakkolwiek zareagować, poczuł, jak jej ciałem jakby coś gwałtownie szarpnęło. Poczuł również ostry, dotkliwy ból na wysokości klatki piersiowej. Miał wrażenie, że dźgnęło go coś ostrego, lecz uderzenie nie było na tyle silne, by przebić się w głąb ciała. W tym samym momencie ciało kobiety zwiotczało i gdyby nie przytrzymał jej ramieniem, osunęłaby się bezwładnie na ziemię. Joanna patrzyła na niego półprzytomnymi oczyma. Jej twarz wykrzywiał grymas. Widać było, że cierpi. Chciał spytać, co się dzieje, gdy obok ucha świsnął mu pocisk i uderzył w szybę jeepa, nie czyniąc jej żadnej szkody. W tym momencie już wiedział. Nie musiał więcej pytać. Gdzieś daleko, może kilometr stąd, strzelec wyborowy urządził sobie polowanie, a sądząc po reakcji Joanny, polowano na niego. Ona swoim szóstym zmysłem odgadła zagrożenie i zasłoniła go

własnym ciałem. Inaczej to Sznajder wykrwawiałby się tu, na rzymskiej ulicy.

Kilometr dalej w mieszkaniu na piętrze Lydia Hansen przeładowała karabin.

- Kurwa mać - zaklęła głośno.

Jej celem był ten Polak, a nie kobieta. Ona przecież miała im się bardzo przydać. Teraz wszystko stracone. Jeszcze raz przyjrzała się sytuacji przez lunetę. Kolejny strzał już nie przyniesie oczekiwanego efektu. Trzeba się zwijać. Za chwilę policja będzie sprawdzała, skąd padł strzał.

Andrzej chwycił Joannę mocniej i błyskawicznie przeniósł za samochód, gdzie byli poza zasięgiem snajpera. Usiadł, opierając się o koło. Trzymał głowę Joanny na kolanach. Powieki jej opadały, ale widział, że jeszcze żyje. Wciąż była szansa, by ją uratować. Zupełnie nie zwracał uwagi na swoją ranę, z której płynęła cieniutka strużka krwi.

- Niech mi ktoś pomoże! - wrzasnął na całe gardło po angielsku. - Mam raną! Wezwijcie ambulans!

Ludzie zaczęli podbiegać do niego. Stworzyli półokrąg gapiów. Zachowanie ich było wręcz podręcznikowe. Nie myśleli o pomocy. Napawali się widokiem ludzkiego nieszczęścia, tragedii rozgrywającej się na ich oczach. Ktoś wreszcie złapał za komórkę i wezwał pomoc medyczną. Tymczasem Joanna gasła z każdą sekundą. Andrzej podświadomie zdawał sobie sprawę, że pomoc nie przybędzie na czas. Odchodziła, a on nie mógł nic na to poradzić. Bezsilność była bardzo bolesna.

Joanna otworzyła szerzej oczy, jakby nagle oprzytomniała, a dolegliwości zaczynały ustępować.

- Nic ci nie jest? - spytała słabym głosem.

- Rany boskie, MNIE?!

- To dobrze - stwierdziła z ulgą.

- Asia - wyszeptał do niej czule - wytrzymaj. Zaraz przyjedzie karetka. Wszystko będzie dobrze, słyszysz? - Patrzył, jak odpływa. Jedyne, co mógł w tej sytuacji zrobić, to mówić do niej, starając się utrzymać ją w jakikolwiek

sposób przy życiu. – Nie możesz mnie teraz zostawić. Nie teraz. Co ja bez ciebie zrobię? Przecież ja ciebie...

Uśmiechnęła się ledwie zauważalnie.

– Poczekam tam na ciebie – wyszeptała, a jej uśmiech, przywołany na twarz z ogromnym wysiłkiem, stał się jaśniejszy.

Zamknęła oczy. Jej głowa osunęła się na bok. Joanna Wolińska nie żyła. W dali zabrzmiała syrena zbliżającego się ambulansu. Za późno.

Sznajder zacisnął zęby i wzniósł wzrok ponad głowami natrętnych gapiów. Warknął, a następnie ryknął na cały głos. Zbiegowisko przezornie rozsunęło się na boki. To, co wzięli za krzyk rozpacz, w rzeczywistości było wyrazem podjęcia wyzwania. Gdzieś tam czaił się wróg i od tej chwili nie mógł już zaznać spokoju.

Karetka zatrzymała się kilka metrów od nich. Ratownicy medyczni odsuwali przechodniów. Lekarz nachylił się nad Joanną. Próbował wyczuć puls. Andrzej spojrział na niego z irracjonalną nadzieją. Mężczyzna pokręcił przecząco głową. Kobietę położono na noszach i przykryto białym prześcieradłem. Nosze zostały wsunięte do ambulansu i ratownicy medyczni odjechali, lecz już nie na sygnale.

Gapie zaczęli się rozchodzić. Nie było nic interesującego w mężczyźnie siedzącym na chodniku i patrzącym tępo przed siebie. Wiedział, że może już bezpiecznie wstać. Snajper nie ryzykowałby kolejnej próby w takiej sytuacji. Zamieszanie, jakie wywołał, zwracało zbyt dużą uwagę.

Sznajder znał się na rzeczy. Był bezpieczny, ale nie miał ochoty się ruszać. Walczyły w nim sprzeczne emocje. Przez ten krótki czas Joanna nauczyła go, że wybuchy wściekłości, gniew i nienawiść nie muszą być głównym sposobem na życie.

Podniósł się wreszcie. Wsiadł do samochodu i wtopił się w ruch uliczny włoskiej stolicy. Jechał przed siebie bez wyraźnego celu. Na rogatkach miasta wytyczył w nawigacji

trasę powrotną do Polski. Potem jechał, łamiąc wszelkie przepisy dotyczące ograniczenia prędkości.

Po kilkudziesięciu kilometrach zatrzymał się przed wejściem na posesję, na której środku stał niewielki kościółek. Zgasił silnik, ale nie wysiadł z samochodu. Zerknął na budynek kościoła. Wewnętrzna walka trwała tylko chwilę. Sznajder zacisnął usta i zmarszczył brwi. Prychnął i uśmiechnął się z typowym dla siebie sarkazmem.

- Jeszcze nie, panie Magnat. Jeszcze nie - powiedział głośno.

Zapalił silniki i z piskiem opon ruszył w dalszą drogę. Miał robotę do dokończenia.





M A R E K
KĘDZIERSKI

(ur. 1966) absolwent Filologii Angielskiej Uniwersytetu Wrocławskiego oraz podyplomowego Handlu Zagranicznego Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu. Pracuje jako lektor języka angielskiego na Uniwersytecie Wrocławskim.

Jest autorem kilku książkowych opracowań językowych, jednak to powieści sensacyjne stały się jego znakiem rozpoznawczym. Kipiące akcją historie, zagadki, twarde charaktery, gry wywiadów i agentur, jednostki specjalne – oto żywiły twórczości Marka Kędzierskiego. Kolejno wydawane powieści: „Cena honoru”, „Męska sprawa” czy „Ostatnia rozgrywka” szybko zdobyły rzeszę zdeklarowanych fanów z niecierpliwością oczekujących na kolejną książkę.

COPYRIGHT © BY Marek Kędzierski
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2012

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-832-1

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Magdalena Zawadzka

FOTO NA OKŁADCE Paul Moore, Batman2000, Nevodka | Dreamstime.com

REDAKCJA Michał Cetnarowski

KOREKTA Magdalena Grela-Tokarczyk, Magdalena Byrska

SKŁAD Dariusz Haponiuk

KONWERSJA DO FORMATU EPUB Dariusz Nowakowski

[SPRZEDAŻ INTERNETOWA](#)  **fabryka**
ponad norme .pl



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów

WWW.FABRYKASLOW.PL
WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

MAREK KĘDZIERSKI

SPRAWDŹ, JAK ZACIERAJĄ SIĘ GRANICE MIĘDZY
SACRUM
A PROFANUM

ANDRZEJ SZNAJDER,

weteran służb specjalnych, nie jest nadczłowiekiem, jednak posiada umiejętności, które - delikatnie rzecz ujmując - wyróżniają go z tłumu. Nietypowe predyspozycje ujawniają się w pełni, kiedy otrzymuje zlecenie... I ma do czynienia z kobietą o absolutnie nietypowych zdolnościach.

Powieść Marka Kędzierskiego to doskonały przykład na to, że Polak potrafi – że nie musimy się oglądać na anglosaskich bohaterów, aby obcować z doskonałą opowieścią, napisaną z rozmachem, zawierającą mnóstwo akcji, a przy tym przemyślaną i w pełni logiczną.

Rafał Dębski, autor „Wilków i orłów”

BÓG I DIABEŁ ZNÓW GRAJĄ W KOŚCI



Partner medialni



DEMOTYWATORY.PL

